

## Teodor Jesche - Chiński

### MAJAKI

#### Niedokończona kartka z chwili bieżącej

I.

Dwór ostrobudzki przygotowywał się na przyjęcie gości  
niezwykłych.

Od czasu, kiedy przysiadł na kępcie suchego piasku, wśród  
błot łączyckich, nie

oglądały jego ściany modrzewiowe ani razu śmiertelników  
niepospolitych. Skromny,

cichy, wykołysał i pochował w przeciągu lat dwustu kilka  
pokoleń pracowitych

ziemian, przechodzących bez rozgłosu przez życie.

Żaden z Ostrobudzkich nie sięgał po zaszczyty, nie poświęcał,  
czy dla ambicyi,

czy dla wiedzy, spokoju wsi, zadowolony, gdy mógł  
przekazać synowi w całości

dziedzictwo, wzięte po ojcu. Żaden z nich nie pragnął sławy,  
dygnitarstw,

wielkich fortun i głębokiej nauki. Rodzili się, nabywali  
średnie wykształcenie

swojego czasu, żenili się, orali, siali i wracali w porze  
właściwej do matki-  
ziemi, którą obficie potem swoim zrosili. Każdy z nich brał za  
żonę pannę z  
najbliższego sąsiedztwa, zdrowe pisklę z uczciwego gniazda,  
wyborny materyał na  
dobrą matkę i gospodynię.  
Dopiero ostatniemu dziedzicowi Ostrobudek, ś. p. panu  
Wojciechowi, przytrafiło  
się, że wybór jego serca padł na pannę, która nie posiadała  
upodobań jego babek  
i prababek.

Panna Olimpia Chyrowska, córka wzbogaconego na  
pieniactwie ludzkim prawnika,  
wniosła do dworu ostrobudzkiego inne zwyczaje i obyczaje.  
Wychowana w Warszawie  
w latach około , przybyła na wieś z główką, wytapetowaną  
różnymi nowinkami.  
Stare, dziurawe, wytarte bohomy, rozwieszane na ścianach  
salki stołowej, a  
przedstawiające matki rodu Ostrobudzkich, dziwowały się  
wielce, gdy najmłodsza  
ich spadkobierczyni popisowała się po raz pierwszy przy  
kolacyi przed gośćmi  
mądrością, nabytą w stolicy. Słowa, jak: bezpośrednia  
obserwacja, eksperyment,  
samorodztwo, ewolucya, pochodzenie gatunków i t. p.,  
trzeptały się nad głowami  
sąsiadów, niby nieznanie ptactwo zamorskie. Szlachta  
otwierała oczy, uszy,

olśniona mądrością młodej pani.

A po nad temi uczonemi terminami górował jeden zwrot,  
powtarzający się ciągle.

„Prawa kobiety” nie schodziły z ust pani Olimpii.

Matki rodu Ostrobudzkich, słuchając dyskursu o "prawach  
kobiety," uśmiechały się  
złośliwie. Znawczynie serc męskich, wytrawne praktykantki,  
wiedziały z

osobistego doświadczenia, że każda rozumna kobieta  
poprowadzi za nos

najbutniejszego „pana i władcę," byle mu woli swojej zbyt  
natrętnie nie

narzucała. Żadna z nich nie wiedziała nic o „Poddaństwie  
kobiet” Johna Stuarta

Milla, nic o ruchu emancypacyjnym białogłów, o feministkach  
i antifeministkach,

a mimo to rządziły w domu samowładnie, zestawiając  
małżonkom tylko pozory

zwierzchnictwa. Miękka pieśczoła, serdeczny pocałunek,  
pokorna niby prośba, a w

razie ostatecznym łzy, kwaśny humor lub spazmy, popierały  
skuteczniej ich prawa,

aniżeliby to zdołała sprawić najuczeńsza dysertacya.

Głównie łzy... Najtwardszy Ostrobudzki roztopiał się w nich,  
jak воск: ulegał,

przepraszał, uciekał w końcu w pole, jak najdalej od tych  
straszliwych pogromców  
siły męskich.

Wiedziały koszlawe bohomyzy, dlaczego im się na śmiech  
zbierało...

Gdy bowiem minęły miesiące miodowe, które nawet goryczy smak cierpki odbierają,  
obrzydził sobie pan Wojciech wkrótce ciągle utyskiwania na „gwałt,” zadawany jakoby płci słabej przez silną, na „niewolnictwo kobiet.”  
On pracował od świtu do nocy, pospołu z robotnikiem i bydłem. Latem, podczas żniw, było jeszcze szaro, kiedy dosiadał kasztanka, a gdy z niego schodził zmęczony, brudny, opalony, gasło już słońce za stodołami. Zimą pilnował młocki, łąził za ludźmi, łątał budynki, jeździł do miasta za interesami, tłukł się po dziurawych mostkach i po wybojach dróg, ujadał się z kupcami, broniąc każdego grosza, aby starczyło na potrzeby domu i opędzenie gospodarstwa. Za trud całego dnia spotykały go wieczorem wymówki: że nie bierze dość udziału w ruchu umysłowym kraju. Zabawiałby się on chętnie lekturą, lubił nawet romanse, ale kiedy? I niedziele miał zajęte wypłatą ludzi. Gdy urwał obowiązkom powszednim trochę czasu, wówczas pograżał się z przyjemnością w dzienniku, ciekawy nowin ze świata. Z jesienią, podczas dłuższych wieczorów, czytywał żonie głośno świeże powieści i poważniejsze artykuły, pomieszczane w tygodnikach.

Było to pani Olimpii zamało. Ona żądała od męża, aby  
przepędzał miesiące zimowe  
w Warszawie, bywał na odczytach i zebraniach literackich,  
aby się kształcił,  
rozwijał, jak się wyrażała. A kiedy jej pan Wojciech  
przekładał, że nie można  
opuszczać wioski, jeżeli się chce mieć nad głową aż do  
śmierci dach własny,  
wtedy zaczynały się skargi na niewolnictwo kobiety.  
— Niewolnictwo? Któż to właściwie jest tym niewolnikiem?  
— zawołał raz pan  
Wojciech zniecierpliwiony. — Czy ja, którego praca uwiązała  
na łańcuchu, jak psa  
podwórzowego, który usypiam dość często na koniu ze  
znużenia, czy ty, co nie  
potrzebujesz bucika zamoczyć, bo zrobi za ciebie wszystko  
służba i moja  
zabiegliwość. Nawet dziecka nie karmisz, chociaż prawisz tyle  
o wpływie  
dziedziczności!  
Od tego wybuchu zmieniło się położenie we dworze  
ostrobudzkim. Pan Wojciech,  
oddawszy na użytek żony dochody z ogrodu, drobiu, nabiału i  
nierogaczny, nie  
mieszał się więcej do jej gustów. Nie mówił nic, gdy  
sprowadzała całe góry  
książek i czasopism, nie opierał się odświeżeniu i  
przystrojeniu domu i  
urządzeniu parku. Dawał na wszystko, dopóki były pieniądze  
w kasie, ale nie  
znosił już żadnych skarg i lamentów.  
Pani Olimpia, nudząc się śmiertelnie na wsi, nie mając nikogo  
obok siebie, z

kimby się "mogła podzielić myślami," bywała dużo w okolicy.  
Znalazł się też  
rychło jakiś pocieszyciel "zapoznanej, nieszczęśliwej ofiary  
brutalnego  
hreczkosieja," który chciał wyzyskać "moment  
psychologiczny," ale zanim się  
lowelas prowincjonalny zdobył na odwagę, już się o jego  
zamiarach pan Wojciech  
dowiedział i tak się z nim gdzieś w kącie uczciwie rozprawił,  
że gaszek stracił  
ochotę amorów na czas długi.

Pan Wojciech nie wymawiał żonie lekkomyślności. Śledził  
tylko odtąd jej kroki  
uważnie, jeżdżąc z nią wszędzie.  
„Niewolnica” roniła łzy ciche, samotne, ku złośliwej uciezce  
matek rodu  
Ostrobudzkich, które posługiwały się niegdyś płaczem w  
celach innych,  
praktyczniej szych.  
I byłaby się wrzekoma zrazu poddanka stała w istocie  
powolnym narzędziem w ręku  
męża, nie lubiącego, aby z niego drwiono, gdyby jej śmierć  
nie była wyzwoliła.  
Pan Wojciech, przeziębwszy się przy pilnowaniu młocki,  
umarł, zostawiając na  
opieczce starszego brata żonę, siedmnastoletnią córkę i majątek,  
nie obciążony  
żadnym długiem. Jak wziął po ojcu wieś czystą, tak przekazał  
ją własnemu dziecku  
bez grosza zobowiązań.

Ledwie zamilkły dzwony, żegnające nieboszczyka na drogę ostatnią, kiedy sobie pani Olimpia przypomniała, iż „się jej jeszcze dużo od życia należy.” Więc zabrawszy córkę i wszystkie pieniądze, które zastała w kasie, wyruszyła w objazd po Europie.

W pierwszym roku odbierał pan Stanisław Ostrobudzki, brat nieboszczyka, listy od bratowej, to z Wenecyi, to z Rzymu, to z Paryża. W drugim doniosła mu, że zamieszka przez lat trzy w Zurychu, gdzie ona sama będzie uczęszczała na filozofię, Zosia zaś na przyrodę.

Dziś, ukończywszy studia, wracały panie do zagrody rodzinnej, ozdobione dyplomami bakałarzów. Stary dwór miał ujrzeć po raz pierwszy od czasu, jak przysiadł wśród błot łęczyckich, głowy uczone — i to niewieście.

Pogodny wieczór czerwcowy obwijał powoli przejrzystymi mrokami drzewa i chaty.

Otwierały się kielichy bzów i jaśminów, oddychały trawy i zboża, rozsiewając wokoło woń świeżości, zdrowia.

Dwór ostrobudzki, długi, niski, pokryty czerwonym dachem, rozszerzony z przodu oszkloną werendą, biały, czysty, tonał cały w wieńcu zieleni. Z tyłu rozciągał

się za nim park angielski, z frontu otaczały go z obu stron  
klomby gęstych  
krzewów, rozsadzonych w półkole.  
Na kamiennych stopniach ganku stał pan Stanisław  
Ostrobudzki, mężczyzna dobrego  
wzrostu, trzymający się prosto mimo siwego wąsa, który  
odbijał na tle czerstwej,  
żarami słońca wiosennego opalonej twarzy. Ubrany w czapkę  
z daszkiem, w krótką  
kurtkę z granatowego sukna i w długie lakierowane buty,  
patrzył z pod  
krzaczastych brwi uważnie w stronę bramy wjazdowej, po za  
którą bieleła się  
szosa, prowadząca do Łęczycy.

— Powinny już być — mruknął. — O którejż to staje pociąg  
w Kutnie, panie  
Woralski?

— Mówili, że o trzeciej, panie dziedzicu — odparł niski,  
krępy staruszek,  
trzymający w ręku duży pęk kluczków.

— Powinny już być — powtórzył Ostrobudzki półgłosem.  
Po chwili dodał:

— Chyba jaki wypadek...

— A cóżby tam panie mogło spotkać? Szosa, jak stół, dzień  
jasny, a Tomek powozi.

Zabawiły się pewno trochę w mieście.

— Czy pan nie zapomniał posłać furmanki pod rzeczy?

— A jakże! Poczwórna karetka poszła po panie, a Jasiek z  
siwkami drugiej fornalki  
pod walizki.



Zamilkli i spojrzeli obaj równocześnie na bity gościniec, na którym zamajaczył w dali jakiś powóz.

— To nie do nas — odezwał się Woralski. — Skręca na prawo.

Pan Ostrobudzki podniósł rękę do wąsa i targnął go niecierpliwie.

— Baby muszą zawsze marudzić — wyrzekł. Staruszek, trzymający się dotąd o kilka kroków od

schodów, zbliżył się teraz i odezwał się po krótkim wahaniu:

— Z przeproszeniem pana dziedzica, ale w mieście mówił mi pisarz z magistratu,

że nasze panie chodziły za granicą pono do jakichś szkół uczonych. Chyba to

plotki, panie dziedzicu?

— A chodziły, chodziły! — odparł Ostrobudzki.

— I pani dziedziczka także?

— I pani dziedziczka.

Woralski kiwał głową, jakby mu ta wiadomość w mózgu zacieżyła.

— I uczyły się? — zapytał znów po chwili.

— A uczyły.

— A czego też, proszę pana dziedzica?

— Samych mądrych rzeczy, mój Woralski. Pani dziedziczka chciała się koniecznie

dowiedzieć, czy człowiek nie może być mądrzejszym od Pana Boga.

— O mój Jezu! — zawołał Woralski. — Jak też to pan dziedzic lubi żartować z głupiego człowieka!

— Wcale nie żartuję, mój Woralski — mówił Ostrobudzki, któremu pytania ekonoma

nie sprawiały widocznie przyjemności, bo odpowiadał na nie opryskliwie. — Teraz ludzie tacy pyszni, że chcieliby się obyć bez Pana Boga. A panna Zofia, to łapała w tych za-

morskich szkołach żaby, odzierała je ze skóry i rozpiniała na deseczkach.

Ekonom zaśmiał się zcicha.

— E, e, co też to pan dziedzic...

Chciał powiedzieć: "wygaduje" — ale się pomiarkował.

— Taka ładna panienska-by żaby łapała — mruknął tylko, poruszając głową z niedowierzaniem.

Wtem zadudnił na szosie głuchy łoskot powozu, unoszonego równo przez dobre

konie. Uszy wieśniaków, przywykłe do rozpoznawania różnych turkotów,

nasłuchiwały przez chwilę.

— Jada! — zawołał pan Ostrobudzki. — To nasze konie.

— A nasze! — zawołał Woralski i zaczął na sobie poprawiać ubranie.

W miarę, jak się kareta zbliżała, rósł niepokój ekonoma. To wąsa skubnął, to

czapkę z lewej strony czaszki na prawą przesunął, to szarpnął za guzik kapoty.

Spostrzegł ruchy nerwowe staruszka pan Ostrobudzki.

— Boisz się stary?— odezwał się głosem łagodniejszym, niż dotąd.

— Bo to, proszę pana dziedzica...

Ekonom kręcił szyją, jak gdyby mu miękki kołnierzyk  
niekrochmalonej koszuli  
zawadzał.

— Nie bój się — mówił dziedzic — Gdybyś się okazał  
zagłupim dla tych mądrych  
pań, to przyjdiesz do mnie na Wolę. Zawsze się tam znajdzie  
kawałek chleba i  
ciepły kąć dla starego sługi.

Woralski chciał ująć rękę pana, ale ten usunął ją szybko.

— No, no — mruknął. — Przecież my nie dzisiejsi... Powóz  
był już we wsi. Za  
chwilę wpadł w szeroko otworzoną bramę zajazdu, okrążył  
zręcznie klomby krzewów  
i zatrzymał się przed werendą.

Pan Ostrobudzki przyskoczył do drzwiczek karety z żywością  
młodzieńca, odemknął

je szybko i zawołał: "Zochna!" — ujął w objęcia postać  
niewieściami, która

postawiła pierwsza koniec lakierowanego bucika na stopniu.

— Zochna! — powtórzył głosem, w którym drżały miękkie  
tony szczerzego uczucia i

przygarnął do szerokiej piersi głowę synowicy.

Ona zarzuciła mu rękę na szyję, nie broniąc się jego uściskom.

Za panną Zofią Ostrobudzką wysiadła z powozu wysoka,  
szczupła dama, ubrana w

jedwabny popielaty płaszcz podróżny.

— Witam pana brata — odezwała się, wyciągając do  
Ostrobudzkiego rękę.

— Witam panią bratową — odparł starzec i pochylił się, ażeby  
dotknąć ustami

duńskiej rękawiczki pani Olimpii.

Podawszy ramię bratowej, wprowadził ją po schodkach do  
obszernego przedpokoju,  
gdzie lokaj odebrał wierzchnie ubranie od przybyłych.

— Panie pewno głodne z drogi? — mówił Ostrobudzki,  
pomagając służącemu. —

Przepraszam, że przypominam tak odrazu potrzeby pospolite,  
ale wiem z

doświadczenia osobistego, iż żołądek nie bywa uprzejmy.

Herbata czeka na panie.

Gdy przeszli na lewo do obszernej sali, której środek

zajmował duży stół dębowy,

pochwycił stryj jedną ręką ramię synowicy, a drugą ujął ją za  
brodę.

— Niech ci się przy świetle przypatrzę — wyrzekł. —

Urosłaś, zmężniałaś,

wyładniałaś. Wykapana z ciebie Ostrobudzka, żywy portret  
ojca!

Panna Ostrobudzka przypominała rzeczywiście wąsatych  
szlachciców, rozwieszonych

na ścianach pokoju. Wysoka, wysmukła, wcięta w pasie, z  
pełnym biustem, miała

okrągłą głowę sarmacką, pokrytą bujnym włosiem, barwy  
dojrzałego zboża. Z tej

twarzy świeżej, białej, ożywionej parą siwych oczu, tryskały  
młodość i zdrowie.

— I ty jesteś bakałarzem, ty? — zawołał stryj, obejrzawszy  
synowicę ze

wszystkich stron. — Dziewczyno, czy to prawda?

— Prawda, stryjkku, prawda! — odparła panna, zaśmiaawszy się wesoło. — Pokażę stryjkowi jutro dyplom.

— I te żaby, coś je na deseczkach męczyła?

— I te żaby, stryju.

— Ależ Zosiu, preparaty naukowe! — odezwał się od stołu głos ostry, suchy.

Pan Ostrobudzki odwrócił się szybko, spojrział i pochylił głowę, aby ukryć

uśmiech, który widok bratowej na usta jego wywołał.

Siedziała sztywna, w szarej sukni podróżnej, z czapeczką marynarską na

rozzuconych, po męsku ostrzyżonych włosach, ze złotymi binoklami na długim,

spiczastym nosie. Kurz drogi, zmieszawszy się z pudrem, nałożonym grubo na chudą

twarz, wytworzył jakiś brudny cień, nie podnoszący wcale kolorytu przywiedłej

cery.

— Czupiradło — mówiły zdziwione i rozbawione równocześnie oczy Ostrobudzkiego.

— Przepraszam, preparaty! — wyrzekł poważnie, choć mu się usta śmiały. — Proszę wybaczyć wieśniako-

wi, że nie umie się poprawnie wyrażać. Więc preparaty? A bratowa, czy robiła

także preparaty?

Pani Olimpia poprawiła binokle palcami długiej, wyschłej ręki.

— Pisałam przecież panu, że chodziłam na wykłady filozofii  
— odpowiedziała. —

Filozofowie nie zajmują się preparatami. Ich materiałem są  
idee, uogólnienia.

— Aha! idee, uogólnienia! Przepraszam, przepraszam... Ale  
teraz dajmy pokój

preparatom i uogólnieniom, a zabierzmy się do kłapaków,  
które wczoraj sam na

błotach upolowałem, aby mojej Zośce lepiej smakowały.

Wyrzekłszy to, zajął pan Ostrobudzki miejsce obok synowicy  
i nałożył sobie na

talerz połowę dzikiej kaczki.

— Państwo na wsi lubicie zawsze dobre kąski— odezwała się  
po chwili pani

Olimpia, zesznurowawszy wąskie, blade usta do uśmiechu  
szyderskiego.

— Ma się rozumieć, że lubimy — mówił Ostrobudzki,  
zajadając z apetytem. —

Zmiatamy wszystko z półmisków, co Pan Bóg dał i żądamy od  
każdego, aby nie

fuszerował, bo po karku. Ale, jak widzę, to nie odebrały i pani  
bratowej owe

uogólnienia znajomości lepszych części kaczki i nie zepsuły  
wcale apetycyku?

Pani Olimpia rzuciła szwagrowi z po za szkieł spojrzenie  
niechętne, na które on

odpowiedział uśmiechem lekceważącym.

To spojrzenie i ten uśmiech rzuciły światło jaskrawe na  
stosunek, jaki łączył

bratową ze szwagrem: nie lubili się.

Przez jakiś czas trwało przykre milczenie. Dopiero, gdy lokaj,  
zebrawszy

talerze, podał herbatę, świe-

cę i papierosy, odwrócił się Ostrobudzki do synowicy i wyrzekł:

— Mam nadzieję, że urządzimy ci niedługo weselisko. Chciałbym cię widzieć przed śmiercią w dobrym ręku.

Pani Olimpia poprawiła się na krześle i wypuściwszy z ust gęsty kłęb dymu, odpowiedziała za córkę, podkreślając każde słowo spojrzeniami kłującymi:

— Przedewszystkiem pozostaje Zosia dotąd w ręku najlepszym, bo matki, a potem, nie należy ona wcale do owych kobiet pospolitych, które uważają małżeństwo za konieczność. Nie na to piła z krynicy wiedzy, aby miała się urządzić w życiu, jak pierwsza lepsza gąska z waszych tak zwanych białych dworków.

— A jednak życie rodzinne jest celem kobiety— wtrącił Ostrobudzki.

— Formułkę tę wymyślili mężczyźni, bo im była potrzebna — mówiła pani Olimpia dalej. — Z chwilą jednak, gdy kobieta zrozumiała, że i ona ma prawo być człowiekiem, tak samo, jak mężczyzna, gdy przestała być rzeczą, niewolnicą, z tą chwilą upadły wszystkie doktryny, wymyślone przez was, domniemani panowie i władcy ziemi.

— Więc cóż bratowa dobrodziejka radzi postawić na miejscu małżeństwa? — zapytał

Ostrobudzki.

— Nic nie stawiam. Żądam tylko dla kobiety zupełnej swobody. Niech robi, co jej potrzebom i upodobaniom odpowiada.

— Choćby nawet?...

Ostrobudzki nie dokończył myśli, spojrzawszy na synowicę.

— Choćby nawet — dosnuła za niego pani Olimpia — tak zwany stosunek grzeszny tym upodobaniom odpo-

wiadał. Grzeszny? Zabawne! Grzeszny tylko dla nas, bo wam wolno wszystko! Niech

się pan nie krępuje obecnością Zosi — dodała, spostrzegłszy niepokój szwagra. —

Córka moja uczyła się dużo, nauka zaś nie zna fałszywych rumieńców i banalnej

wstydlivosti. Słyszała ona inne rzeczy w aulach

uniwersyteckich i widzi pan, że

zdrowiu jej bynajmniej nie zaszkodziły.

— Cóż ty na to, Zochno? — zapytał Ostrobudzki, patrząc uważnie w twarz synowicy.

— Podzielałam zupełnie zdanie mamy — odpowiedziała panna bez namysłu.

— I nie zarumieniłaś się na wykładach ani razu?

— Z początku robiła na mnie swoboda słowa przykre wrażenie, nie przeczę, ale

wkrótce przywykłam do niej. Kto chce dużo wiedzieć, nie może się niczemu dziwić.

Minęły już czasy, kiedy największą zaletą panny był tak zwany puch dziewiczości.



— A jednak był ten puch dziewiczości podwaliną cnót domowych — wyrzekł Ostrobudzki poważnie.  
— Stryjek jest jeszcze za puchem dziewiczości — zawołała panna, roześmiewszy się pusto. — Za puchem dziewiczości, za puchem...  
— Puch dziewiczości! — wtórowała jej pani Olimpia — puch, puch...  
Bawiły się wielce tym puchem.  
Oczy starca przechodziły z matki na córkę, zdziwione, smutne. Ręka jego podnosiła się do wąsa, a pomiędzy siwymi brwiami zarysowała się głęboka zmarszczka.  
— Zawcześnie umarł pan Wojciech — mruknął i podniósł się z krzesła.

— Niech się stryjek zaraz nie gniewa! — zawołała panna Zofia, zrywając się także. — Przerobimy powoli stryjka, ale proszę się tak brzydko nie marszczyć.  
Zarzuciła stryjowi ręce na szyję, wspięła się na palcach i pocałowała go w czoło.  
— O! ciągle ten mars! — mówiła. — Już wyjdę za męża, wyjdę, wyjdę, trochę później, gdy mi się owe żaby sprzykrzą; tylko niech się stryjek uśmiechnie.  
Ostrobudzki obrzucił dziewczynę spojrzeniem, z którego biła łuna przywiązania.

— I ty mówisz takie dziwne rzeczy, ty, ty? — wyrzekł. — To nie ty, to ktoś inny mówi przez twoją buzię. Ale teraz, dobranoc paniom. Zdrożone jesteście, potrzebujecie spoczynku, a i moje stare kości proszą się o materac. Tłukły się dziś przez cały dzień na koniu. Będę jutro w Ostrobudkach pod wieczór, aby złożyć rachunki z opieki. Pogadamy, o czym trzeba. Dobrej nocy paniom życzę i snów przyjemnych pod własnym duchem.

— Mnie przyśni się z pewnością ładny chłopiec, z dużymi wąsami. Zobaczy stryjek! Taki tęgi, opalony, czerwony szlachcic. Opowiem jutro stryjkowi, jak było. Siwe oczy panny śmiały się ze swawolą dziecka. Pan Ostrobudzki uścisnął ją, bratowę pożegnał ukłonem i wyszedł. Przed dworem czekał na niego Woralski, trzymający konia za uzdę.

— Jakże tam, panie dziedzicu? — zapytał zcicha.

— A no, zobaczymy. Pamiętaj, stary, że Wola o miedzę — mruknął Ostrobudzki, dosiadając wierzchowca.

Pogłaskał kasztanka ręką, po szyi i ruszył cwałem z miejsca. Ekonom zrobił za nim znak krzyża świętego. Dziwiło się stare szkapsko uderzeniom, które jego bokom obcasz jeźdźca zadawały. Dawno już tego nie było.

Co mu się stało? — medytował wyranżerowany ogier, pędząc drogą pomiędzy dwoma rzędami czarnych chat, rysujących się wyraźnie na tle jasnej nocy. — Zwykle zarzuca mi cugle na kark, pozwala wlec się noga za nogą po polach, nie gniewa się nawet, gdy czasem łeb pochylę i skubnę trochę trawy. A dziś? Oszalał...

Bodzie i bodzie, jakby stare kości moje posiadały jeszcze elastyczność młodości.

Poczekaj!

Kasztanek, przebiegając koło cmentarza, udał, że się przeraził; spiąwszy się

trochę na tylnych nogach, potem rzucił się w bok.

— No, no, stary, nie brykaj! — mruknął Ostrobudzki, powstrzymując konia.

Gwałtowny ruch ostudził gniew, który w jego sercu słowa pani Olimpii roznieciły.

Poklepawszy wierzchowca po szyi, posuwał się wolno wysoką groblą, prowadzącą do Woli.

— Zawcześnie umarł — mówił do siebie półgłosem. —

Trzeba ją czempredzej wydać za

mąż, aby jej to czupiradło nie zepsuło do reszty w głowie.

Koczkodon!

Znów ścisnął ogiera kolanami i podrażnił jego boki obcasami.

Szkapsko poleciało,

nie próbując już po raz drugi buntu.

— Koczkodon! — powtarzał Ostrobudzki, zgrzytając zębami i nagląc konia do pośpiechu.

Kasztanek cierpiał za mądrość pani Olimpii.

Wolę oddzielały od Ostrobudek zaledwie trzy wiorsty.  
Położona tak samo, jak one,  
wśród łąk, na kępie suchego piasku, wieś pana Stanisława  
świeciła zdaleka  
białemi, murowanemi budynkami i czworakami.  
Kiedy się stary szlachcic zatrzymał przed dworem, podobnym  
zupełnie do  
rezydencji nieboszczyka brata, zbliżyły się od strony  
dziedzińca szybko ciężkie  
kroki stróża.

— Powiesz Andrzejowi, żeby założył jutro parę gniadych do  
wolanta i zajechał o  
dziesiątej.

— Słucham, jaśnie panie — mruknął stróż i odebrał konia.  
W otwartych drzwiach domu czekał na pana siwy, mały  
człowieczek, trzymający nad  
głową zapaloną świecę.

— Czy nic nowego nie zaszło? — zapytał Ostrobudzki,  
przechodząc na prawą stronę  
dworu.

— A coby tam miało zajść? U nas wszystko, jak w zegarku —  
odparł lokaj.

— Zawsze tyle gadasz! — wyrzekł pan, dotarłszy do pokoju  
sypialnego.

Sługa spojrział na chlebodawcę z pod gęstych brwi.

— Musi, że się dziedziczka ostrobudzka jaśnie panu nie  
podołała, albo co —  
mówił, rozbierając łóżko.

— A tobie co do tego? — fuknął Ostrobudzki.

— A no, nic. Tylko, że z nieboszczykiem panem Wojciechem  
bawiłem się, bywało, w

ogrodzie w piasku, a pannę Zofię to nosiłem na ręku.  
Zamilkli obaj, pan i sługa.  
Pan rozpiął powoli ubranie, szepcząc modlitwę wieczorną,  
sługa odbierał krawat,  
kurtkę, kamizelkę, spoglądając na pana z pod czoła.

Kiedy Ostrobudzki przysiadł na łóżku i podał nogę do zdjęcia  
obuwia, odezwał się

lokaj:

— Mógłby też pan brać na wieczór cieplejszy przyodziewek.

Na co to wszystko wisi

w szafie? Było kiedyś, że mieliśmy lat trzydzieści.

— Dobranoc ci, Wojciechu, dobranoc! — wyrzekł

Ostrobudzki głosem miękkiem. —

Jutro jadę do Zalesia.

— Dobrych myśli mojemu panu życzę! — wyrzekł sługa i  
wyszedł z pokoju.

## II.

O cztery wiorsty od Woli i Ostrobudek, tworząc z niemi  
trójkąt, rozłożyła się w

obszernej dolinie, odcięta od błot laskiem olszowym, duża  
wieś, rzucająca się

zdaleka w oczy rezydencją, wystawioną na pagórku.

Nie był to dwór w zwykłym rozumieniu. Dom murowany,  
osadzony na wysokich

podwalinach, z przybudówką, piętrowy w pośrodku, pokryty  
dachem cynowym, robił

wrażenie pałacyku. Otoczony ze wszystkich stron żelaznemi,  
na zielono  
pomalowanemi sztachetami, odsunięty od zabudowań  
gospodarskich, wyglądał, jak  
willa podmiejska, wystawiona nie w celach użytku  
codziennego, lecz dla  
wypoczynku jakiegoś wygodnisia, zmęczonego gwarem i  
niepokojem stolicy.  
Prowadził do niego rozległy zajazd, na którym ręka ogrodnika  
artystycznego  
rozzuciła klomby, grzędy i grządki, strojne kwiatami,  
dobranemi ze smakiem.  
Ścieżki, starannie wygracowane, świeciły białym żwirem.  
Dwanaście stopni kamiennych trzeba było przebyć, aby się  
znaleźć pod kolumnadą,  
która zastępowała ganek.  
Na tym ganku stało nazajutrz, w godzinach rannych, dwóch  
młodych ludzi, nie  
liczących więcej nad lat

trzydzieści kilka. Jeden z nich wysoki, dobrze zbudowany  
szatyn, w granatowem  
ubraniu flanelowem, bez czapki na głowie, oparty ramieniem  
o filar, słuchał  
drugiego, który mówił, pomagając sobie żywymi ruchami rąk i  
głowy:  
— Bartek chwycił znów kawał rzemienia ze stajni cugowej, a  
żonę stróża  
przydybałem, jak wynosiła z kuchni ogromną szczapę drzewa.  
Jeżeli pan dziedzić

nie zmieni rozporządzenia, to nie dam sobie z tą hałastrą rady.  
Kradną, jak  
kradli, a śmieją mi się w oczy, bo wiedza, że ich dziedzic nie  
pozwoli ukarać.  
Nawet pisarz zaniedbuje się w służbie. Kiedy na niego fuknę,  
on skacze mi do  
oczu. „To tylko pan taki gorliwy! — krzyczy. — Pan Słotnicki  
nie żąda, aby  
człowiek harował, jak bydlę!” — On haruje!... Żeby człowiek  
miał do śmierci  
takie harowanie, psiawiara...  
Podczas kiedy rządca, niski, krępy, opalony mężczyzna,  
utyskiwał w ten sposób,  
oko dziedzica zawisło w przestrzeni, błędząc nad szaremi  
chatami, które tuliły  
się pokornie do boków pańskiej rezydencji. "Widocznie nie  
słyszał narzekań  
oficyalisty, gdy się bowiem skończyły, podniósł głowę i  
obejrzał się  
nieprzytomnie wokoło, jak ktoś nagle ze snu zbudzony.  
— Prosiłem pana tyle razy, panie Chodacki — odezwał się  
głosem zmęczonym — abyś  
mnie takimi drobiazgami nie zajmował.  
— Ze szkód drobnych powstają duże — mruknął Chodacki.  
— Wiem o tem, ale właśnie dlatego mam w panu rozumnego i  
uczciwego zastępcę,  
abyś mnie od tych dużych strat ochronił. Co zaś do owych  
drobnych, panie  
Franciszku, to zechciej zawsze o tem pamiętać, że jestem sam  
na świecie,  
posiadam dość znaczny majątek,

a potrzeby osobiste bardzo małe i że sobie wcale nie życzę,  
aby z mojego powodu  
spadła choć jedna łza z oczu wydziedziczonych. Oni  
spożywają i tak chleb zbyt  
gorzki, bo walka o byt powszedni nie należy do pomysłów  
przyjemnych. Nie życzę  
sobie, wprost zabraniam, wodzić się z ludźmi po sądach za  
kawałek drzewa lub  
garść paszy. Proszę o to!  
I jego ciemno-niebieskie, głęboko pod Wysokiem czołem  
osadzone oczy, pobiegły  
znów w błękitną przestrzeń, a na błądą, krótko przystrzyżoną  
brodą otoczoną  
twarz spłynęły cienie cichego smutku.  
Rządca przypatrywał się dziedzicowi z niechęcią. Czerwony,  
czerstwy rolnik, od  
lat wielu przyzwyczajony do energicznego postępowania, co  
sobie za zasługę  
poczytywał, nie rozumiał znaczenia słów dziedzica. Podług  
niego, byli owi ubodzy  
próżniakami, których trzeba napędzać ciągle do roboty, albo  
złodziejami, których  
należy pilnować, aby nie roznieśli pańskiego dobra na  
wszystkie wiatry. Znał ich  
przecież dobrze. Młodość z nimi przepędził i odgadywał  
każdy ich zamiar.  
Psychologii ludu uczył się nie z książek, lecz z doświadczenia  
osobistego.  
Jednakże... Skoro sobie tego życzy... To jego majątek...  
Wzruszył ramionami i zeszedł wolno po stopniach schodów,  
udając się w stronę  
dziedzińca.



Słotnicki stał jeszcze przez kilka chwil pod kolumnadą, potem przetarł ręką oczy i znikł w głębi domu.

Z obszernego pokoju wchodziło się na prawo do gabinetu pana. Nie było tu kluczy i uździenic, ani zaschłych wieńców ze zboża i próbek ziarna. Na posadzce, zakrytej zupełnie kobiercem, stało na środku, zwrócone

do okna, duże biurko dębowe, założone z obu stron stosami broszur i czasopism.

Całe dwie ściany zajmowały oszklone szafy, z których wyglądały złożone grzbiety oprawnych książek.

Do tego pokoju wszedł Słotnicki i usiadł przed biurkiem w fotelu drewnianym.

Wziął pióro do ręki i pochylił się nad białą kartą zwyczajnego papieru.

Pisał... Pracował z takim zajęciem, że nie słyszał turkotu powozu, który

zatrzymał się przed gankiem. Dopiero, kiedy ktoś wszedł do pokoju, podniósł głowę i wstał z pośpiechem.

— Sąsiad dobrodziej! — zawołał, uradowany szczerze i uścisnął dłoń gościa. — Jak

to dobrze, że sobie pan samotnika przypomniał. Już naprawdę za sąsiadem tęskniłem.

— Młodemu zawsze bliżej do starego, bo ma nogi zdrowsze

— wyrzekł Ostrobudzki,

zajmując miejsce na miękkim foteliku, ustawionym z przeciwnej strony biurka.

— Moja wina, moja wielka, bardzo wielka wina, nie przeczę, ale proszę mi

niedbalstwo wybaczyć. Znów mnie ten przeklęty szatan, co czyha w kałamarzu na

spokój ludzi, za kark pochwycił i przykuł do roboty. Zdawało mi się, że

wytrzymam kilka lat bez pisania, ale przyzwyczajenie całego życia jest widocznie

silniejsze od chwilowego zmęczenia, czy wstępu, bo grzebię się od miesiąca w

bibule z niecierpliwością mola. Aż się sobie samemu dziwię.

Jak mi pomysł zaczął

świdrować w mózgu, tak też i wyświdrował nowe głupstwo.

Podsunał gościowi pudełko z cygarami.

— Znów pan co bazgrze? — zapytał Ostrobudzki, zapalając liść hawański.

— A jakże — odparł gospodarz. — Bazgrzę, smaruję, gryzmołę, chociaż nie wiem, czy będzie z tego jaki pożytek.

— Pewno dostanie szlachta jakie porządne smarowanie.

Niezaradna, lekkomyślna,

głupia, ma się rozumieć; wy wszyscy tak. A pan umie smarować, wiemy o tem.

Szlachcic gotów wreszcie sam uwierzyć, że to prawda.

Ostrobudzki spojrział na gospodarza życzliwie.

— Umie pan, umie — dodał. — Żebym ja tak potrafił piórem machać, tobym tym

gazeciarzom warszawskim dopiero kurtę wyciął! Ale cóż?  
Bozia nie dała talentu,  
więc trzeba uszy po sobie położyć i słuchać, co mądrzejsi  
gadają.

— Niech się sąsiad dobrodziej nie obawia — mówił Słotnicki.

— Miecz polemisty

dziennikarskiego zawiesiłem już na kołku. Rdzewieje on już  
od lat trzech. Ale

cóż u pana słyhać? Urodzaje na Woli dobre, jak zawsze?

— Chwalić Boga! Nie poskąpił Pan Bóg tego roku. Zresztą,  
wszystko po dawnemu,

tylko w Ostrobudkach zmieniło się. Panie wróciły z owych  
szkół uczonych.

— Wróciły? To bardzo dobrze. Będzie okolica miała nowe a  
miłe sąsiedztwo. Panie

Ostrobudzkie widywałem w Warszawie temu lat cztery w  
salonach literackich. Mają

to być osoby bardzo wykształcone.

— I jak jeszcze! Bratowa zjadła cały rozum ludzki, a nawet  
trochę więcej — mówił

Ostrobudzki, wypuszczając z ust gęsty kłęb dymu.

Słotnicki roześmiał się.

— I nie zachorowała na niestrawność? — zapytał.

— Ale gdzieżtam! Sprzątnęła wczoraj całą kaczkę.

— To dziwne! Rozum bywa wielce niestrawny, czasami  
nawet tak niezdrowy, że  
zabija.

Słowa te wygłosił Słotnicki wolno, oddzielając zgłoskę od  
zgłoski.

— Tak, zabija! — powtórzył głosem cichym i wyjrzał oknem.

Oko jego pobiegło znów daleko, aż na skraj widnokregu, a usta złożyły się w gorzki uśmiech.

Przez chwilę przypatrywał mu się Ostrobudzki ze współczuciem, a potem odezwał się:

— Spodziewam się, że zastanę pana którego dnia w Ostrobudkach. Paniom moim należy się wizyta od bliskiego sąsiada i dawnego znajomego. Sądzę, że bratowa będzie panu rada. Jedyne pan z całej okolicy może zająć tak uczone damy.

Słotnicki uśmiechnął się.

— Ja, panie! — mówił. — Cóżbym ja robił między niewiastami z moją łysiną i z moim pesymizmem?

Potrząsnął lekko głową.

— Tacy, jak ja, nie bawią dam — dodał.

— Słyszę ciągle, że łysina i pesymizm są dziś bardzo modne — wtrącił

Ostrobudzki.

— Ale niewygodne. Zresztą, jestem właśnie bardzo zajęty, a potem...

Słotnicki przesunął ręką po wypełzłej czaszce i ciągnął dalej głosem stłumionym:

— Wiadomo panu, że mnie ludzie strasznie zmęczyli.

Chciałbym ich na czas dłuższy omijać. Tak mi dobrze w mojej samotni.

— Kto widział uprzedzać się do ludzi w tak młodym wieku — odparł Ostrobudzki. —

Świat nie taki zły, jak się panu wydaje.

Słotnicki podniósł się z krzesła, przeszedł się kilka razy po gabinecie, potem stanął przy oknie i mówił:

— Nie taki zły? Znam ja go doskonale, lepiej od pana, mimo moich lat młodych, bo byłem w nich przez długi czas robotnikiem, a tylko walka o byt powszedni uczy prawdy. Osoby zamożne od kołyski, nie mogą mieć wyobrażenia o istotnej naturze ludzkiej. Wieś zresztą, bliższa przyrodzie, więc czystsza, szersza i zaspokajająca łatwiej od miasta potrzeby niezbędne, nie ma powodu do pesymizmu. Kto chce poznać prawdziwego człowieka, powinien mu się przypatrzeć na wielkich targowiskach pracy i rozkiełznanych namiętności i być sam kółkiem w fabryce zarobkowania. Ale po co ja to panu wszystko mówię. Takie pojęcia bywają owocem osobistych doświadczeń, których nie zastąpi żaden wykład teoretyczny.

— Byłoby to jednakże dziwne — mówił Ostrobudzki, podnosząc się z fotelu — gdyby pan od Ostrobudek stronił. Taka dawna znajomość i takie bliskie sąsiedztwo. Spotkacie się państwo zresztą rychlej, czy później, gdzie na drodze, albo na granicy majątków.

— W istocie — rzekł Słotnicki. — Nie wypada, trzeba być koniecznie, należy złożyć ofiarę "próżniakowi," któremu na imię "formy towarzyskie." Pojadę więc

którego dnia do Ostrobudek. Ale widzę, że się pan już wybiera. Nie puszczę pana przed obiadem.

— Nie mogę sąsiadowi dziś służyć. Bardzo pilne sprawy wzywają mnie do Łęczycy.

Siedząc w powozie, myślał sobie stary szlachcic:

— Jacy ludzie teraz dziwni; albo przewrotni, albo nieszczęśliwi...

Był już wieczór, kiedy załatwiwszy się w mieście, zajechał przed dwór ostrobudzki. Gdy wszedł do salki

stołowej, zastał tam Zosię, pochyloną nad dużym koszem.

Zbliżywszy się do

synowicy z tyłu, pocałował ją w szyję.

— Ostrożnie, stryжку, ostrożnie! — zawołała panna, podnosząc się z kolan.

— Albo co?

— Bo to owe żaby, które stryжка tak bawią — mówiła, rozkładając na stole mnóstwo pudełek.

— Pokażno owe skarby.

Ostrobudzki wziął do ręki jeden z preparatów.

— Ostrożnie, stryжку, ostrożnie! — prosiła panna.

Na tabliczkach szklanych porozkładała studentka uniwersytetu różne części ciała

różnych zwierząt. Były tam oczy, płuca, żołądki płazów i owadów, były pająki i

chrząsteczki, prawidłowo zasuszone i rozpostarte. Jedna duża tablica zdawała się

pokrytą jakimiś plamami.

— A to co takiego? — zapytał stryj.

— To moja bakteryologia, ale na to trzeba patrzeć przez szkła powiększające —

odpowiedziała synowica. — Czy widzi stryjek te oto pręciki zgięte? W rogu na prawo...

— Widzę — mówił szlachcic, uzbroiwszy oko w mikroskop.

— Takie połamane, faliste.

— To spirillum rubrum. Wszystkie drobnoustroje zgięte nazywa nauka spirillum, vibrio, spirochaete, chociaż nie ma jeszcze zgody pomiędzy badaczami, jak ochrzcić bliżej określone formy. A ta gromadka, jakby pakiecików z kreskami w środku, w lewym rogu tablicy, to sarcina, grzybek rozszczepkowy. Te punkciki znów, tworzące jakby sznurki koralu, to staphylococcus pyogenes aureus. Prawda, że to ciekawe?

— Bardzo. A w tych księgach, co przechowujesz? — zapytał Ostrobudzki, wskazując na zielniki.

— To cmentarzysko roślin — odpowiedziała panna. — Niech się stryjek przypatrzy, jak doskonale zachowane.

Otworzyła jeden z zielników.

— O, naprzykład ten tojad mordownik, aconitum napellus — mówiła, dotykając

paluszkciem jakiejś gałązki.— Albo ta atrapa belladona,  
pokrzyk lekarski.

Zupełnie, jak świeża. Za tym kaczyńcem błotnym chodziłam  
poi dnia, zanim go

odnalazłam. Ale za to prześliczny!

Panna zbliżyła zielnik do lampy i przypatrywała się błotnemu  
kaczyńcowi z

przyjemnością.

— Nie uwierzy stryjek — ciągnęła dalej — ile to się trzeba  
nieraz nachodzić, aby

zdobyć jaki okaz ciekawy. A ile potem pracy, ile staranności  
trzeba włożyć w

same preparaty. Męczyłam się cały wieczór, zanim ten oto  
jaskier przecięłam

pionowo przez środek, aby się uwydatniły pręciki i słupek.

Największej

dokładności wymagają preparaty z małych zwierzątek, a z  
drobnoustrojami nie

sposób sobie poradzić, mimo najlepszych przyrządów, gdy się  
nie ma bardzo

wielkiej wprawy. Zwierzęta bezkręgowce zajęły mi przeszło  
dwa lata.

— Cóż to takiego te zwierzęta bezkręgowce? — zapytał

Ostrobudzki. — To niby

takie, co nie mają kręgow?

Na ustach bakalarki ukazał się uśmiech pogardliwy.

— Wiadomo każdemu nowicyuszowi na wydziale

przyrodniczym — mówiła suchym tonem

starego profesora — że królestwo zwierząt dzieli się na dwie  
główne grupy, na

kręgowce i bezkręgowce. Do pierwszej należą: ssące, ptaki, ryby  
i płazy, do

drugiej wszystkie: stawonogie, mięczaki i robaki.



— Stawonogie? To niby takie bez stawów? — podchwycił stryj.

— A takie — odparła synowica z przekąsem. — Zwierzętami stawonogiemii nazywa

nauka: muchy, komary, pszczoły, motyle, karaluchy, pająki i raki; mięczakami:

ostrygi, ślimaki i wszelkie inne, żyjące w muszlach; robakami zaś: pijawki,

tasiemce, glisty, dżdżownice i t. p.

Podczas kiedy panna wyrzucała z siebie jednym tchem nazwy zwierzęce, stary

ziemianin uśmiechał się pod wąsem. Bawiła go erudycja synowicy.

— Bardzo to ładnie, że umiesz tyle mądrych rzeczy — odezwał się, gdy skończyła —

ale na co to wszystko?

— Jąko na co? — wyrzekła dziewczyna, podnosząc głowę wyniośle.

— Bo widzisz, wszystko, co człowiek robi, musi mieć jakiś cel. Niech ci się nie

zdaje, że potępiam naukę, której ludzkość zawdzięcza na ziemi mnóstwo

uwygodnień. Ja sam korzystam, jako rolnik, z wiedzy i talentu mechaników,

chemików i rozumniej szych odemnie agronomów. Ale tobie, co po znajomości budowy

karaluchów, ślimaków, żab i t. p. brzydkich stworzeń? Na chleb takimi

wiadomościami zarabiać nie potrzebujesz, a jako właścicielka ziemská, możesz się

obyć bez badania drobnoustrojów. Chyba, że masz zamiar poświęcić się zupełnie nauce.

— Tak daleko nie sięgają dotąd moje marzenia — odparła panna, marszcząc jasne brwi.

— Więc na co pracowałaś tyle lat daremnie, zamiast przyswoić sobie wiadomości pożyteczniejsze dla kobiety?

— Daremnie? Nie traci czasu daremnie, kto się uczy. Wiedza, to rozkosz, to potęga, to chluba i najwyż-

szy cel człowieka. Pracowałam na to, aby wiedzieć. Alboż to mało?

Spojrzała na stryja z góry.

Kiedy tak stała wyprostowana, szyderska, z pogardliwie wydętymi usteczkami, przypominała matkę. Miękość i swoboda młodości znikły z jej twarzy, ustąpiwszy miejsca twardemu wyrazowi.

— Czy się tobie zdaje, dziecino — mówił Ostrobudzki — że owe tojady mordowniki, pokrzyki lekarskie i błotne kaczyńce zostaną na zawsze w twej główce?

— Nie rozumiem, dlaczego stryj o tem wątpi?

— Dlatego, że i ja uczyłem się kiedyś w szkołach różnych rzeczy, o których nie mam dziś żadnego wyobrażenia.

— O, bo stryj...

Panna nie dokończyła myśli, ale zrozumiał ją starzec.

Podniósł rękę do wąsa, pogłaskał go wolno, pokiwał głową,  
patrzając z żalem na  
synowicę i wyrzekł:

— Bo stryj jest starym głupcem, chcesz powiedzieć, któremu  
pamięć nie dopisuje?

Ja co innego, ja nie zapomnę ani odrobiny z tego, co mi w  
Zurychu w głowę  
włożyli. Wszakże tak?

— Stryju! — szepnęła panna zawstydzona. Szorstki wyraz jej  
twarzy zmiękł,  
szyderski uśmiech spłynął z jej świeżej buzi.

— Przepraszam, stryjku, jeżeli... Ach, Boże, jaki stryj  
niedobry... — mówiła.

Ostrobudzki przygarnął ją do siebie i pocałował w oczy.

— Jesteś jedynym dzieckiem brata, którego kochałem —  
mówił głosem tkliwym. —

Pamiętaj, że stryj Stanisław stanie przy tobie w każdej ciężkiej  
chwili. I nie

gniewaj się na starego, że marudzi. To już wada lat sędziwych.  
Przytulił ją do piersi i trzymał przez kilka chwil w objęciach.  
Kiedy dziewczyna podniosła twarz, znikło z niej zupełnie  
podobieństwo do matki.

Była znów żywym odbiciem portretów wąsatych szlachciców,  
rozwieszonych wokoło na  
ścianach.

— Taką srogą udajesz — mówił Ostrobudzki, pieszcząc rękę  
synowicy — a wcale ci

niedobrze z marsem na czole i z wykrzywioną buzią. Płynie w  
tobie krew ludzi,

którzy nie pragnęli nigdy cudzej krzywdy, a nad cudzą nędzą  
zawsze się litowali.

I ty będziesz taką, jak wszystkie kobiety naszego rodu, o czym  
wcale nie wątpię.

A ten czerwony, opalony szlachcic, czy przyśnił się panience?

— zapytał nagle,

zwracając rozmowę w inną, stronę.

Zofia roześmiała się.

— Nigdyby stryjek nie zgadł, co mi się śniło? — zawołała.

— I cóż takiego?

— Niech sobie stryjek wystawi całe wojsko karaluchów,

ślimaków, motyli, pszczół,

komarów...

— Stawonogich i mięczaków — wtrącił Ostrobudzki.

— Tak, stawonogich, mięczaków i robaków — mówiła panna.

— Otóż śni mi się, że

zajeżdżamy przed dwór, a kiedy wysiadamy z powozu, wita  
nas owe dziwne wojsko.

Karaluchy, ubrane w mundury gwardyi napoleońskiej,

prezentowały broń, żaby

bębniły, komary powiewały chorągwią, a chrabąszcze wołały:

hurra! Nagle zjawił

się jakiś olbrzym z głową stryjka i rozpędził tę całą hałastę na  
wszystkie

wiatry. Uciekało wojsko, co tchu, na drzewa, na dach, na

klomby kwiat-

we, a stryjek wywijał ciągle ogromną miotłą. Prawda, że  
zabawny sen?

— W istocie niezwykły — potwierdził Ostrobudzki.

— Zapewne dlatego, że kładąc się wczoraj do łóżka, myślałam nad tem, gdzie umieścić preparaty. A może i dlatego, że bałam się trochę stryjka.

— Bałaś się, naprawdę?

— Jak stryjka kocham. Stryjek tak wczoraj na nas dziwnie spoglądał.

Ostrobudzki przygarnął znów synowicę do siebie.

— Tylko się mnie nie bój, dzieciно — mówił — kocham cię, jak własną córkę.

— Tableau! — odezwał się w tej chwili suchy głos pani Olimpii, która weszła z sąsiedniego pokoju. — Pan brat zepsuje mi Zosię. Już ona zaduża na pieszczoty.

— Na pieszczoty nie jest nikt zadużym — odparł Ostrobudzki, podchodząc do bratowej. — Smakują one nawet w starości. Jakże bratowa znalazła Ostrobudki?

— Należy się panu nasze szczere uznanie i podziękowanie. Zastałyśmy majątek w porządku wzorowym. Dziękujemy serdecznie. Będzie nam tu dobrze po kilkoletnich trudach, a byłoby jeszcze lepiej, gdybyśmy znalazły w okolicy jakie przyjemne towarzystwo. Ale o takim zbytku na wsi marzyć nie można.

— A gdyby można? — wyrzekł Ostrobudzki.

— Przepraszam pana, że ośmielę się mieć pod tym względem pewne wątpliwości.

Pani Olimpia złożyła usta pogardliwie.

— Pan Stefan Słotnicki złoży paniom w tych dniach uszanowanie — mówił Ostrobudzki.

— Pan Słotnicki? — zawołały obiedwie panie równocześnie, spoglądając zdziwione na szwagra i stryja.

— Chyba nie ten z Warszawy? — odezwała się pani Ostrobudzka.

— Ten sam; jeden z naczelników ruchu postępowego, znany paniom osobiście i z czasopism; wielki majster słowa i zacięty wróg wstecznictwa. Wyliczając tytuły Słotnickiego, uśmiechał się Ostrobudzki pod wąsem.

— Ten sam, materyalista, ateusz, pozytywista i jak go tam nazywali — ciągnął dalej — a obecnie nasz najbliższy sąsiad, bo odziedziczył po stryju Zalesie.

Sądę, że wizyta pana Słotnickiego nie sprawi paniom przykrości?

— Ależ prosimy, prosimy! — mówiła pani Ostrobudzka z żywością. — Mieć na wsi takiego sąsiada, to wielki los wygrany na loteryi.

### III.

Wróciwszy po czteroletniej nieobecności do domu, zastały panie Ostrobudzkie dziedzictwo swoje w takim porządku, jak gdyby nigdy z majątku nie wyjeżdżały. Na polach, na łąkach, na folwarku, w ogrodzie, widać było ślady usilnej a rozumnej

pracy. Jakaś umiejętna ręka zaprowadziła wszędzie ład,  
którego nieboszczyk pan  
Wojciech, gospodarujący po staroświecku, nie bardzo  
przestrzegał, zadowolony,  
gdy przy końcu roku koniec z końcem powiązał.  
Opiekun Zofii i równocześnie główny administrator  
Ostrobudek, zaprowadził  
płodozmian, drogi wyrównał i drzewkami wysadził, grunta  
zimniejsze wymarglował,  
rowy wykopał, na błotach urządził torfiarnię, budynki  
folwarczne odświeżył, w  
parku i w sadzie wyciął niepotrzebne drzewa, o dworze nawet  
nie zapomniał.  
Gdy nadeszła wiadomość o powrocie dziedziczek, kazał pan  
Ostrobudzki odnowić  
obicia na ścianach i meblach, posadzki wywoskować, drzwi i  
okna pomalować. Do  
kuchni zajrzał, przeliczył pościel, zamkniętą na strychu w  
dużych skrzyniach,  
spizarnię własnymi wędlinami, marynatami i konfiturami  
zaopatrzył. Aby się panie  
u-

czuły odrazu u siebie, zgodził kucharza, gospodynię, lokaja i  
pannę służącą.  
Nie potrzebowały się o nic troszczyć. O wszystkim pamiętał  
opiekun.  
Owoce pracowitej ręki były tak widoczne, że uderzyły nawet  
panią Olimpię,  
choć się wdowa po mężu, który nie lubił, aby się żona  
wtrącała do jego

królestwa, nie zajmowała nigdy gospodarstwem i nie znała różnicy między zarządem dobrym a złym.

— Twój stryj nie próżnował w czasie naszej nieobecności — mówiła do córki, gdy

siadły nazajutrz do wolantu i kazały się obwieźć wzdłuż granic majątku. — Nie

bardzo umiem ocenić taką lub inną działalność rolników, ale zdaje mi się, że za

rządów twojego ojca -strobudki inaczej wyglądały.

— Ależ to widoczne nawet dla profana — odezwała się Zofia.

— Stryj Stanisław

miął zawsze opinię znakomitego gospodarza.

— Słyszałam o tem; mówią także w okolicy dużo o uczciwości, czy prawości pana

Stanisława, ale cóż z tego, kiedy taki prostak.

— Przepraszam mamę, ale wcale tego nie dostrzegam — odparła panna. — Stryj

wyraża się poprawnie i nie razi formami. Robi najzupełniej wrażenie człowieka

lepszego towarzystwa.

Pani Olimpia wysunęła dolną wargę pogardliwie.

— Wyraża się poprawnie — wyrzekła — gdy rozprawia o koniach, wołach, osłach i

paszy, a rusza się dlatego przyzwoicie, bo nie urodził się i nie wychował w

karczmie. Coś tacy ludzie umieć muszą. Spróbuj jednakże wprowadzić go na tory

szersze, a zobaczysz, że nie da sobie rady.

— Nie sędzę...



— Ty zawsze z twojem „nie sądzę!” — przerwała pani Olimpia, spoglądając z góry przez szkła na córkę.— Jesteś jeszcze zamłoda, abyś mogła prostować sądy matki.

Zdawałoby się, że panna, ozdobiona dyplomem bakałarza, upomni się o prawa swojego sądu. Tymczasem. opuściła Zofia główkę i odparła tylko cichym głosem:

— Stryj był dla nas taki dobry, mamó. Milcząc, wróciły do domu.

Pierwsze dni minęły dziedziczkom Ostrobudek szybko.

Aczkolwiek zastały dwór w porządku, mimo to znalazło się jeszcze dla wytwornych rąk niewieścich dużo

roboty. Panie stroiły salony i buduar, upinały portyery i firanki, przestawiały

meble podług swojego gustu, kręciły się, słowem, przez cały dzień, po domu,

ścieląc sobie miękkie gniazdeczko.

Zofia, dziecko wsi, wybiegała często, to do ogrodu, to na dziedziniec.

Przypomnieć sobie chciała dawnych przyjaciół, stare lipy i kasztany, i zabrać

znajomość z obecnymi mieszkańcami stajen i obór.

Wśród takich zajęć minął prawie tydzień.

W kilka dni po powrocie do kraju, siedziały panie w godzinach poobiednich pod

obszerną werendą, przystawioną do dworu od strony parku.

Był ztąd widok szeroki.

Drzewa, wycięte rozmyślnie przy końcu angielskiego ogrodu, odsłaniały

jednostajny krajobraz zielonych łąk i pól. Na samym skraju widnokregu majaczyły

niewyraźne kontury prastarej kolegiaty.  
Pani Ostrobudzka, zagłębiona w miękkim fotelu, przeglądała  
czasopisma,  
przywiezione właśnie z poczty.  
I Zofia czytała, rozłożona niedbale w krzesło bujającym.  
Przerzuciwszy jakąś  
gazetę, opuściła ją razem

z ramieniem, które opadło bezwładnie na poręcz. Spojrzenie  
jej, zatrzymawszy się  
przez kilka chwil na parze łabędzi, płynących bez szelestu, z  
rozpiętymi  
skrzydłami, po stawie parku, przesunęło się wolno szpalerem  
grabowym, szło przez  
łąki, po nad falą, zbóż rozkołysanych, aż uczepiło się  
złocistego krzyża wieży  
tumskiej, błyszczącego na tle błękitnego nieba, jak gwiazdka  
daleka.

Dziewczyna myślała o czymś. Brwi jej to się marszczyły, to  
rozsuwały, a usta  
poruszały się od czasu do czasu.

Pani Olimpia, biorąc ze stołu świeży dziennik, spostrzegła  
medytację córki.

— Czy się już na wsi nudzisz? — zapytała.

— Zatrważa mnie trochę ta cisza — wyrzekła Zofia głosem  
stłumionym, nie  
zmieniając położenia. — Gdy sobie pomyślę, że mam na tem  
pustkowiu spędzić może  
całe lata, buntuje się coś we ranie przeciw takiej monotonii.  
— Zepsuł cię pobyt w ludnych miastach, ale nie obawiaj się,  
ba i ja nie myślę

wiednąć na wsi. Zimą będziemy mieszkały w Warszawie,  
miesiące zaś letnie  
wypełnią nam książki i towarzystwo inteligentnych gości.  
Urządzimy sobie w  
Ostrobudkach małe Ateny. Zanim zawiążemy nowe,  
przyjemne stosunki, zaprosiłam  
tymczasem panią, Iłowską, powinna przybyć za kilka dni. To  
bardzo inteligentna  
osoba. Na wieczór dzisiejszy wymyśliłam miłą robotę.  
Rozstawimy w salonach i w  
buduarze fotografie naszych kolegów i koleżanek zurychskich.  
Mówiąc to, podniosła się pani Ostrobudzka i udała, się do  
pokojów, a kiedy po  
kilku minutach wróciła na werendę, trzymała w ręku duży  
pakiet.

— Masz swoich wielbicieli — odezwała się, podsuwając  
córcie trzy fotografie  
gabinetowe. — Postaw sobie swoich Serbów i Brazylijczyka  
na biurku. Ten Węgier  
pójdzie do mnie. Cóż za głowa myśląca, jakie rozumne oczy!  
— Zanadto mi mama uwielbia głowy i oczy naszych kolegów  
— wyrzekła Zofia,  
uśmiechnąwszy się nieznacznie.  
— Uwielbiam w nich rozum, naukę — odpowiedziała pani  
Ostrobudzka. — Tylko rozum  
daje oczom taki ogień.  
Córka spojrzała na matkę z pod czoła.  
— A gdyby ci nasi Serbowie, Węgrzy i Brazylijczycy byli  
trochę, troszeczkę mniej

przystojni i gdyby zamiast lat dwudziestu kilku, liczyli  
pięćdziesiąt lub  
sześćdziesiąt wiosenek? Do tego ognia w oczach przyczynia  
się także odrobinę  
młodość i gorąca krew południa.

Uśmiech dowcipny nie schodził z ust Zofii.

— Człowiek rozumny nie może być brzydki — wyrzekła pani  
Ostrobudzka sucho.

— Nawet ten szympan Lefroy, ten Francuz z kształtami  
małpy?

— Jak możesz się tak wyrażać, Zosiu. Inteligencja pana  
Lefroy zaćmiewa jego  
brzydotę fizyczną.

— Co do mnie, wołałabym zawsze kochać i uwielbiać  
młodego i przystojnego  
chłopca. Rozumie się, że nie powinien być nieukiem.

— Któż mówi o kochaniu? Jeżeli mówię, że uwielbiam, ma to  
znaczyć, że korzę się  
przed potęgą inteligencji. Można uwielbiać i kochać  
człowieka rozumnego  
platonicznie, jak się kocha i uwielbia naukę, sztukę.  
Snać nie przekonał ten frazes dziewczyny, bo uśmiechnęła się  
z niedowierzaniem.

— Zapewne — wyrzekła — ale nauka, wcielona w ładnego  
chłopca, ma urok podwójny.

— Zaczynasz myśleć zbyt często o owem wcieleniu. Byłoby  
to śmieszne, gdybyś  
miała studia uniwersyteckie zakończyć trywialnie  
małżeństwem, jak pierwsza  
lepsza parafianka! Fe! Łączyć się w pary, jak zwierzęta!

Zofia zamilkła. Zasłoniła twarz gazetą., aby ukryć gorący rumieniec.

— Goście, goście! — zawołała po chwili, podnosząc się z pośpiechem.

— Prawdopodobnie pan Stanisław — wyrzekła pani Ostrobudzka.

— To odgłos powozu, a stryjek przyjeżdża do nas bryczką. W otwartych drzwiach salonu stanął lokaj i meldował:

— Pan dziedzic z Zalesia pyta, czy jaśnie pani przyjmuje?

— Pan Słotnicki! — zawołała Zofia.

— Prosić! — wyrzekła pani Ostrobudzka.

A kiedy się sługa oddalił, zwróciła się do córki, mówiąc:

— Zachowujesz się, jak gąska prowincjonalna. Kto widział cieszyć się tak głośno?

Zanim Zofia miała czas odpowiedzieć, rozwarł lokaj podwoje przed gościem, który

wszedł krokiem elastycznym, a dostrzegłszy panie na werendzie, zbliżył się do nich z ukłonem.

— Korzystając z tak bliskiego sąsiedztwa — wyrzekł głosem dźwięcznym — ze swobody wsi, pozwalam sobie przypomnieć się paniom. Miałem zaszczyt być pa-

niom przedstawionym w salonie pani Kossowskiej w Warszawie.

Pani Olimpia wyciągnęła do gościa rękę.

— Tak rozgłośnych i zasłużonych znajomych, jak pan, nie zapomina się, gdy się ich raz widziało — wyrzekła.

Słotnicki podziękował za grzeczność uśmiechem konwencyjonalnym. Tyle już razy słyszał w życiu ten sam frazes, iż nie zrobił na nim żadnego wrażenia.

— Skorzystamy i my ze swobody wsi — mówiła pani Ostrobudzka — i przyjmujemy pana na werendzie, zamiast w dusznym salonie.

A kiedy Słotnicki spoczął na jednym z krzeseł, dodała:

— Proszę, niech pan odłoży kapelusz. Wieś nie uznaje wizyt kilkominutowych, za

co jej tym razem szczerze wdzięczne jesteśmy.

Nastąpiły znów zwykłe ukłony konwencyjonalne.

— Mówił mi pan Ostrobudzki, że panie zamierzają stale na wsi zamieszkać — zaczął

Słotnicki, zawiązując rozmowę.

Pani Olimpia odpowiedziała to samo, co przed chwilą córce mówiła; następnie

powtórzyła znane skargi ludzi, wychowanych w mieście, na jednostajność wsi, na

brak odpowiedniego towarzystwa i tym podobne ogólniki.

Słotnicki słuchał z uwagą, przechylony z uprzejmym uśmiechem do pani

Ostrobudzkiej. Ani przeczył, ani potakiwał, wtrącając tylko od czasu do czasu

kilka słów dopełniających.

Zwrócony twarzą do pani domu, nie mógł widzieć, że był przedmiotem obserwacji

Zofii. Oczy dziewczyny badały go ze wszystkich stron, coraz więcej zdziwione.

Słynny publicysta, znany z namiętnego pióra, ubrany,  
uczesany, ostrzyżony, jak  
każdy inny mężczyzna z dobrego towarzystwa, siedział na  
krześle, ruszał się,  
uśmiechał, gawędził z szablonową poprawnością. Nic nie  
zdradzało w nim  
niepospolitych zdolności, których dowody rozrzucał po kraju  
od lat wielu w  
formie artykułów i broszur, nic owego ognia, jaki buchał z  
każdej jego kartki.  
Był to pospolity okaz człowieka dobrze wychowanego,  
przywykłego do towarzystwa  
kobiet światowych.  
Pannie, która spotykała wprawdzie kiedyś Słotnickiego w  
salonach warszawskich,  
ale nie ośmieliła się wówczas do niego zbliżyć, zdawało się,  
że z głowy  
utalentowanej powinny tryskać odrazu oryginalne myśli, jak  
iskry z baterii  
elektrycznej. Spodziewała się rozmowy błyskotliwej,  
pobudzającej, a słyszała  
banalne zwroty; wystawiała sobie, że rysy twarzy takiego  
człowieka powinny grać  
ciągle pod wpływem różnorodnych wrażeń, a widziała przed  
sobą, niezmiennie  
chłodny uśmiech zdawkowej uprzejmości.  
W oczach jej malowało się rozczarowanie.  
— A gdyby mu poddać jaki temat — pomyślała. Obyta w  
uniwersytecie z płcią,  
męską, z której przedstawicielami kolegowała, nie zawahała  
się ani na chwilę.  
— Czy wolno zapytać, co pan sądzi o najświeższym ruchu  
reakcyjnym we Francji? —

odezwała się, gdy zauważyła, że dyalog z matką zaczyna słabnąć.

Słotnicki odwrócił się i ujrzał parę jasnoniebieskich oczu, wpatrzonych w niego wyzywająco.

Tyle razy już zadawano mu w życiu przeróżne pytania, niespodziewane, mądre i niemądre, niezwykle i

naiwne — i tylekroć spotykał spojrzenia, wlepione w niego z uwielbieniem, z

obawą lub z natrętną ciekawością, że nie zdziwił się wcale.

W źrenicach jego mignęło tylko coś, jakby odblask uśmiechu lekceważącego, ale

trwało to zaledwie sekundę.

— O ruchu reakcyjnym Francji? — powtórzył głosem niedbałym. — Nie odgaduję, o jakim mianowicie kierunku pani mówi?

— O symbolistach, spirytystach i o neochrześcianach, którzy podnoszą głos, jakby

mieli coś ważnego do powiedzenia — wyjaśniła Zofia. — Zdaje się, że nie może być

pod tym względem dwóch zdań. Cóż mają do powiedzenia ludzie, którzy pozwalają

sobie napadać na naukę niezawisłą i odmawiają rozumowi prawa rozstrzygania we

wszystkich sprawach? Jedyne rozum nie łudzi się, nie myli, gdy polega na

rezultatach bezpośredniej obserwacji.

— Tak, tylko bezpośrednia obserwacja przekonywa — odezwała się pani Olimpia



tonem profesorskim.— Czego ona nie potwierdzi, to nie zasługuje na uwagę.

— Tylko głowy słabe mogą zwątpić o rozumie — dodała panna.

Mówiły w ten sposób przez kilka minut, wyrywając sobie słowa z ust. Słotnicki słuchał, podnosząc od czasu do czasu głowę, jak stary koń bojowy, który na odgłos trąbki podrzuca łbem i strzyże uszami. W jego oczach zapalały się ciągle światła, ale gasły natychmiast. Zdawało się chwilami, że weźmie udział w dyspucie. Nie odezwał się jednak... Słuchał i milczał. Kiedy się zapas zwykłych frazesów o znaczeniu wiedzy wyczerpał, spostrzegła dopiero Zofia, że odpowiedziała sobie sama na własne pytanie.

— Czyby nie uważał nas za godne do prowadzenia inteligentnej rozmowy? —

pomyślała, rzucając gościowi niechętne spojrzenie.

— Sądzę, że pan zdanie nasze podziela? — wyrzekła, zwracając się wprost do gościa.

— A dlaczego pani tak sądzi? — odezwał się nareszcie Słotnicki.

— Dlatego, że znam pańską działalność publiczną, że uczyłam się na pańskich polemikach z naszymi zacofańcami, na pańskich artykułach i broszurach, myśleć i patrzeć na świat oczami krytycznemi.

— Czy rzeczywiście? Słotnicki pochylił głowę.

— Nie inaczej — mówiła Zofia, ożywiając się. — Jesteśmy z mamą wielbicielkami pańskiego talentu; każdy z pańskich artykułów był dla nas biesiadą. Chwytałyśmy gazetę, redagowaną przez pana, z gorączkową niecierpliwością.

— O, jaka szkoda! — wyrzekł Słotnicki głosem stłumionym. Panie spojrzały zdumione nasamprzód na gościa, potem na siebie. Słowa jego przysły tak niespodziewanie, że wykoleiły odrazu rozmowę. W tej chwili ukazał się lokaj na progu werendy i mówił coś oczami do pani Olimpii. Zrozumiała go, bo podniosła się i przeprosiwszy, że musi się na chwilę oddalić, wyszła za służącym.

— Szkoda? — powtórzyła Zofia głucho, nie odwracając oczu od gościa.

— Panią to dziwi, że jeden z filarów obozu postępowego podpisuje sam wyrok na swoją działalność? — zaczął Słotnicki.

— Nietylko mnie dziwi...

— Ale nawet gorszy, oburza. Panna nie przeczyła. Słotnicki uśmiechnął się gorzko.

— Temu lat dziesięć, pięć jeszcze — mówił, patrząc przed siebie — wierzyłem i uczyłem tak samo, jak pani obecnie wierzy i za nami powtarza. I mnie zbałamucili

oczywiście inni, a rozzuchwalała pycha pierwszej młodości,  
której się zawsze  
zdaje, że się historia człowieka dopiero od niej rozpoczyna.  
Za tę pychę ukarały  
mnie lata dojrzałe okrutnie, bo pozbawiły mnie w kwiecie  
wieku podstaw życia.

W co dotąd wierzyłem, nie przekonywa mnie już; co mnie  
przez długi czas

zajmowało, męczy mnie od roku. A czemu człowiek  
publiczny bez celów ukochanych?

Zamilkł. Twarz jego osnuły cienie głębokiego smutku, z  
szeroko otwartych oczu

wyglądał wielki ból— ból duszy, zranionej śmiertelnie, a nie  
mogącej skonać.

— Czy pani rozumie, co to znaczy stracić wiarę w siebie i w  
swoje ideały? —

mówił dalej Słotnicki.

Dziewczyna dwudziestoletnia, odurzona świeżo nabytą  
erudycją, nie mogła się

wczuć w położenie rozbitka, ale serce niewieście ukorzyło się  
przed cierpieniem.

Już bez niechęci patrzyła Zofia na Słotnickiego. I jej udzieliła  
się część jego

smutku.

On przesunął rękę po czole i mówił dalej:

— Przepraszam, że dotykam szorstką dłonią pani złudzeń, ale  
jest pani synowicą

pana Stanisława, którego bardzo szanuję i poniekąd moją  
uczennicą. Z tych dwóch

tytułów pozwolę sobie dać pani drobną, pobieżną wskazówkę.

Niech pani siebie

całej nie powierza rozumowi, bo to podstępny pyszałek, który  
rzuca człowieka bez

miłosierdzia na pastwę zwątpienia, aby go zbałamucił i zawiódł. I swego serduszka niech pani też cza-

sem posłucha i owych dziwnych głosów, odzywających się w jakichś tajnikach mózgu, czy nerwów... nie wiem. A teraz, na dowód, że pani nie ma do mnie żalu, proszę podać mi rączkę. Słowa ostatnie wymówił głosem cichym, serdecznym i serdecznie też uścisnął białe palce dziewczyny.

— Dziś mnie pani może jeszcze nie zrozumie, bo do wszystkiego potrzeba czasu — dodał — ale kiedyś przypomni sobie pani niezawodnie słowa moje.

Podniósł się i zaczął szukać kapelusza. Pani Olimpia wróciła właśnie na werendę.

Spostrzegłszy zamiar gościa, odezwała się:

— O, nie puścimy pana przed podwieczorkiem. Jako wieśniakowi, nie wolno się panu wyłamywać z pod zwyczajów wsi.

Słotnicki, skłoniwszy się, podał pani Ostrobudzkiej ramię i przeprowadził ją do sali stołowej.

— Pan pozwoli herbaty czy kawy? — zapytała, Zofia.

— Dziękuję za jedno i za drugie.

— To może owoców?

— Z przyjemnością.

Zaledwie zajęli miejsca, rozpoczęła znów pani -strobudzka mądrą gawędkę.

Poddała krytyce najświeższą powieść francuską, mówiła o drobnoustrojach, potrafiła o filozofię, nie zapomniała nawet o najnowszych obrazach i rzeźbach. Rzuciła pytania, zwracając się ciągle do Słotnickiego, ale odpowiadała na wszystko sama, z czego gość był widocznie zadowolony, bo nie starał się wcale o przedłużenie rozmowy. Słuchał napozór uważnie, ale myśli jego nie towarzyszyły zawsze sądom, wygłaszanym przez panią.

Ostrobudzką. Zdradzały to jego oczy, błędzące po portretach, rozwieszonych na ścianie.

Zatrzymywano go jeszcze po podwieczorku, ale wymówił się interesami.

— Mamy nadzieję, że pan o nas nie zapomni — zapraszała gospodyni.

Bąknął coś niewyraźnego i pożegnał się. Gdy się drzwi za nim zamknęły, zwróciła

się pani Ostrobudzka do córki:

— Nie powiem, żeby ten lew dziennikarski był zajmujący.

Wystawiałam go sobie inaczej w stosunkach prywatnych.

— Pan Słotnicki mówi w istocie bardzo mało — wyrzekła Zofia — ale może to tylko

skutek zmęczenia. Wygląda tak znużony, taki jakiś smutny.

— A może więcej zblazowany, niż zmęczony. Takich ludzi psują, kobiety,

zwłaszcza, gdy są przystojnymi, jak Słotnicki. Dziwne oczy  
ma ten człowiek. Czy  
uważałaś, jak się ciągle mienia? A jaka ręka! Pozazdrościłaby  
mu jej każda  
elegantka.

Cenzurowany w ten sposób siedział w powozie złamany,  
jakby po ciężkiej  
wypoczywał pracy.

— A to mnie uraczyły! — mruknął, gdy znalazł się sam z  
sobą. — Historia,  
filozofia, chemia, literatura, sztuka, może jeszcze teologia...  
dla Boga!...

Tylko kobiety umieją takie bigosy przyrządzać.

Odetchnął i wyciągnął się wygodnie.

— I to moje wielbiciele, wyznawczynie — myślał. — Ładnie  
się zasłużyłem, ani  
słowa!

Oparł głowę na tylnym wysłaniu karety i patrzył przez okno  
na pola, ciemniejące  
w mrokach wieczornych.

Nie widział łąnów pszenicznych, ani drzew przydrożnych, ani  
chłopów,  
uchylających czapki przed zna-

nym w okolicy ekwipażem. Lotna jego myśl ogarnęła długie  
lata pracy publicznej,  
górze zadrukowanej bibuły, cmentarzysko wierzeń, zapałów,  
pragnień pierwszej  
młodości.

Nie kłamał nigdy.

Mówił zawsze to, co w danej chwili czuł, w co wierzył gorąco. Nie napisał ani jednej kartki dla celów niskich, dla pozyskania czyichś względów lub dla zarobku. Bywały całe tygodnie, miesiące, w których walczyć musiał o byt powszedni, jak nędzny wyrobnik, głodny nieraz i pozbawiony lepszego ubrania, chociaż mógł sobie życie uwygodnić. Wystarczało nagiąć się trochę do ludzi, zrobić drobne ustępstwo, nie zrażać tchórzów prawdomównością, być, słowem, więcej praktycznym. Mniej od niego zdolnym, wykształconym, pracowitym, zwykłym sprytowiczom, pospolitym dziennikarzom, dawała prasa stanowiska wpływowe i chleb dostatni, a on, uznany jako pierwszorzędny talent publicystyczny, ożywiający każde czasopismo, nadający mu barwę, nie wiedział nieraz, czy zje obiad w porze właściwej. Nie kupił go nikt. Nie było ceny na jego przekonania. Więc pracował uczciwie, z dobrą wiarą, a mimo to... Przed dziesięciu laty, ukończywszy studia uniwersyteckie w Niemczech, przybył do Warszawy i stanął bez namysłu pod sztandarem postępowym. Przygasający już płomień pozytywizmu rozdmuchał nanowo tchnieniem swojej młodości i talentu. Wierzył, jak wszyscy jego rówieśnicy, w nadejście nowej ery, w której tylko

rozum panować będzie, wypędziwszy z powierzchni ziemi raz  
na zawsze bezkrytyczne  
domysły, przeczucia, zabobony. Był zaciętym wrogiem  
nieuchwytnych tęsknot i  
marzeń człowieka. Mrokami, niemądremi majakami, na-

zywał wszystko, co nie da się zważyć, obliczyć, powąchać,  
smakować, co nie  
podlega kontroli ucha i oka. A teraz...  
Już po kilkoletniej pracy zaczął czuć, że go pierwotny zapach  
opuszcza. Patrząc  
na ludzi zbliska, nie przez szkła nabyte w szkołach, lecz przez  
własne, przez  
mikroskop osobistej obserwacji, dostrzegał, że człowiek nie  
tak wygląda, jak go  
sobie wystawiał, a wypadkami nie sam tylko trzeźwy rozum  
powoduje; że wiele  
innych przyczyn składa się na takie lub inne losy jednostki.  
Równocześnie z rosnącą świadomością życia przychodziły na  
niego chwile  
zwątpienia natury wytworniejszej.  
Naokoło niego waliły się kolejno tak zwane prawdy naukowe,  
które miały przetrwać  
aż do skończenia rodu ludzkiego. Hypotezy pozytywizmu i  
ewolucjonizmu padały w  
proch pod obuchem nowych badań. Ludzie przestali się  
modlić do Comte'ów,  
Darwin'ów i Spencerów, a zaczęli się oglądać za innymi  
prorokami. Z Zachodu  
dochodziły dziwne wieści. We Francji, w Anglii i w  
Niemczech zmartwychpowstawały



wydrwione przesady, zabobony średniowieczne, tajemne sztuki magów, kabalistów i alchemików. Słotnicki widział, że zwolennicy programu, któremu służył, odwracali się od jego doktryn, przenosząc się cichaczem wstydliwie pod inne znaki.

I on sam doświadczał na sobie jednostronności teorii materialistycznych. Zaczął się męczyć w ciasnym kółku wiedzy niezawisłej. W miarę, jak dojrzewała jego świadomość, rozumiał coraz lepiej nicość człowieka w stosunku do ogromu wszechświata i dostrzegł mnóstwo zapytań, na które mu nauka nie dawała odpowiedzi. A on chciał wiedzieć

wszystko i wierzył zrazu, że posiadzie pełną, świadomość. Więc kiedy się niedowiedział, czego pragnął, wówczas rzucił pióro i okrył głowę czarnym płaszczem pesymizmu. Stracił ochotę do pracy, której już nie kochał.

I byłyby się w jego życiu powtórzyły ciężkie chwile z pierwszych lat kariery dziennikarskiej, bo dla samego tylko chleba pisać nie umiał, gdyby mu nagła śmierć stryja nie była pozwoliła wypocząć po rozczarowaniach młodości bez upokorzeń trosk materialnych. Stary skąpiec i sybaryta, który synowcowi odmawiał wszelkiej pomocy, zastawiając się jego skrajnymi przekonaniem, umarł bez

testamentu i obdarzył przeciw woli hojnie jedyne go prawnego spadkobiercę.

Odziedziczywszy niespodziewanie znaczny majątek, uciekł wyczerpany szampion

postępowy z Warszawy i ukrył się na wsi, stroniąc od ludzi, jak śmiertelnie

zranione zwierzę. Smutku swego nie obwoził po okolicy, znalazłby bowiem między

przeciętnymi ziemianinami niewielu, którzyby potrafili odczuć jego wytworne

cierpienie. Gdy kogoś wypadkiem poznał, nie usuwał się od stosunków, nie chcąc

uchodzić za dziwaka, ale sam nie szukał nikogo.

Całą przeszłość widział dziś plastycznie. Niedługa ona była, a mimo to

przebiegła dalszą drogę, niż pełne życie innych ludzi. Jeszcze nie dobiegł lat

czterdziestu, a już wyczerpał wszystkie zasoby młodości. Po za nim wznosiła się

kupa gruzów, a przed nim?... Przed nim nie było nic, o coby się mógł zaczepić.

— Prędko dziś jedziemy — mówił do siebie — tak prędko, jak bankruci lub nieboszczycy.

Gdy stanął przed domem zaleskim, spostrzegł w oknach dworu światło.

— Czy kto przyjechał? — zapytał lokaja, który wybiegł, aby pomódz panu przy wysiadaniu.

— Jakiś pan śpi na szezlongu w kancelaryi jaśnie pana.  
Mówił, że z Warszawy —  
odpowiedział służący.  
Słotnicki skrzywił się.  
— Dawno przyjechał?  
— Zaraz po wyjeździe jaśnie pana. Mówił, że zmęczony i  
położył się.  
— Już się odłożył! — odezwał się z okna jakiś głos obcy.  
Słotnicki wszedł szybko do dworu i wbiegł do gabinetu.  
— A ciebie jakie bogi przyniosły do Zalesia? — zawołał,  
ściskając rękę bruneta  
średniego wzrostu.  
— Żadne bogi, tylko obrzydliwe zapachy miejskie wywiały  
mnie z Warszawy. Mam  
zamiar zabawić u ciebie kilka dni, może tydzień, dwa, nie  
wiem, co będzie  
zależało od mojego humoru i twojej gościnności. Chyba, że ci  
zawadzam? — mówił  
przybysz.  
— Cóż znowu? Siedz całe lato, jeżeli się ze mną nie znudzisz.  
Ale musisz być  
głodny?  
— Syty nie jestem, zwłaszcza, że nie jadłem nic w drodze, nie  
chcąc się struć w  
restauracjach kolejowych. Mógłbyś mi kazać podać naprzód  
kieliszek jakiej  
gorzałki. Nałykałem się multum kurzu.  
— W tej chwili.  
Słotnicki zadzwonił i rozporządził zakąskę.  
— Co do wieczerzy, zechciej sam dysponować — mówił do  
gościa. — Kucharza mam  
dobrego, chociaż korzystam rzadko z jego sztuki, ale tobie  
może się mój

Bartniewicz przydać. O ile sobie , przypominam, lubisz dobre papu.

— Bo to jedna z główniejszych rozkoszy tego marnego życia  
— wyrzekł gość.

— Więc bierz na czas pobytu w Zalesili kucharza pod swoją komendę i rozkazuj bez odwoływania się do mojej powagi, która się na rzeczach kulinarnych niewiele rozumie. I klucze od piwnicy niech ci służą. Stryj zostawił wyborowe wina.

— Patrz! To dopiero filozof! Szkoda, że nie był moim stryjem. Byłbym umiał skorzystać lepiej od ciebie z darów Bożych. Byłeś na tym punkcie zawsze fuszerem. Ale cóż ty tu porabiasz, kiepski waryacie? Uciekasz z Warszawy, nie żegnasz się z ludźmi, nie piszesz do nikogo, jak gdyby cię wiatr zdmuchnął.

Spotyka mnie kiedyś na ulicy Pałęcka, wiesz, ta fertyczna aktoreczka i pyta:

„Gdzie się pan Słotnicki podział? Mów pan, bo chcę się w nim zakochać.” Ofiaruję

w zastępstwie własny osobę — ani słucha. Wydawcy dziwią się: gdzie pan

Słotnicki? Więc gdzieżeś ty jest, co porabiasz?

— Liżę się.

— Z czego?

Słotnicki wskazał ręką na głowę.

— Ach, prawda! — zawołał gość — masz zajączki pod czaszką, pesymizmy, rany

duszy, umysłu, czy tam czegoś; wszystko mi zresztą jedno.  
Każdy się tak urządza,  
jak mu najwygodniej. Co do mnie, życie tyle warte, o ile go  
użyć można. Reszta  
furda! Pij-że do mnie, zraniony łabędziu pozytywny!  
Słotnicki, słuchając paplaniny gościa, zauważył dopiero teraz  
lokaja, który stał  
na progu gabinetu z tacą W ręku.

Biorąc kieliszek, napełniony wiśniówką, odezwał się do niego:  
— Przygotujesz dla pana Żaglińskiego dwa pokoje na górze i  
powiesz kucharzowi,  
żeby się z kolacją pospieszył.  
Żagliński wypił wódkę, zakąsił półgęskiem i zapaliwszy  
papierosa, rozsiadł się  
wygodnie na fotelu.  
Był on w równym wieku ze Słotnickim, zdrowiej tylko  
wyglądał od niego i posiadał  
jeszcze wszystkie włosy, rozczesane na środku i przygładzone  
starannie. Ubrany w  
elegancki, szary garnitur, w lekkie pantofelki ze skóry  
giemzowej, nie  
zakrywające dostatecznie czarnych, jedwabnych skarpetek, z  
kosztowną szpilką w  
jasnym krawacie, ogolony czysto, żywy, ruchliwy, robił  
bardzo przyjemne  
wrażenie. Jego twarz śniadą, o rysach regularnych, zdobił  
czarny, w końcach pod  
górze wykręcony wąsik.

— Więc opowiadaj, co porabiasz? — wyrzekł, puszczając z ust strumień dymu.

— Mówiłem ci już — odparł Słotnicki. — Od ciebie spodziewam się nowin.

— Nowin? Niewiele ich od czasu twojego wyjazdu — mówił Żagliński. — W prasie głucho i nudno. Z chwilą gdy się skończył ruch materialistyczny, mamy nareszcie spokój. Nikt nie polemizuje, bo nie ma o co; nikt nie pali się, nie gorączkuje, nie wymyśla, bo nie ma się czego ucześcić. Pchamy sobie równo, bez krzyku, taczkę, zwykłej roboty dziennikarskiej. I lepiej nam z tem, niż z waszemi sporami, bo kiedy drwa padały na prawo i na lewo, trzeba się było wystrzegać, aby nie oberwać po łbie. Teraz człowiek bezpieczny. Choć się czasem i głupstwo palnie, to nawet tego nikt nie zauważy. Ludzie znudzili się kłótniami i odpoczywają.

Wy, panowie, z tak zwanym ogniem świętym, jesteście mam zupełnie niepotrzebni.

Obywamy się bez was doskonale.

— Widzę, że stryj mój umarł w samą porę — wtrącił Słotnicki. — Byłbym może zeszedł na pospolitego gazeciarza, gdyby go śmierć nie była wyeksperymentowała do Hadesu.

— Byłbyś na tem skorzystał więcej, niż na twojej walce o zasady. Zarabiamy dużo monety, nie łamiąc sobie zbytecznie głowy i używamy życia, dopóki lata służą.

Ale wiem, że do ciebie nie można takim językiem przemawiać.

— Więc nie zapowiada się żaden nowy ruch? — pytał Słotnicki.

— Jak dotąd, nie widzę świeżego materiału.

— Czytam ciągle o magnetyzmie, hypnotyzmie i różnych innych izmach.

— Tu i owdzie przebąkują coś i o spirytyzmie, ale nie sądzę, aby te bzdurstwa mogły odegrać jakąś rolę.

— A jednak zajmują się ludzie w Europie obecnie dużo okultyzmem. Podobno liczą teozofowie i spirytyści miliony zwolenników...

— Któż tam zresztą wie! Publiczność, to pan kapryśny. Gdy się jej zachce okultyzmu, damy jej, czego zażąda.

— Uczciwiej byłoby nie bałamucić nieświadomych. Żagliński uśmiechnął się.

— Wsiadasz zaraz na wielkiego konia — wyrzekł. — Zasady, przekonania, świętość pracy publicznej, może śmierć za idee? Właśnie! Niby się świat od tego

przewróci, że kilkuset lub kilka tysięcy głupców będzie wierzyło tak lub owak.

Dajże pokój; naucz-że się raz trochę praktyczności.

Wyłysiałeś, zestarzałeś się przed

czasem, a wyrażasz się ciągle, jak młodzieniaszek.

Dziennikarz powinien informować szybko i o ile się da, dokładnie, bez względu na to, co donosi.

Morski wąż — nieszczęście na piątym piętrze — rewolucya w Brazylii— bomba w

parlamencie paryskim — złamanie nogi baletniczki —

pozytywizm — spirytyzm — i

tam dalej i tam dalej, wszystko jedno, byle piorunem, byle nie dać się ubiedz

konkurentowi. O, w tem sztuka! Ale na takich rzeczach ty się nic a nic nie

rozumiesz, biedaku. Złoty cielec dziś rządzi, fantasto

poczciwy; kupczykowie

wysforowali się na sam przód; spryt pobił na łeb na szyję

talent, zasługę,

prawość... Tylko nie patrz zaraz tak z góry, wyniośle, jakbyś

chciał spaść na

mnie i poszarpać na szmaty. Nie podoba ci się moja gadanina?

Bardzo dobrze!

Zmieniam temat. Musisz się chyba na wsi straszliwie nudzić?

Z twoim

temperamentem... Przyznaj się!

— Odpowiem ci żywym obrazem — odparł Słotnicki. —

Proszę cię.

Podniósł się i przeprowadziwszy gościa przez kilka pokojów,

wyszedł z nim przed

dom, od strony ogrodu.

Stary park zaleski robił w mrokach wieczornych wrażenie

ciemnego boru, z polanką

pośrodku. Stuletnie lipy, sędziwe świerki, kasztany i sosny

amerykańskie,



rozstawione w formie wachlarza, tworzyły z dwóch stron  
wysoki żywopłot. Bok  
trzeci, otwarty, zarosły krzewami, zamykał w głębi ciemny  
pas lasu olszynowego,  
który zasłaniał widok na pola i błota łęczyckie.  
Cicho tu było i samotnie. Uwięziony wzrok błąkał się  
pomiędzy drzewami,  
odpierany wszędzie nieprzebytą gęstwiną.  
W chwili, kiedy Słotnicki i Żagliński stanęli na wystawce,  
oplecionej  
winogradem, wysuwał się powoli

z pod przejrzystej chmurki blady miesiąc, zalewając polankę i  
wszystkie  
szczeliny srebrzystymi blaskami.  
Bez ruchu śniły stuletnie lipy i sędziwe świerki. Ani jeden  
listek nie drgnął,  
ani jedna trawka nie pochyliła się. Ptak nie załopotał  
skrzydłami; nawet motyl  
nie błysnął w świetle księżyca.  
Od czasu tylko do czasu dochodziły naszczekiwania psów  
wiejskich lub odezwał się  
bąk na błotach, ale głosy te zdawały się przypląwać z takiej  
dali, tak były  
stłumione, głuche, jak gdyby do innego należały świata.  
Słotnicki, oparty plecami o odrzwia wystawki wsłuchiwał się  
w tę ciszę i wdychał  
z rozkoszą woń wiosny.  
— To moje sanatorium!—odezwał się po chwili.  
— Moralne? — rzucił Żagliński.

— I fizyczne... Kiedy wyjeżdżałem z Warszawy, miałem nerwy tak chore, że sypiać nie mogłem po nocach. Najmniejszy szelest przerażał mnie, brzęk porcelany, szkła, kruszcu, przenikał moje rozklekotane cielsko aż do szpiku; głos człowieka sprawiał mi przykrość, ból. Przed spoczynkiem straszły mnie potworne halucynacje, a we śnie dziwaczne majaki. Byłem, jak stara, Histeryczna panna.

— Przepracowałeś się — wtrącił Żagliński. — Niczego asie używszy, straciłeś zdrowie, zniszczyłeś się. Mówiłem ci zawsze, żebyś tak nie harował. Na co?

— Cisza wsi, tego uroczego schroniska — mówił Słotnicki, wskazując na park — wróciła mi zdrowie. Siedzę tu całymi dniami i wchłaniam w siebie ten spokój, którego nigdy nie miałem, gnany, jak parobek, z roboty w robotę. Tylko cisza wsi leczy nerwy. Zabliźnia ona także rany głowy, serca, duszy, jak się pospolicie mó-

wi, godzi zrozpaczonego z życiem, znużonemu wraca siły, ochotę do dalszej walki. Opuszczając Warszawę, której poświęciłem młodość i dużo dobrej wiary, szczerości, zapału, byłem podobny do okrętu, pozbawionego na pełnym morzu stera

i żagla. Zostawiłem w niej wszystko, co do niej wniosłem, a  
wyjechałem  
bankrutem. Niespodziewane dziedzictwo nie ucieszyło mnie  
wcale. Rozmyślając o  
najmniej bolesnej formie dobrowolnej śmierci, troszczyłem się  
niewiele o cudze i  
swoje dostatki. Cztery deski, garść ziemi, bylibyście mi i w  
Warszawie dali.  
— I trochę liści bobkowych i kupę nekrologów i portretów po  
tygodnikach takż —  
mruknął Żagliński, kręcący się niecierpliwie. — Zasłużyłeś  
sobie rzetelnie na  
wieńce i huczek pośmiertny. Ale kończ, bo zaczynam być  
poważny, co mniej lubię.  
— Zaraz; odpowiadam ci tylko na pytanie. Cisza wsi wraca  
rozbitej głowie mojej  
powoli spokój i równowagę. Odcięty od wrzawy walki o byt,  
zdala od płaskości  
ludzkiej, która zaprzeda je dla rubla lub dla tak zwanego  
powodzenia wszystkie  
lepsze natchnienia i porywy człowieka, nikczemna i  
podstępna, jak gad —  
uwolniony nareszcie od zgrai przekupniów, mieniących się  
nauczycielami  
publicznymi, zdala od tej całej hałustry szachrajów,  
karyerowiczów, głupców i  
podłych, owiany powagą samotności, jak gdybym już do  
innego należał świata, mam  
tu czas patrzeć po za siebie, wnikać w siebie i zastanawiać się  
nad tem, co być  
może. Nie rzucam się już, nie miotam, lecz zaczynam znów  
powoli myśleć bez żalu  
i szukać.

— Ładne zajęcie... Niby czego ty ciągle szukasz?— wtrącił Żagliński, poziewając nieznacznie.

— Prawdy, tajemnicy życia...

— A to na co?

— Sądzę, że nie ma dla człowieka myślącego sprawy ważniejszej nad ukojenie wewnętrzne.

— To nie bądź zwierzęciem myślącym, ale używającym.

— Nie umiałbym żyć inaczej. Człowiek powinien wiedzieć, zkąd przyszedł i dokąd idzie...

— Przepraszam cię, Stefku, i ja mam pretensję do tytułu człowieka, a przecież nigdy mnie o takie bzdurstwa głowa nie zabolęła. Zkąd idę? Wiem doskonale.

Jestem synem legalnym wielmożnego pana Rocha Żaglińskiego, rejenta i wielmożnej pani Anny z Kułakowskich. Wiele, zaprawdę, mogli, kiedy dali życie tak sprytnemu bębnowi, jak twój przyjaciel a kolega. Na co jestem? I to wiem wybornie. Na to, aby żyć, jak można najdłużej w dobrem zdrowieczku i z pełną zawsze portmonetką.

Dokąd idę? — Do prababci ziemi wrócę kiedyś, gdy się sobie i ludziom już na nic nie zdam, albowiem gliną jestem z jej gliny i prochem z jej prochu. O! i co tu długo medytować!

— A gdybyś nie wrócił cały do ziemi? — zapytał Słotnicki.

— A cóż miałyby się ostać po rozpadnięciu się maszyny,  
zwanej powłoką znikomą?  
Niby co? Dusza? Gdzie ona? Gdyby istniała, toby ją te nudne  
facety, co sobie  
mikroskopami i teleskopami psują oczy lub grzebią się  
lancetami po wszystkich  
mózgach i sercach, już gdzie wytropili. Nie nie wierzę, aby  
była jaka dusza lub  
coś w tym guście. Doktryna materialistyczna jest dla mnie  
prawdą absolutną, bo  
odpowiada najlepiej moim upodobaniom. Zresztą, choćbym  
miał i dalej istnieć, czy  
na ziemi, czy na księżycu, to nie moją rzeczą troszczyć się o  
przyszłą formę  
mojego tak zwanego ja. Skoro nie

wiem, co się ze mną stanie, to nie mam także obowiązku  
odpowiadać za możliwą  
omyłkę. Nie moja w tem rzecz. Ale, jak widzę, zaczynasz coś  
nawracać. Może cię  
ta cisza Avsi przekona w końcu do wiary naszych nianiek.  
— Tak daleko jeszcze nie doszedłem — odpowiedział  
Słotnicki — ale rozumiem już  
dziś przyczynę bankructwa metody naukowej, która nas  
wychowała.  
— Jestem ciekawy...  
— Gdy tak siedzę i wsłuchuję się w ciszę przyrody — mówił  
Słotnicki — wówczas  
doznaję wrażenia, jak gdyby do mnie tysiące głosów mówiło.  
Zewsząd owiewa mnie

jakiś szmer, coś się koło mnie ciągle krząta, pracuje. Nie widzę tego czegoś, ale czuję je obok siebie. Ta pozorną cisza, nie jest ciszą absolutną. Składają się na nią miliony szelestów tajemniczych, których nieudolne ucho człowieka nie może odróżnić.

— Więc cóż ztąd? — bąknął Żagliński.

— To ztąd, że oprócz tego, co podlega bezpośrednio obserwacji naszych zmysłów, istnieje obok nas jeszcze coś, co nie da się ująć, przytrzymać za pomocą środków ludzkich, a co mimo to nie przestaje być prawdą.

— Zdaje się, że pójdziesz między okultysty...

— Z czego to wnioskujesz? — zapytał Słotnicki.

— Bo rezonujesz tak samo, jak oni. Z tem wszystkim nic nie rozumiem, dlaczego mnie tu przyprowadziłeś, zamiast uczciwie nakarmić, co, mniemam, sądzę i utrzymuję, należy do przednich obowiązków gospodarza.

— Pytałeś, czy się na wsi nudzę. Chciałem ci dowieść, że zawdzięczam wsi zawiele, abym ją mógł lekceważyć.

— Niechże tak będzie, ale dawaj jeść, bo drapnę jutro do Warszawy i opowiem wszystkim, że Stefan Słotnicki kształci się na fakira indyjskiego, że żywi się korzonkami, liściem róży, myślą i wzdychaniem. Niechże ciębie z twoją wieczną

medytacją!... Gorzałki dawaj na zaostwienie apetytu, a potem starego burgunda, jeżeli masz, do wesołej gawędy.

W dużej sali stołowej, wyłożonej naokoło dębem, nakryto już do kolacyi.

— Jeżeli ci nie będzie smakowało, zechciej wybaczyć — mówił Słotnicki, dając znak lokajowi, aby podawał. — Od jutra bierz kucharza pod komendę.

— Dziś zjem i podeszwę, byle była miękka — odparł Żagliński — a od jutra pokażę ci, co potrafię. Te kotlety wcale dobrze wyglądają. Zasiedli we dwójkę, naprzeciw siebie, przy stole czworobocznym i spożywali wieczerzę szybko, mówiąc, ze względu na służbę, o sprawach obojętnych. Żagliński opowiadał plotki warszawskie, a Słotnicki słuchał z uwagą. Żył przecież w

Warszawie lat dziesięć, więc zrósł się z jej losami.

Kiedy się po kolacyi znaleźli sami w kancelaryi z butelką starego burgunda, zaczął Żagliński:

— A sąsiedztwa, jakie masz?

— Udzielam się dotąd bardzo mało — odparł gospodarz..

— Bo pewno nie bardzo warto?

— Jak dla kogo. — Nie powiesz mi, aby można znaleźć na wsi towarzystwo inteligentne.

— To zależy od miary. Inteligencyi wytwornej, uczonych, literatów, artystów, nie ma oczywiście wiele na wsi, ale tej nie produkuje i Warszawa legionami. Są

to wszędzie kwiaty rzadkie. Jeżeli ci jednakże idzie o ową inteligencję przeciętną, która stanowi i w mieście dziewięćdziesiąt dziewięć setnych tak zwanej warstwy oświeconej, to tej znajdziesz i na wsi podostatkiem. Szlachcic dziś już nie taki głupi, jak się wam w mieście zdaje. Przysłowiowy hreczkosiej, dla którego Kraszewski pisał swoją gawędę o kaszy gryczanej, należy w naszych stronach do legendy. W gub. kaliskiej, którą znam z osobistej obserwacji, bo mam tu licznych krewnych, spotkasz prawie samych ludzi przeciętnie wykształconych i dobrze wychowanych. Tuła się jeszcze tu i owdzie jakiś mamut, jakiś okaz kopalny, ale to coraz rzadziej. Głównie kobiety czytają dużo i lubią wiedzieć o wszystkim. Jeżeli ci idzie o tak zwaną gawędkę inteligentną, to możesz jej mieć w dworach wiejskich stanowczo więcej, aniżeli np. w salonach naszych elegantek warszawskich, które po za flirtem i najnowszą powieścią francuską niewiele więcej znają.

— Patrz, nie sądziłem — mówił Żagliński, nalewając sobie drugi kieliszek — ale musi tak być, kiedy ty to mówisz. Nie lubiłeś dawniej szlachty.

— Nie lubiłem ludzi zacofanych w ogóle, ale i to przeminęło, jak wiele innych



złudzeń. Nietylko znajdziesz na wsi ludzi inteligentnych, ale nawet wytwór czasów ostatnich. Sąsiaduję właśnie z uczonemi niewiastami.  
— A toś wdepnął! Chyba stare baby! — zawołał Żagliński.  
— Są dwie, starsza i młodsza.  
— Idzie mi o tę młodszą. Pewno brzydka, jak mądra książka.

— Przeciwnie, bardzo nawet przystojna. Lat dwadzieścia, wzrost słuszny, budowa przepyszna, buzia ładna, jasne włosy.  
— Więc guwernantka albo panna bawiąca.  
— Znów spudłowałeś! Panna Ostrobudzka jest dziedziczką sześćdziesięciu włók wyborowej ziemi i jedyną synowicą stryja, bezdzietnego wdowca, którego liczą w okolicy na dwakroć.  
Żagliński słuchał bardzo uważnie, pochyliwszy głowę. Nagle spojrzał na Słotnickiego i zagadnął:  
— Byłaby to dla ciebie doskonała partya.  
W oczach jego, które patrzyły dotąd szczerze, zamigotały błyski chytrości. Widać było, że czeka niecierpliwie na odpowiedź.  
Słotnicki nie dostrzegł zmiany wyrazu jego twarzy, zapalał bowiem właśnie świeżego papierosa.  
— Nie miałem dotąd czasu myśleć o takim zbytku, jak żona — odrzekł. — Zresztą, cóżbym dziś mógł dać młodej, ładnej dziewczynie, rwącej się do życia? Chorą

głowę, zatrute serce, niechęć do ludzi, chłód, zimno, obojętność? Byłoby to nieuczciwością. Dopóki nie będę z sobą samym w porządku, dopóty nie chcę nikogo do siebie przykuwać.

— Ale podobała ci się? — zapytał jeszcze Żagliński.

— Nie przeczę, że zrobiła na mnie bardzo sympatyczne wrażenie.

Żagliński pochylił znów głowę. Po chwili odezwał się:

— Mógłbyś mi te mądre białogłowy wiejskie przy sposobności pokazać. Zawsze to ciekawe studium dla dziennikarza.

— Owszem, zawiozę cię którego dnia do Ostrobudek, jeżeli ci to przyjemność sprawi.

#### IV.

Nazajutrz, zaraz po rannej herbacie, kazał Żagliński przywołać kucharza, aby mu obiad dysponować.

Imię pan Bartniewicz, szczupły brunet, z oczkami przenikliwymi, sztuki

kucharskiej mistrz zawołany na całą okolicę, wypożyczany od lat wielu na okazje

odświętne, na śluby i pogrzeby, stanął wprawdzie w pokornej postawie dworskiego

oficyalisty przed „panem z Warszawy,” ale rzucił z pod czoła kilka nieznaczących spojrzeń, które nie licowały wcale z obowiązkowym szacunkiem, należnym „gościowi z pałacu.”

Spojrzenia te mówiły: „Czegóż on chce, ten szlifibruk miejski? Może mnie będzie uczył, jak gotować, jak piec i smażyć? Patrzcie go, jaki mądry...”

— Mój Bartniewicz — zaczął Żagliński — cóż nam dziś Bartniewicz da na obiad?

Kucharz zaczął wyliczać potrawy lekceważącym tonem człowieka, który jest zanadto pewny swojego fachu, aby przypuszczał poprawkę.

Żagliński słuchał uważnie, rozłożony na szezłagu gabinetu.

— No, tak, nieźle — odezwał się — ale może to trochę zaciężkie menu. Zaczyna być na świecie gorąco.

Kucharz podniósł oczy.

— Dobry kucharz powinien być artystą — mówił dziennikarz dalej. — Niedość

ugotować, ale należy także umieć zastosować się do każdej pory roku i podać z gustem.

Kucharz wytrzeszczył oczy.

— Trzeba poszczególne dania tak rozłożyć, aby jedno dopełniało drugie, podnosząc, drażniąc apetyt. Zgadzam się na zupę rakową, zwłaszcza na wsi, gdzie

nie szachrujecie, ale ten ozór wołowy z chrzanem na drugie danie nie bardzo mi się podoba. Możeby lepiej cielęcinę z beszamelem. Jeżeli macie dobry bulion i cielęcinę...

— Mamy, proszę...

Bartniewicz zawahał się przez chwilę, nie wiedząc, jak tytułować mieszcucha.

Ogarnął szybkim, badawczym spojrzeniem jego postawę swobodną i wytworne ranne ubranie.

— ...jaśnie pana — dokończył.

— A jakże Bartniewicz przyrządza beszamel? — pytał dziennikarz.

Mniej już pewny siebie, odsłaniał kucharz tajemnicę swojej sztuki.

— A gdyby...

Pan z Warszawy rozwinął własną receptę kulinarną. Kucharz słuchał, uszu

nadstawiał, oczy wytrzeszczał coraz więcej, gębę otwierał zdumiony. Bo oto ten

szlifibruk miejski mówił z taką znajomością, rzeczy, dawał tak doskonale

wskazówki, jakby sam rondlami i garnkami zarządzał.

Kiedy Bartniewicz wychodził po półgodzinnej konferencji z gabinetu, kłaniał się

Żaglińskiemu nisko, z prawdziwą już teraz pokorą. Podczas obiadu wyprosił sobie

u lokaja kącik w kredensie, aby mógł niepo-

strzeżony obserwować jedzących panów. Wróciwszy do kuchni, odezwał się do gospodyni:

— Nie myślałem, że to taki pan z tego pana z Warszawy.

— A niby wedle czego? — zapytała gruba, niska, czerwona szafarka.

— Powiadam pani Pytłasińskiej, że ten pan, to się tak zna na kuchni, jak jaki

kuchmistrz w wielkich dworach. Dla takiego to warto gotować. Taki to umie robotę

uszanować. A jak je! Na indycze to i odrobiny nie zostawił.

Wszystko zdejmie

ślicznie nożem, jakby to sobie była sztuka mięsa. Nasz pan, to tylko podziobie,

podziobie, spieszy się zawsze, jakby się jedzeniem nudził i patrzy gdzieś ciągle

po suficie. Aż nieprzyjemnie, że tak pracę ludzką posponuje.

— Dałby też pan Bartniewicz naszemu dziedzicowi pokój — mówiła gospodyni. —

Nastka, a rusz-że się, gawronie! Talerze leżą, a ty nic. Takiego drugiego pana,

to daleko szukać. Miłosierny, nie powie nikomu marnego słowa, nie napędza do

roboty, jak inni, krzywdy niczyjej nie chce, a że sobie ta dziobie, to niech

sobie i dziobie. Nikomu to nie szkodzi, kiedy mu z tem dobrze.

— Ja też nie mówię, moja pani Pytłasińska — odparł kucharz — żeby nasz pan był

zły. Ale zawsze przyjemnie kiedy porządną robotę ktoś uszanuje.

— Bo pan Bartniewicz toby tylko gadał ciągle o jedzeniu.

— A pani Pytłasińska, to niby nie lubi dobrze zjeść?

— A panu Bartniewiczowi, to nic do tego.  
— Do tego mi, bo mi wszystko z pod ręki ginie.

— O, o! Zaraz ginie! Jak to szczeka! Nastka, nie marudź, bo cię lunę!

— A nie zginęła mi to pozawczoraj cała ćwiartka cielęciny?

— Niech pan Bartniewicz pilnuje psów, żeby nie włąziły do kuchni.

— Ładne mi psy, na dwóch grubych nogach.

— Lepiej mieć grube nogi, niż takie zapalki.

— Wolę ja moje zapalki...

— Przydałyby się grubsze, jak sobie pan Bartniewicz pałę gorzałą zaleje.

Trzymałby się wtedy lepiej na nogach.

— Ej, babusie!...

— Bo co?...

Gospodyni zwróciła się do kucharza z rozognioną twarzą.

— Spróbuj-no, kotleciarzu! — zawołała, podnosząc warząchew.

Bartniewicz, uważając, że rozumniej kobiecie ustąpić, splunął tylko i wyszedł, machnąwszy ręką.

— Eh, z babami!... — mruknął.

— Dałabym ja ci, zdechlaku! — krzyknęła za nim gospodyni i palnęła tłustą, jak ona, Nastkę w kark, czując potrzebę wylania gniewu na zewnątrz.

Od tej rozprawy był Żagliński przedmiotem szczególnych względów Bartniewicza.

Mistrz kuchenny dogadzał gościowi z Warszawy, cały promieniejący, gdy zdobył

kilka słów uznania. Gospodyni natomiast śledziła "gagatka z miasta," jak nazywała dziennikarza, kosem okiem.  
— Fircyk, wiercipięta! — syczała za nim, ilekroć go spotkała.

A spotykała go dość często po za dworem, bo "gagatek" nie lubił siedzieć na miejscu. Kręcił się przez cały dzień po królestwie kolegi, zaglądając, to do zabudowań folwarcznych, to do oranżeryi, to na polu dziewczkom w oczy. Było go wszędzie pełno. Z rządcą zawarł znajomość, z włodarzem gawędził, z dzieciakami na dworze przekomarzał się i bawił.

Trwało tak przez trzy dni.

Czwartego odezwał się do Słotnickiego:

— Umiem już na pamięć cały twój majątek. Wiem, ile masz krów, koni, wołów, włók, móg i t. d. Dawaj teraz nową rozrywkę, bo nie myślę się u ciebie nudzić. Może

pojedziemy dziś do twoich mądrych sąsiadek?

— Jeżeli sobie tego życzysz — odparł Słotnicki.

— Rozumie się, że sobie życzę. Ciekawy jestem, jak wyglądają mądre kobiety na wsi. Ale, ale, widzisz, byłbym zapomniał. Czego to się one uczyły w Zurychu?

— Matka chodziła na filozofię, córka zaś na przyrodę.

— Z babską filozofią dam sobie radę, chociaż niewiele już pamiętam, co różne

idioty kiedyś myślały, ale z przyrodą to będzie krucho.  
Musisz mieć w domu jaką  
encyklopedyę, jakiś podręcznik, albo może atlas zoologii,  
mineralogii, botaniki,  
lub coś w tym guście?

— Mam, ale tobie co po tem?

— Trzeba połknąć trochę mądrości przyrodniczej. Przecież  
nie będziesz chciał,  
żeby mi białogłowy imponowały strzępami erudycji?

— W kilka godzin nie możesz się niczego nauczyć.

— To też nie chcę się uczyć, tylko to i owo połapać, aby  
starczyło na jedną  
wizytę.

— Niedaleko z tem zajedziesz. Te panie pracowały przez lat  
kilka.

— Już ty się o mnie nie troszcz. Cóżby to ze mnie był za  
dziennikarz, gdybym nie  
umiał rozprawiać o rzeczach, o których nie mam wielkiego  
wyobrażenia. Już ja się  
tam jakoś wykręcę, gdy zabraknie materiału. Me takie  
jejmoście obelgiwałem.

— I wierzyły?

— A cóżeś ty myślał? Trochę sprytu, a wywiedziesz każdą  
niewiastę w pole. W  
najgorszym razie udajesz zakochanego i każda, nawet stara,  
weźmie się na ten lep  
odwieczny. Gdzie masz owe podręczniki? Muszę być dziś  
przyrodnikiem, filozofem,  
nie ma rady.



Od samego obiadu wertował Żagliński różne księgi, ucząc się na pamięć nazw technicznych. Gdy siedzieli w powozie, jadąc do Ostrobudek, wskazał przez okno

na szmat pola, bielącego się przy drodze.

— Cóż to, stokrotki siejesz? — zapytał.

— To seradela — objaśnił.

— Co takiego? Serdela?

— Seradela.

— Seradela? Ki dyabeł? Jak żyję, nie słyszałem o żadnej seradeli. Ale niech

będzie seradela. To pewno sprzedajesz do apteki na ziółka? Słotnicki uśmiechnął się.

— Jest to roślina pastewna — objaśnił.

— Pastewna, patrz! Krowy jedzą sobie takie ładne kwiatki?

Mają się dobrze. A to

zapewne żyto, ta wysoka trawa?

— To pszenica.

— Fiu, fiu! — mówił Żagliński. — A jakże ty rozróżnisz

pszenicę od żyta, bo co

do mnie, widzę wszędzie tylko wysoką trawę

— Pszenica ma barwę ciemniejszą, żyto zaś jaśniejszą.

Ukłoszenie zresztą jest

inne.

— Aha! To znaczy, że trzeba się tego gospodarstwa uczyć, a ja myślałem, że

ludzie na wsi nic nie wiedzą.

— Jest to fach, jak każdy inny.

— Miarkuję. Czy zastaniemy tam jakiego rolnika z zawodu?

— Pan Ostrobudzki bywa często u bratowej.

— Ten szlachcie z grubą monetą?

— Ten sam.

— A co to za homo?

— To bardzo rozumny człowiek.

— Hm! rozumny...

Jechali przez jakiś czas w milczeniu. Gdy zbliżali się do Ostrobudek,

przypatrywał się Żagliński wsi z wyteżoną uwagą kupca, który ogląda majątek,

wystawiony na licytację.

— Wcale ładnie prezentują się te Ostrobudki — odezwał się.

— Byłaby to miła

rezydencja letnia dla...

Ugryzł się w język i spojrzął z pod brwi na kolegę.

— Ale Towarzystwo to pewno mają? — zapytał.

— Bardzo małe. Zresztą, na Ostrobudkach nie ma ani grosza długu.

Żagliński zamyślił się głęboko. Gdy zajechali przed dwór, dostrzegli w cieniu

kasztanów zaprzężony wolant.

— Czy macie gości w domu? — zapytał Słotnicki lokaja.

— To panie jadą na spacer — odpowiedział sługa.

Panie Ostrobudzkie przyjmowały dziś w salonie, gdzie goście zastali, oprócz

matki i córki, jakąś damę, niską, otyłą brunetkę.

— Przywożę paniom kolegę i przyjaciela z ław szkolnych, uniwersyteckich i z biur

redakcyjnych, który był łaskaw przypomnieć sobie samotnika

— mówił Słotnicki,

witając się z panią domu. — Pan Władysław Żagliński,  
redaktor z Warszawy.

— Bardzo nam przyjemnie, o bardzo! — wyrzekła pani  
Ostrobudzka, uśmiechając się  
do nieznanego. — Same splendory spadają na naszą okolicę.  
Już teraz chyba nie  
będziemy się nudziły. Izo, pan Żagliński.

Niska, otyła brunetka, skłoniła lekko głowę.

— Pan Słotnicki — przedstawiała dalej pani Ostrobudzka. —  
Proszę, niech panowie  
spoczną.

— Mówił mi Wojciech — odezwał się Słotnicki — że panie  
wybierają się na spacer.

Prosimy się nami nie kępować.

— Miałyśmy rzeczywiście zamiar pokazać pani Iłowskiej —  
(pani Ostrobudzka  
zwróciła się w stronę niskiej, otyłej brunetki) — starą  
kolegiatę w Tumie,  
jednakże... Chyba, żeby panowie...

Żagliński, którego oczy przebiegły kilka razy szybko od matki  
do córki, od córki  
do matki, patrząc bystro, przenikliwie, jakby chciały dwa ciała  
niewieście

prześwidrować na wylot, odezwał się:

— Gdybyśmy paniom nie zawadzali, korzystalibyśmy z  
przyjemnością z tak miłej  
okazyi odwiedzenia Tumu. Wszakże to wycieczka poniekąd  
naukowa, a w tak świetnym  
towarzystwie podwójnie pożyteczna. Słyszałem tyle w  
Warszawie o paniach, że nie  
chciałbym pominąć sposobności skorzystania z ich  
niezawodnie fachowych  
objaśnień.

— Wprawdzie nie uczyłyśmy się historii, ale...  
— O, wiadomo nam, że panie robiły za granicą rozległe i różnorodne studia.  
— Pan tak łaskaw...  
— Powtarzam tylko to, co mówi cała Warszawa.  
— Czy rzeczywiście?  
— Ależ najniezawodniej. Warszawa interesuje się bardzo paniami. Panie z towarzystwa, oddające się nauce, to zaprawdę, zjawisko tak niezwykle i piękne, że zasługuje na uwagę powszechną. Jestem losowi nad wyraz wdzięczny, że mi pozwolił poznać pionierki nowych czasów, nowych idei apostołki...  
Mówiąc to, śledził Żagłiński na twarzy pani Ostrobudzkiej skutek swoich słów.  
Mógł być zadowolony, bo oblicze uczonej damy rozjaśniło się nasamprzód blaskami dumy, potem uśmiechem życzliwości. Wiedział, że zdobył sobie odrazu jej względy.  
Łypnął powiekami, jakby chciał zatrzeć światełka ironii, tryskające z jego źrenic i spojrzał na Zofię. I tu spotkał się z twarzą przyjazną.  
— Jeżeli więc panowie pozwolą — wyrzekła pani Ołimpia, podnosząc się z kanapy — to możemy pojechać zaraz do Tumu. Zgadzam się na wspólną wycieczkę, ale tylko pod tym warunkiem, że wrócimy wszyscy do Ostrobudek na kolację.

Nastąpiły ukłony, niemego przyzwolenia oznaki i całe towarzystwo wyruszyło na przechadzkę.

Kiedy Żagłiński siedział obok kolegi w powozie, wyrzekł:

— Cóżżeś tak na mnie oczy wytrzeszczał?...

— Bo nie słyszałem nic, aby się Warszawa zajmowała paniami Ostrobudzkiemi — odezwał się Słotnicki.

— I ja nie; pies o nich nie wie, oprócz może kilku zwaryowanych feministek, czy jak się tam te histeryczki nazywają.

— Więc?...

— Więc to, że jesteś zawsze naiwny, mimo swojego talentu, mądrości i doświadczeń życiowych, jak święty pański, dumający na pustyni o znikomości tej ziemi.. Jakże chcesz, bym kobiecie nie podbił bębenka? Stary to, ordynaryjny, ale zawsze skuteczny środek. Znałem nie wielu ludzi, nawet bardzo rozumnych, bardzo wykształconych, sławnych w końcu, którzyby się nie dali wzięść na najgłupsze pochlebstwo. *Munclus vult decipi, ergo...* dokończ sobie, bo uczyłeś się po łacinie. Z twoją prawdomównością dochodzi się tam, dokąd ty zaszedłeś. Dopóki twój talent i furor stronniczy były potrzebne pewnej grupie ludzi, dopóty pieścili cię, gdy się jednakże spory skończyły, puścili cię w trąbę i byłbyś z

głodu umarł lub palnął sobie w łeb z obrzydzenia do ludzi,  
gdyby nie apopleksya  
stryjaszka dobrodzieja. A ja, widzisz, chcę żyć jak najdłużej i  
jak

najprzyjemniej i dlatego łzę, co się zmieści.

Koledzy zamilkli. Każdy pobiegł śladem własnych myśli,  
dalecy od siebie, jak dwa  
przeciwnie bieguny.

Po niejakim czasie odezwał się pierwszy Słotnicki głosem  
stłumionym, jakby nie  
towarzyszowi, lecz sobie odpowiadał:

— Tak... Królestwo tej ziemi nie należy do szlachetnych i  
rozumnych, jeno do  
sprytnych i samolubnych. Szlachetnych żre nędza własna i  
cudza, rozumnych zaś  
trawi niemoc człowieka w ogóle. Trzeba być zwierzęciem,  
aby się pogodzić z  
celami życia ludzkiego.

— Bo też człowiek jest tylko zwierzęciem, jak każde inne —  
mówił Żagliński. —

Nie wina ziemi, że rodzą

się na niej szaleńcy, którym zamało tego, co ona dać może.

— A jednak, skoro się rodzą, to muszą być potrzebni. Nic nie  
dzieje się bez  
przyczyny.

— To już dla mnie zagłęboka filozofia. Niech kto inny nad  
takimi zagadkami  
medytuje.

Zamilkli powtórnie. Słotnicki patrzył na pola; Żagliński nucił  
półgłosem

Sycyliankę z "Cayalleria Rusticana" Mascagni'ego.

Po godzinie zbliżały się powozy do Tumu, wioski, leżącej pod samym bokiem

Łęczycy. Potężny gmach prastarej kolegiaty wyrastał jakby z dużego bukietu, na

który złożyły się ogródki owocowe chłopów. Jego dwie wysokie, ku końcowi

wysmukłe wieże, panowały dumnie nad gromadką niskich, szarych chat. Duży kościół

robił wrażenie jakiegoś przybłądy lub rozbitka, innego otoczenia samotnego

świadka.

W miarę, jak się wolanty zbliżały do Tumu, rozsuwał się jednolity bukiet, coraz

rzadszy i uboższy. Co się z oddalenia wydawało gęstym klombem, rozpadało się

stopniowo na szereg małych sadów, składających się z kilku kilkunastu drzewek

chuderławych. Opuszczenie wspaniałej na zewnątrz kolegiaty uwydatniało się

jeszcze wyraźniej na pospolitem tle zwyczajnej osady polskiej.

Gdy się powozy zatrzymały przed bramą, znalazł się zaraz kościelny, który

otworzył świątynię dla gości.

Czego innego spodziewali się turyści. Zdawało im się, że kościół, pamiętający

szereg wieków, powinien przechowywać jakieś cenne pamiątki, obrazy, pomniki,

naczynia, rzeźby i druki. Tymczasem pokazał im dziadek zaledwie kilka starych

ornatów i cztery, czy pięć spłowiałych portretów, umieszczonych pod chórem. Wnę-

trze kolegiaty, utrzymane czysto, w największym porządku,  
odmalowane świeżo,  
świeciło pustkami.

Pani Olimpia wzruszała ciągle ramionami. Przechodząc obok  
wielkiego ołtarza, nie

przyklęknął nikt z towarzystwa. Jedna tylko pani Iłowska  
namyślała się przez

chwilę, wahała się, oglądała, jakby się czegoś wstydziła,  
potem zgięła szybko

kolano i przeżegnała się. Kiedy za ten czyn spadło na jej  
głowę szyderskie

spojrzenie pani Ostrobudzkiej, tłómaczyła się po francusku,  
„że nie chce gorszyć

dziadka kościelnego" i „że to zresztą taki zwyczaj."

— Nie warto u nas nic zwiedzać — odezwała się pani  
Olimpia, gdy towarzystwo  
wróciło przed kościół. —

— Zupełnie nie warto — pospieszył Żagliński z  
potwierdzeniem. — Pusto w tym

ogromnym gmachu, jak w stodole przed żniwami.

— Dobry wieczór państwu! — odezwał się w tej chwili głos  
donośny.

W bramie muru cmentarnego ukazał się nasamprzód łeb  
koński, potem Ostrobudzki.

— Mówiono mi w Ostrobudkach, że państwo pojechali do  
Tumu, a że nie miałem nic

lepszego do roboty, więc jestem i ja — wyrzekł, zeskakując  
lekko z siodła. —

Bardzo się państwu chwali ciekawość do starych pamiątek.



— Pan redaktor Żagliński, kolega pana Słotnickiego. Mój szwagier, pan

Ostrobudzki — przedstawiała pani Olimpia.

— Jeszcze jeden redaktor! — zawołał Ostrobudzki. ściskając rękę Żaglińskiego. —

No, no, co się to dzieje! Dwóch redaktorów, dwóch bakałarzów! Chyba poczciwa

okolica Łęczycy nie udźwignie tyle mądrości odrazu! Te-

raz wiem dopiero, dlaczego taka łuna biła od strony Tumu, kiedy się zbliżałem.

To te rozumy tak świeciły. Pani Olimpia spojrzała na

Żaglińskiego przyjaźnie,

jak gdyby mu chciała wynagrodzić niegrzeczność szwagra, ale dziennikarz nie czuł

się wcale obrażonym. Przeciwnie, bawił się obcesowością szlachcica.

— O ile widzę, nie potrzeba jeździć po rozum za granicę.

Rośnie on i na błotach

łęczyckich — wyrzekł, schyliwszy się lekko w stronę

Ostrobudzkiego.

— Gdzietam, gdzietam, panie dobrodzieju! Jak kto ciągle z chłopami przestaje,

to i sam w końcu chłopieje.

— O bydłatkach pan brat zapomniał? — wtrąciła pani Olimpia.

— Pamiętam ja o nich dobrze, bo za ich to pomocą wykierowała się pani bratowa

na bakałarza — odciął się Ostrobudzki. — Niby to taki wół i osieł głupi, ale

jego robota, to bardzo mądra. Ale my tu rozprawiamy o osłach, a państwo nie widzieli pewno największej osobliwości Tumu. Jeżeli łaska, proszę za mną.

Prowadząc konia za uzdę, zbliżył się Ostrobudzki do kamiennej podwaliny jednej z wież i pokazał palcem kilka głębokich wżłobień, wrytych w granicie.

— Proszę popatrzeć — objaśniał. — Mają to być ślady po łapie Boruty, owego dyabła, co to hulał niegdyś na naszych błotach, a obecnie pilnuje w zamku łączyckim skarbów. Dyablisko nie mogło patrzeć na kościół, więc podeszło kiedyś nocą pod wieżę, objęło ją i chciało przewrócić. Nie dało jednak rady. Łapy sobie tylko poobdzierało i uciekło z wściekłym wyciem na błota kusić szlachtę, co wracała z miasta.

Towarzystwo oglądało ciekawie owe ślady po Borucie.

— Fantazyi trudno odmówić zgasłym pokoleniom — odezwała się pani Olimpia z przekąsem.

— Dlaczego koniecznie fantazyi? — wyrzekł Ostrobudzki. — A może była to i prawda?

— Pan żartuje — zawołała pani Olimpia.

— Któż tam wie, co było dawniej. Mogły się dziać rzeczy rozmaite.

— Nauka rozjaśniła już ciemności naszych praojców.

— Czy wszystkie?

— Jeżeli nie wszystkie, to przynajmniej bardzo dużo. Tylko motłoch wierzy dziś w dyabłów, w upiory, duchy, strachy, czarownice i t. p. zabobony. Ludzie oświeceni wiedzą, że to wytwory naiwnej wyobraźni.

— No, no, co też ta nauka za mądra pani! To ona tak wszystko ładnie

wytłómaczyła. Proszę! Bardzo mi przyjemnie, że pani bratowa nie wierzy w żadne

przesady i zabobony, bo już się bałam...

Pani Olimpia rzuciła szwagrowi spojrzenie niepewne. On pochylił głowę, aby ukryć uśmiech swawolny, który przebiegł po jego ustach i mówił dalej:

— Bo mówią, że w Ostrobudkach straszy. Coś tam chodzi po nocach, szurga nogami, rusza krzesłami i wzdycha. Niech tylko bratowa dobrze uważa, a posłyszysz kiedy.

Głównie w pokoju sypialnym coś przeszkadza.

Opowiadaniu Ostrobudzkiego wtórował śmiech pani Olimpii. Miał on być wesołym, ale brzmiał nieszczercze.

— Pan brat żartuje! — zawołała. — Nigdy nic nie słyszałam.

— Bo też to dopiero po wyjeździe pań za granicę, po śmierci pana Wojciecha. To pewno on pokutuje. Sam słyszałem, jak coś stukało i otwierało drzwi.

— Przywidziało się panu.

— Może mi się przywidziało, a może i nie — mówił Ostrobudzki, spoglądając z pod czoła na bratową, która się nagle zasepiła.

— Ale to sensu nie ma — wyrzekła półgłosem, potrząsając głową, jak gdyby chciała spłoszyć myśli nieprzyjemne. — Jeżeli państwo nie mają nic przeciwko temu, możemy wrócić do domu.

— A gdybyśmy użyli trochę przechadzki — poddał Żagliński.

— Prześliczny czas zaprasza do zdrowego ruchu.

— Z przyjemnością, z przyjemnością! — zawołały panie. Towarzystwo ruszyło wolno szeroką drogą polną, łączącą Tum z szosą. Zrazu postępowali wszyscy w jednym rzędzie, panie pośrodku, panowie po bokach.

— Zdawało się, że oświata zatoczyła już szersze koła, że ogarnęła całą inteligencję kraju — mówił Żagliński do pani Olimpii — a tymczasem...

Wzrok jego, skierowany w stronę Ostrobudzkiego, dopowiedział reszty.

Pani Olimpia wydeła usta pogardliwie.

— Nie każda głowa bywa przystępna dla światła nauki — wyrzekła. — To przywilej wybranych.

— Ślimaczym krokiem wlecze się postęp — prawil Żagliński.

— Gdy się przebiega historię rozwoju myśli ludzkiej, widzi się, jak się mozolnie człowiek pnie pod górę świadomości. Łącuch systematów, wiodący od Talesa aż do Comte'a, Darwina i

Spencera, przedstawia się w formie linii łamanej, przerywanej ciągle i nawiązywanej.

— Dzieje się to właśnie z winy owych głów, niechętnych światłu, ale nie powinno to nikogo zrażać. Niech każdy dorzuca, według możliwości, własną cegiełkę

do ogólnego gmachu, a stanie zczasem świątynia pełnej prawdy. Samo zresztą badanie jest rozkoszą, dla której warto zapomnieć o przyjemnościach pospolitych.

Pani Olimpia, wygłaszając te ogólniki, szła krokiem poważnym, niosąc głowę dumnie.

— Bezwątpienia. Jest to rozkosz nad rozkosze — potwierdził Żagliński skwapliwie.

— Nawet studium obłędów ludzkich uczy wiele. Bo weźmy np. hipotezy pierwszych filozofów greckich.

Rzucił kilka nazwisk, powszechnie znanych, potracił o kilka teoryj, które sobie dziś z podręczników przypomniął i porównał je z doktrynami czasów najnowszych.

Słuchaczka filozofii pomagała mu, wtrącając swoje uwagi.

Tak się rozgadali, tak

byli sobą zajęci, że nie zauważyli rozpołowienia towarzystwa.

Została przy nich

tylko pani Iłowska. Ostrobudzki i Słotnicki wysunęli się z

Zofią naprzód,

tworząc osobną grupę.

— Nie widzę dziś u sąsiada humoru — zaczął Ostrobudzki.  
— Nie przypominam sobie, czy go pan kiedykolwiek u mnie  
widział — odparł  
Słotnicki. — Uprzedziłem pana z góry, że sąsiedztwo nie  
będzie miało ze mnie  
pociechy. Te ciągłe dysputy, przelewania pustych słów,  
powtarzania zawsze tych  
samyh frazesów, męczą mnie, jak jednostajny szelest deszczu  
jesiennego. Wolę  
rozmawiać z przyrodą, z sobą wreszcie... Grzeczny ze mnie  
kawaler, prawda? —  
dodał, zwracając się do Zofii. — Ale, widzi pani, gdy kto tak,  
jak ja, pisał  
przez lat dziesięć o wiedzy, o jej potędze, jej siłach i  
granicach, nasamprzód z  
gorącą wiarą, następnie z obowiązku, w końcu z  
przyzwyczajenia, to mógł się  
przejeść czcą gadaniną. Zemdliła mnie ta wodnista zupa.

— Pan nie wierzy naprawdę w potęgę nauki? — zapytała  
Zofia. — Wszakże to taka  
duża mocarka, taka można pani!  
— Byłby niemądrym, ktoby obniżał wartość nauki, która nie  
przemienie nigdy, jak  
nie przemienie ciekawość i niepokój człowieka; ale nauka  
ludzka eksperymentuje,  
szuka, więc nie posuwa się w kierunku prostym. Droga jej, to  
kręta, poplątana  
ścieżka — mówił Słotnicki.  
— Uczono mnie, że ostatnia metoda naukowa nie może  
błądzić — odparła Zofia. —

Zdaje się, że bezpośrednia obserwacja zaprowadzi nas już bez wahań do celu.

— Tak się i mnie zdawało, tak nawet uczyłem, dopóki nie zrozumiałem, że bezpośrednia obserwacja ma swoje granice, zakreślone ściśle przez środki, przysługujące zmysłom człowieka.

— Ależ to bardzo wiele! — zawołała Zofia. — Koło bezpośrednioj obserwacji obejmuje bogate skarby niezbadanych prawd. Czegóż nam więcej potrzeba?

— Czego?...

Słotnicki, zachowujący się dotąd ze spokojem dobrze wychowanego człowieka,

konwencyonalnie uprzejmy, zmienił się nagle. Na jego bladą, chłodną twarz

wystąpiły rumieńce; zimne oczy rozbłysnęły żywym ogniem.

— Czego? — mówił szybko, głosem podniesionym. —

Potrzeba nam właśnie owych

tajemnic, które ukrywają się po za granicami obserwacji ludzkiej, a do których

nasze mikroskopy i teleskopy dotąd nie dotarły. Całego olbrzymiego świata,

ogarniętego terminem „niepoznawalny” nam potrzeba, całego oceanu prawd, które

są, istnieją, a toną dla nas dotąd w nieprzebytej mgle przeczuć, tęsknot, snów i

marzeń. Człowiek nie kończy się

na powierzchni ciała, panno Zofio; jego żączy nie dość tej wiedzy, którą daje

tak zwana bezpośrednia obserwacja pospołu z  
eksperymentem; jego głodu nie  
zaspokoi nauka, oglądająca z pedanterią zasuszonego wśród  
pergaminów profesora  
uniwersytetu prawa i prawidła życia, rozwoju. Człowiek jest,  
mimo swych pęt  
cielesnych, dumnym ptakiem, orłem z lotniami u ramion  
skrzydłami. Potrzeba mu  
dalekich przestrzeni, wysokich przestworów, by mógł  
spoglądać z góry na ziemię i  
gwiazdy, na świat cały i widzieć i rozumieć wszystko. Nie  
mówi się już dziś o  
Comte'ach, Darwin'ach, nawet o Spencerach. To trupy!  
Zdawało im się, że zamkną  
pragnienia człowieka w ciasnych granicach filisterskiej  
obserwacji zmysłowej, a  
serce jego utopia w obrzydliwej miksturze, którą nazwali  
moralnością niezawisłą,  
jak gdyby się ludzkość składała z samych tylko chemików,  
botaników, mineralogów  
lub kupców i karyerowiczów. Zatarasowali bramę, wiodącą do  
tajemniczych krain  
przeczuć, usiłowali nas oderwać przemocą od tęsknot  
wszelakich, przeto padli,  
nie doczekawszy się owoców ze swojego posiewu. To trupy,  
pani!  
Oczy dziewczyny nie schodziły z twarzy mówiącego,  
olśnione, zdziwione. Teraz  
dopiero ujrzała Zofia owe zdolności niepospolite, których  
dotąd daremnie  
szukała. Tryskały one z wyniosłego czoła, z błyszczących  
źrenic, zapatrzonych w



dal, z każdego rysu, z głosu nawet, rozgrzanego słowem.  
Czuła, że ktoś, co tak  
płonie, gdy mówi, nie kłamie i nie powtarza cudzych zdali.  
Jego własne żale i  
rozczarowania ubrały się w dźwięki.  
Na dworze, naokoło, chylił się już dzień ku wieczorowi.  
Niebo, ku środkowi i na  
wschodzie czyste, pokryło się na skraju zachodnim  
fioletowemi chmurkami,

z których bliższe słońca miały rąbki złożone. Nad tą gromadką  
białych obłoczków  
unosila się duża, okrągła, krwawa tarcza, odcinająca się  
wyraźnie, jakby  
przylepiona, od płowego tła blednących błękitów.  
Senna cisza spoczynku spływała na pola i mieszkania ludzkie.  
Drzewa stały bez  
ruchu, jakby oddech powstrzymywały. Ani jeden listek nie  
drgnął na gałęziach.  
Gwarliwe ptactwo błot i łąk przypadło gdzieś i zamilkło.  
Stopniowo ogarniała skraj zachodni łuna, w której topniały  
wszystkie barwy.  
Jedna tylko ognista kula oparła się czerwonej fali, promienna,  
królująca nad  
morzem blasków. Kilka chwil stała spokojnie, potem drgnęła i  
zaczęła się zsuwać  
wolno po za ciemną wstęgę lasów gostkowskich.  
Słotnicki wyciągnął rękę w stronę konającej gwiazdy dziennej  
i wyrzekł:  
— Gdyby panowie uczeni, zamiast schnąć w gabinetach,  
zechcieli obcować częściej

z naturą, zamiast ślęczeć nad szczegółami i szczegółkami,  
raczyli zwracać  
bacniejszą uwagę na całość, na przedziwną harmonię świata,  
możeby zrozumieli,  
że po za odkryciami bezpośredniej obserwacji jest jeszcze  
mnóstwo tajemnic,  
bezwątpienia ciekawszych od badań nad rozwojem jakiejś  
rośliny lub zwierzęcia.  
Słońce zapadło za ciemną wstęgę borów. Z miejsca, w którym  
zaszło, wystrzelił  
prostopadły, złocisty cień, sięgający prawie aż do połowy  
nieba. Świecił przez  
kilka chwil, potem gasł, aż znikł zupełnie. Obłoczki,  
spiętrzone na zachodzie,  
błyszczały jeszcze przez pewien czas odbłaskiem zorzy; w  
końcu zbladły i one,  
zlewając się z jednostajnie szarą barwą mroków wieczornych.

Na polach i łąkach odezwały się teraz liczne głosy. Ludzie,  
zatrudnieni przy  
sianożęciu, wracali do wsi, dzwoniąc kosami. Naszczekiwały  
psy, rozlegał się ryk  
bydła, zagrały błota gwarem żabich muzykantów. A po nad tą  
wrzawą górowało  
głuche, oddalone huczenie bąków, przypominających sobie  
rozkoszne chwile  
minionych zalotów.  
Słotnicki mówił dalej:  
— I to wszystko, co naokoło widzimy, miałoby się dziać bez  
celu, tak sobie, z

łaski jakiegoś wypadku, któremu się spodobało rzucić w przestrzeń miliony światów? Dziwię się dziś sobie, że mogłem wierzyć kiedykolwiek w brednie materialistów.

— A jednak nie widzimy rozumnej przyczyny wszechrzeczy — zauważyła Zofia —

dostrzegamy tylko wszędzie niezmiennie prawa natury.

— Że czegoś nie widzimy — odparł Słotnicki z niecierpliwością człowieka, który przywykł do tego, że go słuchano, gdy mówił — nie jest jeszcze dowodem, iż tego czegoś nie ma.

Drażniła go opozycja dziewczyny, powtarzającej mądrość swoich profesorów z uporem papugi.

Zofia odczuła lekceważenie w jego słowach, więc odparła szorstko:

— Nie porozumiemy się widocznie, różnimy się bowiem w przekonaniach.

— Nie, pani, nie przekonania nas oddzielają, jeno lata, czyli doświadczenie. Gdy pani dojdzie do mojego wieku, wyrzekniesz się niejednego ze swoich dzisiejszych poglądów.

— Przepraszam pana, ale pozwolę sobie wątpić, czy zmienię kiedykolwiek przekonania — wyrzekła panna,

wydymając usta pogardliwie. — Nie zapomina się prawd, których się dobrze

nauczyło.

"Wyraz „dobrze” podkreśliła głosem suchym.

— W takim razie...

Słotnicki chciał odpowiedzieć niegrzecznością na niegrzeczność, ale pomiarkował się w samą porę.

— Przepraszam panią — wyrzekł. — Zapomniałem, że gawędka towarzyska nie jest polem do rozpraw polemicznych. Serdecznie panią przepraszam, jeśli mnie temat zbyt mocno uniósł. Ale temperament publicysty lekceważy czasem konwenanse.

Uśmiechnął się szablunowo. Panował znów nad sobą.

— Pod tym względem nie potrzebuje się pan ze mną krępować — mówiła panna. —

Przywykłam do dysput. Rozprawy naukowe nie obrażają kobiet, które się wyzwoliły z pod jarzma przesądów.

Słotnicki spojrzał na dziewczynę. Sztucznie brzmiały te słowa w jej świeżych ustach, a młodą, ładną buzię zeszpecił twardy wyraz. Była znów podobną do matki.

— Chyba dosyć tej przechadzki — odezwała się w tej chwili pani Ostrobudzka. —

Jedźmy do domu, gdzie nas czeka herbata i bardzo zabawna rozrywka.

Gdy się Słotnicki znalazł w powozie obok kolegi, zapytał:

— Cóż takiego obmyśliła dla nas pani Ostrobudzka?

— To nie ona, to ja — odparł Żagliński. — Tak mnie ta baba na wszystkie strony obrabiała, że musiałem odwrócić jej uwagę od mojej marnej mądrości

filozoficznej. Wystaw sobie, że ona wie w tym kierunku naprawdę Więcej odemnie.  
Nazwiskami to ci tak sypie, jak ple-

wami. Nic dziwnego; ma jeszcze wszystko świeżo w pamięci, moje zaś daty i cytaty już dawno z głowy wywietrzały. Więc kiedy zmiarkowałem, że może być paskudne przyłapanie, dałem w te pędy nura między hypnotyzmy i magnetyzmy.

— Sądzisz, że się pani Ostrobudzka w istocie dużo nauczyła?

— Eh, to znów nie. Umie dużo nazwisk, trochę formułek, to i owo połapała, ale to

wszystko nie trzyma się bardzo kupy. Dość ci powiedzieć, że jej moją erudycją

przez cały kwadrans imponowałem, a wiesz dobrze, że mnie filozofia nigdy nie

zajmowała. Nie lubię tej czczej gadaniny. Będziemy się tedy dziś bawili w

Cumberlanda. Lepsze to, niż to mądre babskie trajkotanie. Uf! spracowałem się!

Nie wiedziałem, że to tak trudno dotrzymać pola uczonemu językowi niewieściemu.

To ci gada! A wszystko stanowczo, nieodwołalnie, jak z katedry. Trzeba będzie

jeszcze trochę powertować w twoich podręcznikach. Ani mi się śniło, że będę się

na stare lata uczył filozofii! No, no!...

Gdy się towarzystwo po kolacyi przeniosło do salonu, zaczęła się owa bardzo

zabawna rozrywka. Polegała ona na tem, że wyprowadzono panią Iłowską do sąsiedniego pokoju, aby nie słyszała umowy, a kiedy się porozumiano, zawiązano jej oczy i kazano się domyślać zadania. Miała pójść przed jakiś obraz i ukłonić się.

Trzymana za ręce powyżej dłoni i za kark przez panią Ostrobudzka i Żaglińskiego, stała przez kilkanaście minut na miejscu.

— Proszę skupić całą uwagę i poddać myśl! — komenderował Żagliński.

Wpatrzył się w skroń pani Iłowskiej, wyteżywszy wzrok i powtarzał w myśli: „Idź przed ten obraz i ukłoń się — idź przed ten obraz i ukłoń się!” To samo uczyniła pani Ostrobudzka.

Wśród ogólnego milczenia ruszyła się nareszcie pani Iłowska. Zrobiwszy krok, zatrzymała się, aby się po chwili znów naprzód posunąć. Szła wolno, z przestankami, jakby się namyślała, kierując się w stronę owego obrazu. Stanąwszy przed nim, nie wiedziała widocznie, czego od niej żądają, bo zaczęła ręką czegoś szukać. Żagliński, zniecierpliwiony się, pchał nieznacznie jej głowę ku dołowi.

Kiedy się lekko pochyliła, zdjął z jej oczu zasłonę, wołając: — Brawo, brawo! eksperyment udał się doskonale. Miała pani temu pejzażowi złożyć

uszanowanie, co się też stało.

— Stało się? — wyrzekła pani Iłowska, wodząc naokoło zdziwionym wzrokiem.

Nic nie wiedziała, co się stało, ale nie zaprzeczyła.

— Są to jednak szczególne zjawiska — odezwała się pani Ostrobudzka, zwracając się do Słotnickiego. — Może pan nam pomoże do ich objaśnienia?

— Służyłbym paniom chętnie — odparł zapytany — ale nie zajmowałem się dotąd tym działem zjawisk. Przypuszczam tylko, że istnieją w człowieku jakieś siły, które czekają jeszcze na badaczy.

— Niema wtem zjawisku nic szczególnego — odezwał się Żagliński. — Polega ono poprostu na prawie psychologicznem, które nakazuje człowiekowi posuwać się ku tym punktom, ku którym kieruje się uwaga. Frazes ten wygłosił dziennikarz z taką swobodą, jakby twierdził, że dwa a dwa stanowi cztery.

Niepewne spojrzenia pań świadczyły, że ani jedna z nich nie rozumiała owego prawa psychologicznego, które ma nakazywać człowiekowi posuwanie się w kierunku skupionej uwagi, ale żadna z nich, nie chcąc uchodzić za nieuka, nie miała odwagi zaprzeczyć.

— Ależ naturalnie, to takie proste! — zawołała pani Olimpia.  
— Ma się rozumieć,

że to znane powszechnie prawo psychologiczne. Ależ tak, bardzo znane...

— Tylko w ten sposób wolno tłumaczyć dziwne napozór zjawiska — dodała Zofia

tonem przekonanym. — Nauka ma na wszystko odpowiedź. Jeden tylko Słotnicki chciał protestować, ale zamilkł, trącony pod stołem nogą kolegi.

Już sądził Żagliński, że zwyciężył, kiedy się z drugiego końca salonu odezwał głos Ostrobudzkiego.

Stary szlachcic, nie biorący dotąd udziału w mądrych dysputach, wyrzekł:

— A możeby państwo ze mną spróbowali? Wyprowadzono go do ciemnego pokoju,

umówiono się, następnie zawiązano mu oczy i czekano.

Bardzo długo namyślał się

Ostrobudzki, zanim ruszył z miejsca. Posuwał się wolno, przedzielając krok od

kroku kilkuminutowymi przestankami, ale stanął ostatecznie przed Zofią, a

poczuwszy obok siebie ciało obce, badał za pomocą rąk, kogo ma przed sobą. Nagle

pochylił się i złożył na czole synowicy głośny pocałunek.

— Doskonale, doskonale! — zawołało całe towarzystwo.

— Wcale nie doskonale — odparł Ostrobudzki — bo czułem wyraźnie, jak mnie

państwo prowadzili, a kiedy poznałem po włosach i nosku, że to Zosia, więc nic

naturalniejszego nad to, że ją pocałowałem.



— My też nie twierdzimy, żeby to były jakie czary — bronił się Żagliński. —

Dzieje się to drogą naturalną, za pomocą sugestyi. Prawo psychologiczne, o

którem mówiłem, wprawia w ruch członki...

— I kieruje je w stronę uwagi, słyszałem — przerwał

Ostrobudzki — ale mimo to

nic nie rozumiem, dlaczego to pańskie prawo psychologiczne każe ręce pańskiej

prowadzić moją rękę, bo czułem, jak mną pan nieznacznie powodował. To raczej

flzyologia, a nie psychologia.

Żagliński nie dał się zbić z tropu.

— A któż mówi dziś o psychologii bez flzyologii, szanowny panie? — mówił. — To

dwie siostrzyce, tak ściśle z sobą spojone, że jedna nie może się obyć bez

drugiej.

— Ależ naturalnie, naturalnie! — wtórowała pani Olimpia. —

Któż mówi dziś o

psychologii bez flzyologii?

A szlachcic na to:

— Chyba się redaktor uczył prawa?

— Byłem rzeczywiście na wydziale prawnym — odparł

Żagliński. — Kształciłem się

na adwokata.

— Szkoda...

— Czego, panie dobrodzieju?

— Że pan nie został kauzyperdą.

Spojrzeli na siebie przelotnie. Żagliński wiedział, że ma przed sobą

podejrzliwego obserwatora, którego należy się wystrzegać.

Trafił bystry na

bystrego.

Chcąc odwrócić od siebie uwagę, odezwał się:

— A możebyśmy spróbowali stolika wirującego, kiedy wtargnęliśmy już raz do

królestwa okultyzmu. Zabawka to, jak każda inna. W

Warszawie wirują znów od

pewnego czasu stoliki, spodki, pierścienie, ekierki i t. p. narzędzia,

wyróżnione przez świat zagrobowy.

Wesoły śmiech pań odpowiedział na tę propozycję.

— Czy Warszawa wraca istotnie do tych zabobonów? — zapytała Zofia.

— Jakżeby to było, żebyśmy nie naśladowali we wszystkim Zachodu — odparł

Żagliński. — Nie ma u nas jeszcze okultystów, spirytystów, czy medyumistów

fachowych, uczonych, lecz tu i owdzie przypominają sobie ludzie stoliki naszych

babek. Więc zgoda?

— Zgoda, zgoda! — wołały panie.

— Będziemy rozmawiali z duchami — mówiła pani Ostrobudzka, śmiejąc się.

— Z duchami! — powtórzyła Zofia. — Duchy, duchy...

Ogólna wesołość opanowała towarzystwo.

— Ale w takim razie należy robić wszystko według recepty spirytystów — mówił

Żagliński. — Trzeba usunąć lampy i nastroić się odpowiednio.

Duchy nie lubią

światła.

— Nie lubią światła dziennego — wtrąciła Zofia. —

Wiadomo, wiadomo...

Żagliński zgasił lampy, zostawiając tylko w oddalonym rogu salonu jedną płonącą świecę. Potem otworzył na rozciernie szklane drzwi, prowadzące do ogrodu i zasiadł przed fortepianem.

— Proszę się skupić! — komenderował.

— Skupić, skupić! — mówiła Zofia, śmiejąca się bezustannie. Po chwili rozbrzmiał wśród ciemności, osrebrzonych słabym odbłaskiem księżyca, marsz pogrzebowy Chopina. Serdeczna skarga wielkiego mistrza tonów kładła się, jak oliwa, na rozkiełznane fale humoru. Umilkły puste chichoty, ustały drwiące uwagi, uspokoiły się twarze. Cisza zaległa salon, przepełniony dźwiękami nieutulonej boleści.

Kiedy Żagliński skończył, panował już właściwy nastrój.

Niepewne światła

miesiąca przesuwwały się po meblach i głowach ludzkich;

ukazywały się i znikwały,

powiewne, tajemnicze.

Żagliński wziął z kąta mały okrągły stolik, przysunął go do drzwi i odezwał się

głosem stłumionym:

— Trzeba utworzyć łańcuch mieszany; panie powinny

przegrodzić panów, aby się tak

zwany fluid spotęgował. Tak chce przepis spirytystów. Należy ręce połączyć w ten

sposób, żeby małe palce spoczywały na sobie.

Uczyniono, jak rozporządził. Towarzystwo otoczyło stół i czekało na skutki doświadczenia.

— Nie wolno przyciskać mocno. Należy trzymać ręce lekko

— pouczał jeszcze

Żagliński szeptem.

Pięć głów pochyliło się nad stolikiem, dziesięć rąk spoiło się, odbijając

Małością od czarnego tła blatu z drzewa gruszkowego. Jeden tylko Ostrobudzki nie

brał udziału w zabawie. Przysunąwszy sobie fotel do

towarzystwa, śledził ruchy

Żaglińskiego, o ile na to niepewne światło pozwalało.

Przez kilka minut nie było nic słyszeć, prócz równomiernego dygotu zegara i

regularnych oddechów eksperymentujących. Wszyscy

milczeli, wyteżywszy wzrok i

uwagę.

Wyciągnięte palce rąk, zmęczone niewygodnym położeniem, zaczęły drżeć. Jedna z

pań westchnęła głośniej, Słotnicki wyprostował się, Żagliński zaczął się

niecierpliwie ruszać.

Znów upłynęło kilka minut, a stół milczał.

— Jakoś duchy na nas niełaskawe — odezwała się pani

Olimpia szeptem. — Może im

dać pokój; ta niewygodna postawa nuży; ręce nasze tracą

władzę.

— Niechże mama nie przeszkadza — mówiła Zofia, tłumiąc tak samo głos. — Czekajmy jeszcze trochę na skutki.

Czekali...

I znów zapanowała cisza, przerywana przyspieszonymi, cięższymi oddechami i jednostajnym zgrzytem zegara.

Wtem rozległ się szmer. Jedna nóżka stolika odrywała się od woskowanej posadzki.

— Rusza się — szepnęła pani Olimpia.

— Rusza się! — wtórowała Zofia.

— Zaczyna falować — dodała pani Łłowska. Szmer powtórzył się i stolik zaczął się przechylać w stronę Żaglińskiego.

— Faluje!...

— Faluje....

— Naprawdę faluje!... — mówiły panie na przemiany.

Ostrobudzki opuścił rękę pod fotel. Jakiś przeciągły szelest odezwał się za nim, potem drugi gdzieś dalej, pod piecem, trzeci znów w innym miejscu.

Tułające się po salonie światło księżycy zatrzymało się właśnie nad grupą

eksperymentujących i oświeciło trzy przerażone twarze niewieście i jedno

zdziwione oblicze męskie. Tylko Żagliński spojrzał szybko w stronę

Ostrobudzkiego i uśmiechnął się złośliwie.

— Podług spirytystów, są takie szelesty i lewitacye stolika świadectwem, że się

między nami jakiś obcy przybysz znajduje — objaśnił. —

Należy się teraz porozu-

mieć co do znaków. Jedno stuknięcie niech znaczy „tak,” dwa „nie,” trzy

„odpowiedź niepewna.”

Stolik podnosił się zrazu leniwie, przechylając się to w jedną, to w drugą,

stronę; nagle zatoczył się i zaczął szybciej falować.

— Teraz pora z pytaniami — zauważył Żagliński i zawołał głośno:

— Czy jest tu kto między nami? Stolik opuścił się wolno i uderzył raz.

— Jest ktoś...

— Jest... — szeptały panie — jest...

W głosie ich nie było już ani śladu tonu drwiącego..

Przeważało w nim zdumienie,

połączone z niepewnością.

Stolik podnosił się znów i przechylał, ruszając się coraz szybciej.

— Może zapytamy ducha o co? — mówił Żagliński. — Która z pań życzy sobie odchylić rąbka przyszłości? Niech się panie nie obawiają. Wszakże to tylko niewinna zabawka.

— Ma się rozumieć — potwierdziła pani Olimpia.

— Ja postawię pytanie — odezwała się Zofia. — Ale jakie?

— Niech nam duch powie, kiedy pani wyjdzie za mąż — poddał Żagliński.

— Nie mam zamiaru pozbawienia się swobody, z którą mi dobrze.

— Właśnie dlatego. Odpowiedź będzie tem ciekawsza.

Zgódźmy się na długi termin,

na lata. Za ile lat wyjdzie panna Zofia za mąż, odpowiedz  
duchu? — wyrzekł

Żagliński głośno.

Stolik podnosił się, przechylał, zaczął nawet krążyć,  
zmuszając towarzystwo do  
zmiany miejsca, ale milczał.

— Pan duch jest uprzejmy — zauważył Żagliński — chce  
panią, prędzej wyswatać.

Więc za ile miesięcy? Odpowiedz, gościu nieznany!

Gość nieznany zakreślił stolikiem, uniósł go wysoko, a potem  
wystukał wśród  
ogólnej ciszy siedm uderzeń.

— To śmieszne — szepnęła Zofia. — O nikim nawet dotąd  
nie pomyślałam.

— Zaraz się dowiemy, kogo pani los wyznaczył — mówił

Żagliński. — Za kogo

wyjdzie panna Zofia, mądry gościu, co znasz przyszłość tej  
ziemi? — pytał. — Czy

za właściciela ziemskiego? Mów, prosimy.

Stolik stuknął dwa razy.

— Nie? Może za adwokata? Nastąpiło ponowne zaprzeczenie.

— W takim razie za lekarza? — Nie? — Za profesora? —

Nie? — Za żołnierza? —

Także nie? — Za inżyniera — Jeszcze nie?

Stolik uderzał ciągle dwa razy.

— Więc może za dziennikarza, chociaż to marny proceder.

Promień księżycy oświecił znów miejsce pod drzwiami. Zofia,  
podniósłszy głowę,

ujrzała tuż przed sobą parę czarnych oczu, błyszczących w  
ciemności, jak ślepie

drapieżnego zwierzęcia.

Już zakołysał się stolik, już podniósł nóżkę, aby dać żadaną odpowiedź, kiedy

się nagle rozległ łoskot, jakby się sufit walił.

Towarzystwo rozerwało łańcuch i stolik runął na posadzkę.

— To nic! — odezwał się Ostrobudzki, zapalając lampę. —

Tylko album spadło na

podłogę.

— Jak można tak ludzi przerażać? — zawołała pani Olimpia.

— Rzecz szczególna, że taka drobnostka bratową przeraża.

Kobiety bez przesądów

nie boją się byle czego.

— I kobiety bez przesądów mają nerwy.

Żółty blask światła lamp padł na pięć twarzy zmęczonych,

jakby wyczerpanych po

jakimś niezwykłym wysiłku umysłowym. Panie pobladły,

drżąc na całym ciele.

Szkoda, że ów gość zagrobowy nie miał czasu odpowiedzieć

na ostatnie pytanie —

mówił Ostrobudzki rzucając Żaglińskiemu z pod siwych brwi szyderskie spojrzenie.

— Byliśmy tacy ciekawi, za kogo Zosia wyjdzie...

— Była to tylko zabawka — wyrzekł dziennikarz.

— Zapewne... I powinna zostać tylko zabawką... W głosie

Ostrobudzkiego, gdy

słowa te wymawiał, drżała groźba.

— A jednak rzecz dziwna — odezwała się pani Olimpia —

stolik mszał się, wirował.

Nie może nam pan przyczyny tego ruchu wytłómaczyć, panie Słotnicki?



Zapytany wzruszył ramionami.

— I dla mnie to tajemnicą. Fakt jest, że wirował — odparł.

— Objaśni nas niezawodnie pan Żagliński — wtrącił Ostrobudzki.

Dziennikarz odczuł ironię w wyzwaniu ziemianina, ale nie zawahał się ani na chwilę.

— Mogę dać tylko znane powszechnie wyjaśnienie —

odrzekł. — Spirytyści twierdzą,

że duch wchodzi w stolik, medyumiści szukają jakiejś siły, nie określonej dotąd

przez naukę, zwykli zaś ludzie, do których i ja mam honor się zaliczać,

domyślają, się współdziałania częściowego stanu

hypnotycznego, spowodowanego

stopniowem rozdrażnieniem nerwów, osłabieniem woli,

podnieceniem wyobraźni i

autosugestyi.

— Gdyby się redaktor zechciał nie tak uczenie wyrażać —

zauważył Ostrobudzki —

możebym i ja coś z wykładu skorzystał.

— O, to bardzo jasne — zawołała pani Olimpia.

— Dla pani może, dla mnie nie. Mnie się tylko zdaje, że stolik wirował dlatego,

bo go państwo, zmęczony się i zniecierpliwiony, zaczęli sami popychać. Resztę

to już zrobiła owa mądra sugestya pana Żaglińskiego.

Była już późna godzina. Pani Olimpia, żegnając się z panami z Zalesia,

zapraszała ich szczerze do częstszych wizyt. Głównie Żaglińskiemu nie szczędziła uśmiechów i słów uprzejmych. Gdy goście odjechali, odezwała się do pani Hłowskiej: — Cóż to za miły człowiek, ten pan Żagliński! A jaki rozumny, wykształcony, utalentowany, a mimo to przyjemny w towarzystwie! To istny Faust! Wszystko wie, umie; uczył się wszystkiego! Pani Hłowska nie przeczyła. I ona była Żaglińskim zachwycona. — A ty co na to, Zochno? — zapytał Ostrobudzki. — Podzielał zupełnie zdanie mamy — odpowiedziała Zofia. — Pan Żagliński jest nie tylko wszechstronny, ale także bardzo łatwy, o co dość trudno w sferach literacko-artystycznych. Ci panowie bywają, najczęściej dziwakami. Pan Słotnicki np. raczy zaledwie rozmawiać.

Mówił mi dziś, że milczy dlatego, bo nie lubi przelewania pustych słów i frazesów.

— Czy być może? — zawołała pani Olimpia. — Arogant! Robi rzeczywiście wrażenie pyszałka.

— To tylko szczególne — mówił Ostrobudzki — że ten wasz utalentowany Żagliński nie dał dotąd dowodu swoich zdolności.

— Jakto? Jest przecież dziennikarzem — broniła nieobecnego pani Olimpia.

— To żaden dowód, bo dziennikarstwo jest rzemiosłem, jak każde inne. Można go się nauczyć. Od człowieka z talentem żądamy dzieł talentu. Że Słotnicki posiada zdolności niepospolite, wiemy wszyscy, bo czytamy od lat dziesięciu nietylko artykuły, ale i książki z jego podpisem. O Żaglińskim jednakże słyszę dziś po raz pierwszy. Nie widziałem tego nazwiska nigdzie, chociaż przerzucam zimą różne czasopisma. Musi to być jakiś podrzędny gazeciarz.

— Może pan Żagliński pisze pod pseudonimem? — wtrąciła pani Olimpia.

— Wątpię bardzo, bo pochwaliby się przed paniami. Tacy nie lubią ukrywać swojego światła pod korcem. Trąbiłby na cały świat. Mądry to gracz! Słyszysz, jak trawa rośnie, ale nie mnie starego brać nad gładkie frazesy. Gębę ma bestya, niby tartak, a spryt, jak lichwiarz.

Pani Olimpia poruszyła się niecierpliwie na fotelu.

— Pan brat zapomina, że pan Żagliński będzie jeszcze często moim gościem — wyrzekła. — Zresztą, nie na to kształciłyśmy się w Zurychu, abyśmy się tu, na prowincyi, miały uczyć znajomości ludzi. Pan brat pozwoli, że będziemy sobie same dobierały towarzystwo. Znamy się wybornie na ludziach.

— Widzę to, widzę — mruknął Ostrobudzki. — Proszę tylko pamiętać, że przestrzegalem.

A podnosząc się, wydobył z kieszeni zwój papierów.

— Oto rachunki z opieki; — wyrzekł — są w porządku.

Proszę je przejrzeć i

przysłać mi pokwitowanie, bo to teraz takie czasy, że własna synowica mogłaby

zarzucić staremu stryjowi nieuczciwość, zwłaszcza, gdyby się dostała pod komendę

jakiego Żaglińskiego. Więc formalne pokwitowanie jutro. A

teraz, kiedy panie

wróciły i mają dużo czasu, nie będę się już zajmował administracją Ostrobudek.

Przypilnuję tylko gospodarstwa rolnego i inwentarza, aby

Woralski nie palnął

jakiego głupstwa. Resztę, niech panie same robią. Dobrej nocy życzę.

Na progu odwrócił się i dodał:

— Niech tylko bratowa dobrze uważa. Jeżeli pan Wojciech nie był jeszcze z

powitaniem u swojej wdowy, to z pewnością którego dnia

przyjdzie. Dobrej nocy

życzę w miłym towarzystwie nieboszczyka męża. — Gbur! — syknęła za nim pani

Olimpia.

V.

Była już godzina dziesiąta, kiedy się Żagliński stawił nazajutrz do śniadania.

— A tom się wczoraj zmachał — mówił, witając się z kolegą.

— Przez całą noc śnił

mi się ten idiotyczny stolik i ten twój podstępny szlachcic.

Ryba z tego pana

Ostrobudzkiego. Byłbym się bez mała przez niego przewrócił.

Udaje głupiego, a

kuty na cztery nogi.

— Mówiłem ci, że to człowiek rozumny — odparł Słotnicki,

podnosząc się od

biurka, przy którym siedział, obłożony książkami.

— Rozumny, jak rozumny, ale chytra bestya. Takiemu trudno zablagować.

Żagliński wziął jedną z książek i przeczytał tytuł.

— Crookes? — wyrzekł. — Informujesz się? Widzę, masz i

Wallace'a, Gibier'a,

Jacolloifa, Heidenhain'a, Cullere'a, całą bibliotekę

okultystyczną. Pracuj,

pracuj, mólu bibulany, a jak to wszystko połkniesz i porządnie

strawisz, to

powiesz mi to i owo, abym mógł twoje sąsiadki dalej

zabawiać. Szczególny gust,

czytać takie bzdurstwa!

— Wiesz, co ci powiem? — odezwał się Słotnicki.

— Zapewne podzielisz się ze mną jakim głębokim

sposprzeżeniem psychologicznem?

Słucham.

— Dziwiłem się wczoraj twojej odwadze.

— Chcesz powiedzieć: bezczelności. Nie żenuj się, mężu z

księżyca.

— Niech tak będzie, skoro sobie tego życzysz. Trzeba mieć tupet, aby wygadywać takie cudactwa.

— Naprzykład?

— Naprzykład to twoje prawo psychologiczne, które wydaje mi się bardzo podejrzone.

— I mnie...

— I tobie? Sądziłem, że...

— Przeczytałem gdzieś ten frazes i użyłem go w chwili stosownej. Może źle?

Przecież widziałeś, jak te uczone sroki wytrzeszczyły nasamprzód oczy, zdumione

moją erudycją, a następnie skrzeczały: „Ależ naturalnie, naturalnie!” — udając,

że dowiadują się rzeczy znanej. O cóż ci idzie? Głupstwa nie palnąłem, bo ten

twój szlachcic się nie liczy. To zacofaniec, któremu się zdaje, że wszystko, co

człowiek mówi, powinno mieć jakiś sens.

— A ty jesteś innego zdania?

— Jestem tego zdania, że tak zwana przeciętna inteligencja i przeciętna uczoność

zdumiewają tylko głupców. Niby to ja nie wiem, jak się robi zasady, przekonania,

sądy. Największy idiotyzm wmówisz w człowieka, gdy go uparcie, aż do skutku,

powtarzać będziesz. Robiłem, jako dziennikarz, miernoty znakomitościami, a ludzi

talentu spychałem między czerń pospolitą. Ubiegłej zimy zapełniłem Bolkowi, za

pomocą zręcznych wzmianek, pięćdziesiąt razy salę teatralną, chociaż jego nędzne

sztuczdyło powinno było klapnąć zaraz na premierze.  
Bazgraninę Stacha  
roztrąbiłem tak, że ludzie ciągnęli na wystawę, jak do  
Częstochowy na odpust i  
dziwowali się obrazowi, który był wart właśnie

tyle, ile moja znajomość malarstwa. Powiedz oczywisty  
nonsens, byle śmiało,  
stanowczo, bez zachłyśnięcia, a znajdziesz zawsze kółko  
wierzących. Im tak zwana  
przeciętna inteligencya coś mniej rozumie, im większe  
głupstwo ciśniesz przed  
nią, byle odpowiednio udekorowane, strojne w ciemną,  
zagmatwaną frazeologię, tem  
łatwiej lezie ona w pułapkę. Powinieneś się był tego oddawna  
nauczyć.

Nowicyuszem nie jesteś.

— Czy wiesz, jak nazywają się pojęcia, które wygłaszasz? —  
zapytał Słotnicki.

— Wiem. Ty nazwiesz je nieuczciwością, niesumiennością i  
jeszcze inną ością, ale  
twój sąd nie jest dla mnie miarą, bo...

— Bo ja jestem idyota, głupcem, fantastą, marzycielem,  
kiepskim waryatem,  
szalonym i t. d., który żąda od człowieka publicznego, aby się  
jego czyny

zgadzały z przekonaniami i odwrotnie. Wszakże tak?

— Brawo, doskonale, wybornie! — wołał Żagliński,  
potwierdzając każde słowo  
kolegi potakującym ruchem głowy. — Nie inaczej, nie  
inaczej... Na takich

fantastów, jak ty, nie ma lekarstwa. Życie chyba cię dosyć nabiło, naponiewierało, a ty, apostołe idei, czy jak się tam nazywasz, przykładasz tylko ręce do piersi i mówisz z żalem: przebacz im, albowiem nie wiedzą, co czynią. Nie wiedzą? Głupcy wiedzą doskonale, że chcą uchodzić za mądrych, egoiści za szlachetnych, durnie za honorowych. Dajże mi święty pokój z tym twoim biernym pesymizmem. Ja jestem pesymistą prawdziwym, bo nietylko nie wierzę w rozum i cnotę, lecz drwię sobie jawnie z tych bezczelnych kłamstw człowieka, posługując się niemi, gdy mi są potrzebne. Ale dysputujemy de lana caprina, jak gołowasy, a twoja wyborna kawa ze śmietanką wiejską stygnie tymczasem!..

Przeszli do sali stołowej. Żagliński przyrządził sobie napój ze znajomością fachowej kawiarki, a Słotnicki wziął z rąk sługi filiżankę herbaty, nie przypatrzwszy się nawet jej kolorowi. Podnosił do ust łyżeczkę, zapatrzony w desenie obrusa. Znał i on życie bardzo dobrze, nie posiadał i on złudzeń co do istotnej wartości człowieka cywilizowanego, optymistą nie był, a mimo to



cierpiał zawsze, gdy się o rzeczywistość, o prawdę otarł.  
Wstydział się i bolał  
za rodzaj, do którego należał. Nie zawody, przykrości i  
rozczarowania osobiste  
męczyły go. Upokarzała go i nękała świadomość niemocy i  
płaskość rodu ludzkiego  
wogóle.

Żagliński, wypiwszy kawę, zabrał się do jajek, do szynki i  
bułeczek, które  
pokrywał grubo masłem. Śniadanie zakończył filiżanką  
herbaty.

— Mogę teraz wytrzymać do obiadu — wyrzekł, rzucając  
serwetę na stół. — To się  
nazywa prawdziwą filozofią życia. Dla takiej śmietanki i  
takiego masła warto  
żyć.

Lokaj zbliżył się na palcach i podał panu na srebrnej tacy  
pocztę.

— Są do ciebie dwa pisma — odezwał się Słotnicki.

Żagliński, spojrzawszy na  
koperty, podał nieczy-  
tane listy na drobne kawałki.

— Zapewne od twoich przyjaciół? — wyrzekł Słotnicki.

— Literatura żydowska! Ciekawy jestem, kto tym parchom  
mógł adres mój podać. A  
prosiłem w redakcyi, żeby mi pozwolili odpocząć.

Prawdopodobnie chciał się Kazik  
zabawić moim kosztem. Jego się zawsze figle trzymają. Już  
widzę, jak się bierze  
za boki, że mi nasłał lichwiarzów.

— Nie wydobyłeś się dotąd z ich rąk?

— Tobie się zdaje, że to tak łatwo. Kto się raz w te łapki dostanie, ten niech się przygotuje na służbę dozgonną. Dawniej robiłem sobie niewiele z ich procesów, komorników i pogróżek licytacyi. Tu się pożyczyci, tam oddało i szło jakoś z roku na rok. Ale od pewnego czasu zaczyna się ta psiarnia niecierpliwić.

Widzę teraz, że trzeba będzie kiedyś rachunki pozałatwiać.

— Mógłbym ci służyć...

— Dziękuję ci, ale tyle, ile potrzebuję na uregulowanie interesów, nie mógłbyś mi dać, a mnie potrzeba radykalnej kuracyi.

— Więc masz aż tyle długów?

— Sporą kupkę, ale to nic. Obmyśliłem już kombinację, która powinna mnie odrazu na nogi postawić.

— Gdybyś był w przykrem położeniu, pamiętaj, że mnie dziś kilka tysięcy rubli nie stanowi różnicy.

— Dziękuję ci, a w zamian za twoje dobre chęci, przyjm odemnie radę koleżeńską.

Nie bądź tak hojnym, bo pieniądze kuszą cudzą chciwość.

Gdy się ludzie dowiedzą,

że nie masz węża w kieszeni, rozdrapią ci dziedzictwo tak szybko, iż ani się

obejrzysz, jak ci znów tylko pióro zostanie. A wątpię, czy wróciłbyś z

przyjemnością do taczki zarobkowania.

— Nie, nie! — zawołał Słotnicki, podnosząc się żywo z krzesła. — Wiem aż zanadto

dobrze, jak wygląda walka o byt. Trzeba mieć duszę niewolnika, by znosić cierpliwie poniewierkę niedostatku. Nie chcę, nie chcę.. Po raz wtóry wszedł lokaj z tacą.  
— Posłaniec z Ostrobudek, jaśnie panie — meldował. Słotnicki wziął liścik pachnący i przebiegł wprawnym okiem jego zawartość.

— Panie proszą, abym pozwolił urządzić w sobotę w lasku olszynowym podwieczorek, na który nas zapraszają — wyrzekł.  
— Pozwalasz, naturalnie! — zawołał Żagliński.  
— Rozumie się, że zgadzam się chętnie.  
— A gdyby tak urządzić trochę sztucznych ogni, rakiet, coś w tym guście?...  
— Dlaczego nie, ale z kąd wziąć owych ogni? W Łęczycy, wątpię, czy dostalibyśmy dobrego materiału, a do Warszawy nie mam kogo posłać. Sam nie pojedę dla kilku fajerwerków. Żagliński namyślał się, licząc na palcach.  
— Dziś mamy wtorek, więc do soboty mogę być dwa razy z powrotem.  
— Cóż znowu! — przekonywał Słotnicki. — Jeszcześ nie wypoczął po pierwszej drodze, a chciałbyś znów lecieć. To zawsze fatyga. Trzy mile końmi i cztery godziny w wagonie, przytem gorąco nieznośne. Obędziemy się bez sztucznych ogni.  
— Nie, nie, jadę. Cóż ci to szkodzi? Lubię ruch. Pojadę dziś i wrócę we czwartek

pociągiem wieczornym. Zobaczą tego i owego, wycalują gdzie za kulisami jaką aktoreczkę, pogawędzą trochę z lichwiarzami, bo widzą, że się już za mną stęsknili i jazda napowrót.

— W takim razie musisz jechać zaraz, jeżeli chcesz zdążyć do Kutna na kuryer.

— Będę gotów za kwadrans.

W pół godziny potem siedział Żagliński w powozie, żegnając się z kolegą. Kiedy znikł za sztachetami, które oddzielały rezydencję zaleską od drogi, mówił za nim

Słotnicki:

— Bez celu nie spieszy się do Warszawy, jak gdybym go wypędzał. Ma jakiś plan, ale — jaki?

Uśmiechnął się z lekceważeniem.

— Cóż mnie zresztą jego plany mogą obchodzić? — myślał.

— Jego świat inny, a mój inny.

Wrócił do gabinetu, wyciągnął się wygodnie na szezlongu i zaczął czytać.

Wychowaniec nauki pozytywnej, materyalista z nabytych przekonań, Słotnicki nie zastanawiał się nigdy nad sprawami, które przekraczają zakres bezpośredniej obserwacji. Cały świat, zwany powszechnie nadprzyrodzonym, uważał za wytwór wyobraźni lub przesądów. Szukając wszędzie przyczyn naturalnych, zastanawiał się

tylko nad temi zjawiskami, które mógł sprawdzić za pomocą środków naukowych.

Uwierzywszy raz, że Bóg, dusza, celowość stworzenia, posłannictwo człowieka, są mrzonkami fantastów, nie raczył się nawet temi zagadnieniami zajmować.

Dopóki brał czynny udział w boju publicystycznym, nie miał zresztą czasu do

studyów samotnych. Rozrywany przez wydawców, przeciążony pracą, wyrzucając z

siebie jeden artykuł po drugim, zaczepiany, zmuszany do ciągłej walki, pędzony z

roboty w robotę przez przeciwników kierunku, którego sztandaru bronił z zapalem

młodości, stracił rachubę miesięcy, tygodni, dni, godzin nawet. Jadł między

jedną polemiką a drugą, nie bawił się nigdy, a spał, kiedy mu znużenie pióro z

rąk wytrącało. Szary świt zastawał go często przy biurku, a południe w łóżku.

W takiej bezustannej wrzawie i krzątaninie nie mogło być mowy o skupieniu, o

zrobieniu bilansu między mądrością książek a doświadczeniem życia. Leciało się w

ogień, jak ćma i opalało się sobie skrzydła, nie wiedząc nic o tem. A kiedy się

bój skończył i nadeszły chwile swobodniejsze, wówczas było już zapóźno na

spokojne roz-

ważanie przebieżonej drogi. Drapieżny pesymizm, naturalny  
skutek nadmiernego  
wysiłku mózgu i nerwów, nie pozwalał na cichą medytację.  
Rozmiałowany w  
lamentach, obrzydził rozczarowanemu szampionowi  
materiałistów nietylko owoce  
jego własnych trudów, lecz wszelką myśl wogóle.  
Kiedy Słotnicki przybył na wieś, zdawało mu się, iż zostanie  
już na zawsze  
inwalidą ducha i serca. Ale cisza i czystość otaczającej go  
przyrody, pospołu z  
siłami lat młodych, zdejmowały z niego powoli, nieznacznie  
okrutny ciężar  
zwątpienia.  
Zrazu obojętny na wszystko, co się naokoło niego działo,  
uciekający od  
zadrukowanej bibuły, jak od plugawego płaza, wracał  
stopniowo do nawyknień  
całego życia. Człowiek myśli i pióra zaczął po kilku  
miesiącach zaglądać do  
czasopism, następnie do książek, w końcu roił znów nowe  
kompozycje na  
przyszłość. Stłumiona na czas pewien ciekawość do spraw,  
obchodzących ludzką  
cywilizowaną, tliła pod popiołami, aż buchnęła szerokim  
płomieniem. Tam, w  
niespokojnej, nerwowej, starej Europie, mówili ludzie o  
dziwnych rzeczach, a on  
miałby nie wiedzieć, co jego współczesnych straszło i  
zajmowało?...

I oto spoczywał na szezlongu i zapomniawszy o Bożym  
świecie, czytał, łykał,  
pochłaniał dzieła spirytystów, okultystów, teozofów.

Szczególne towarzystwo i szczególne marzenia!...  
O duszy i duchach tak sobie rozprawiają, jak gdyby nie było  
nigdy pozytywizmu,  
ewolucjonizmu i materyalizmu. Na honor się zaklinają, że  
widzieli zjawiska,  
ciśnięte przez trzeźwych uczonych między rupiecie  
zabobonów gminu. I to kto? Me  
śmieszni idealisci, łudzący siebie i innych, by to nędzne życie  
uczynić  
znośniejszem, nie

teologowie, broniący z urzędu wszelakich nadprzyrodzoności,  
ale Crookes'y,  
Wallace'y, Gibier'y, Zollner'y — nauki niezawisłej nietylko  
wychowańcy, lecz  
słynni przedstawiciele.  
Słotnicki czytał. Lokaj przyszedł anonsować obiad.  
— Później! — odrzekł.  
Lokaj przypomniał, że obiad ostygł.  
— Idź do dyabła! — fuknął.  
O jedzeniu mu mówią, kiedy on dowiaduje się takich  
dziwnych rzeczy. Ten Wallace!  
Razem z Darwinem wynalazł teorię o pochodzeniu gatunków,  
a teraz... To ten sam  
Wallace? Być-że to może?...  
Słotnicki spojrział na okładkę książki. Ten sam... A. B...  
A jak on zabawnie rozprawia o rzeczach nadprzyrodzonych!  
Powiada, że nauka  
zerwie zasłonę z tajemnic zagrobowych. Argumentuje,  
polemizuje, wnioskuje,

przytacza dokumenty, zupełnie, jak gdyby poddawał  
ogłędzinom przedmiot,  
podlegający bezpośredniej obserwacji. I nawet twierdzi  
wręcz, że zastosowuje do  
zjawisk nadprzyrodzonych metodę pozytywną. Szczególne!...  
A temu lat kilkanaście  
byłby parsknął śmiechem, gdyby go ktoś zapytał, czy wierzy  
w duszę? Teraz  
nietylko nie parska śmiechem, lecz wstecznikami,  
zacofańcami nazywa wiernych  
uczniów swoich doktryn dawniejszych. Bo nauka powinna  
granice rozszerzyć,  
zatoczyć większe koła, wciągnąć w swój zakres i te zjawiska,  
które rozmyślnie  
wykluczała.  
Słotnicki odłożył książkę. Miał na policzkach ceglaste  
rumieńce, a w oczach  
głębokie zamyślenie. Dzieło Wallace'a zajęło go, jak  
awanturnicza powieść  
starego Dumasa lub pogoń za zbrodniarzami Graboriau'a.

— W istocie! Nauka powinna rozszerzyć granice swoje —  
mówił do siebie. —  
Obracała się ona dotąd w kółku zbyt ciasnym i dlatego dała  
nam gorycz  
zwątpienia, zamiast słodczy świadomości. Lecz da li ona  
radę zjawiskom, o które  
sobie ludzkość rozbija daremnie niespokojną, głowę od lat  
tysięcy? Stanie-ż się  
to nareszcie?... Może... może... Audax Japeti genus, zaprawdę  
— powtórzył za



Horacyuszem i uśmiechnął się z zadowoleniem. — Byłby to wielki tryumf...

Pycha człowieka ucieszyła się w materyaliście i przyklasnęła marzeniom

okultystów.

— Niech próbują... zobaczymy — podszeptywała. —

Dlaczegożby tak być nie miało?

Raz zmoże ród Prometeuszowy tajemnicę, która go bez litości gnębi...

Słotnicki sięgnął po nową książkę, gdy do kancelaryi wszedł ktoś obcy.

Już chciał zawołać: "Proszę mi nie przeszkadzać!" — kiedy poznał Ostrobudzkiego.

— Sąsiad dziś podobno suszy? — odezwał się stary szlachcic.

— Bartniewicz aż

plącze, że się doskonały obiad na nic zmarnował. Czy pan nie słaby?

Słotnicki podniósł się z szeszlangu i przetarł sobie dobrze oczy, zanim podał

gościowi rękę na przywitanie. Był, jak odurzony.

— Zagrzałem w jakiejś bibule i zapomniałem po dawnemu o jedzeniu — odparł. — To

także pokarm!

— Od którego się nie tyje — mówił Ostrobudzki. —

Przyjechałem do sąsiada z interesem.

— Służę.

— Na Golejewku i na Chojnie był wczoraj pożar. Ogień zabrał trzem gospodarzom

cały dobytek. Byli dziś u mnie i prosili o jaką zapomogę.

Obiecałem im dać

ziarna na zasiew jesienny i pomyślałem sobie, że

może też sąsiad nie odmówi swojej łaski biedakom.  
Przydałoby się im trochę  
drzewa na odbudowanie chałup, a na Zalesiu znajdzie się  
jeszcze sporo porządnych  
sosen, którym już czas, żeby ludziom służyły.  
— Owszem, z największą przyjemnością — wyrzekł  
Słotnicki. — Powiem jeszcze dziś  
Chodackiemu, żeby kazał ściąć, ile będzie potrzeba. Bardzo  
dziękuję, że pan o  
mnie nie zapomniał. Proszę w każdej takiej potrzebie zawsze  
na mnie liczyć. A  
może dodać czego innego?  
— Na teraz dosyć. Resztę wyzebrzę u innych sąsiadów. Niech  
się każdy czerni  
przyczyni. Trudno, żeby jeden wszystko dawał — mówił  
Ostrobudzki, zajmując  
miejsce na fotelu. — Doskonale mi dziś sąsiad wygląda.  
Wniesiona przez lokaja lampa oświeciła ożywioną twarz  
Słotnickiego. Rumieńce nie  
zeszły jeszcze z jego twarzy, oczy nie przestały błyszczeć  
gorączkowo.  
Odmłodził o lat kilka.  
— Zajął mnie książka — odparł — a gdy człowieka coś  
zajmie, wtedy czuje się  
zadowolonym.  
— Pan Żagliński używa prawdopodobnie wiejskiego  
powietrza? — zapytał  
Ostrobudzki.  
— Mój towarzysz wyjechał na kilka dni do Warszawy.  
— Ale wróci do nas?  
— Będzie z powrotem we czwartek wieczorem.

— Przepraszam za ciekawość, ale nie zdarzyło mi się dotąd spotkać nigdzie z nazwiskiem pana Żaglińskiego, chociaż go pan kolegą nazywa.

— Kolegowaliśmy w szkołach i w uniwersytecie; on chodził na prawo, ja na filozofię. Był już przez jakiś czas pomocnikiem adwokata, sprykrzywszy sobie je-

dnakże monotonne zajęcie, przeszedł do prasy. Między nami weselej. Dziennikarz posiada tyle różnych przywilejów, że jeżeli ma usposobienie światowe, to może się bardzo dobrze bawić, a Żagliński lubi życie zmienne i wrażliwe. Że się pan z jego nazwiskiem nigdzie nie spotkał, nic w tem dziwnego, pod artykułami bowiem podpisują się zwykle tylko autorowie lub publicyści w szerszym stylu, tak zwani firmowi, Żagliński zaś jest dziennikarzem w ścisłym rozumieniu.

— To taki pan od złamanych mostków — zauważył szlachcic, śmiejąc się.

— Zbieraczów wiadomości brukowych nazywamy reporterami — objaśniał Słotnicki. —

To nie są właściwi dziennikarze, gdyż ci muszą posiadać wykształcenie ogólne i fachowe w pewnym kierunku, a oprócz tego rutynę pisarską, którą daje dłuższa

wprawa. Każda redakcja potrzebuje redaktorów  
poszczególnych działów,  
wypełniających daną rubrykę i kontrolujących dostarczane z  
zewnątrz wiadomości.  
Te pozycje zajmują dziennikarze z zawodu. Przerabiając  
materiał, zwykle cudzy,  
swojski, czy zagraniczny, nie produkują oryginalnie i dlatego  
nie cyfrują  
artykułów, ale oni to właśnie dostarczają państwu codziennej  
strawy umysłowej,  
chleba powszedniego, podczas kiedy my, autorowie i  
publicyści, przemawiamy tylko  
albo w felietonach, albo w tak zwanych artykułach wstępnych,  
czyli w sprawach  
zasadniczych.  
Ostrobudzki słuchał bardzo uważnie.  
— To znaczy — odezwał się, gdy Słotnicki skończył — że  
panowie jesteście  
paradyrami od święta, a oni końmi fornalskimi.  
— Coś w tym rodzaju... Dziennikarz nie potrzebuje być  
pisarzem utalentowanym,  
ale powinien wiedzieć

o wszystkim potroszę i władać językiem poprawnie.  
Żagliński, który jest obecnie  
redaktorem politycznym, posiada nadto przymiot w naszych  
czasach bardzo cenny,  
poszukiwany przez wydawców, rekrutujących się u nas  
przeważnie ze sfery  
kupieckiej. Jest to głowa niesłychanie sprytna...

— Widziałem to, widziałem — wtrącił Ostrobudzki. —  
Rzucić go na łeb, on spadnie  
zawsze na pazury.

— W istocie — mówił Słotnicki. — Patrzą na Żaglińskiego od  
lat wielu i nie  
spozregłem ani razu, żeby się chociaż raz dobrze potknął. Z  
każdego położenia  
wykręci się i radzi sobie zawsze doskonale.

— Nie troszcząc się oczywiście o wybór środków — mruknął  
Ostrobudzki.

— Wybór środków wyszedł dziś z mody. Subtelność uczuć i  
pojęć nazywa się obecnie  
przesądem, albo głupstwem. Robi się to, co wygodne, co  
prowadzi do celu.

— Coraz więcej takich sprytnych...

— Coraz więcej... Zamilkli obaj.

Zrozumieli się, chociaż należeli latami do innych pokoleń, a  
zajęciem do innych

warstw społecznych. Łączyła ich tylko staroświecka  
uczciwość, a ta wsteczniczka

zniosła między nimi wszystkie różnice. I stary ziemianin,  
wychowany w dawnych

tradycjach i młody publicysta, tych tradycyj przeciwnik,  
posmutnieli z tego

samego powodu.

— Tak... coraz więcej — powtórzył Słotnicki głosem cichym.  
Ostrobudzki podniósł nagle głowę.

— Czy wie sąsiad, co mi w tej chwili przyszło da głowy?

— Nie odgaduję, ale posłucham z przyjemnością.

— Pomyślałem sobie, iż byłoby szkoda, gdyby taki człowiek, jak pan, zeszedł z tego świata bezpotomnie. Szkoda każdego ojca, który może dać dzieciom uczciwe wychowanie.

Słotnicki uśmiechnął się.

— Chce mnie pan swatać? — wyrzekł.

Jak chłopczyk, pochwycony na kłamstwie, zarumienił się starzec i nie wiedział, gdzie podziąć twarz zawstydzoną.

— A dlaczego pan się nie ożenił? — zapytał Słotnicki.

— Miałem żonę i dziecko, a kiedy mi moje skarby Pan Bóg zabrał, nie chciałem już innej kobiecie ślubować.

— Przepraszam... Co do mnie, byłem zawsze tak zapracowany, że nie miałem nigdy czasu do zalotów prawidłowych. Nie wszyscy zresztą posiadają talent na dobrych mężów i ojców. Zdaniem mojem, nie powinien się człowiek publiczny krępować obowiązkami ogniska domowego. Dobra żona jest dopełnieniem mężczyzny, własne dziecko osłoda trudów, ponoszonych w walce o byt, nie przeczę, ale nie dla każdego. Gdy się ktoś poświęca literaturze, sztuce, albo nauce, powinien się im cały oddać. Wszelka praca umysłowa w szerszym stylu pochłania człowieka do tego stopnia, że ma już na nic innego czasu nie starczy, o czym wiem z własnego doświadczenia. Podczas mojego pobytu w Warszawie, byłem zawsze albo zmęczony,

albo też siedziałem przy biurku, aby się znów zmęczyć. Do  
naszego chłopca  
podobny, marzyłem o łóżku, jak o szczęściu najwyższym.  
Śliczny to mąż i ojciec,  
który zapomina nad książką o obiedzie, o kolacyi, o całym  
świecie. Drobnostki  
to, ale właśnie z takich drobnostek składa się życie rodzinne.  
Pozba-

wiając drugą istotę wolności, przykuwając ją do swoich  
losów, trzeba jej za to  
oddać siebie, do czego ma prawo najśluszniesze; w moich zaś  
marzeniach  
odgrywała kobieta zawsze rolę drugorzędną. Byłby ze mnie  
bardzo lichy mąż i  
ojciec i dlatego nie mam zamiaru zaszczycić kuli ziemskiej  
potomkami krwi  
Słotnickich. Oddam się teraz zupełnie nauce, którą  
zaniedbałem, straciwszy, jako  
publicysta, dużo czasu na gadaninę bezcelową.  
Szlachcic słuchał zdziwiony. Tej strony psychologii  
Słotnickiego nie rozumiał.  
Nie umiał się wcielić w duszę człowieka młodego,  
przystojnego, zamożnego, który  
mówił o małżeństwie, jak o czymś przykrem, zbytecznym.  
— Nie wierzę, żeby sąsiad tak naprawdę myślał — odezwał  
się.  
— Dlaczego, panie?  
— Dlatego, że miłość jest koniecznością pańskiego wieku.  
— Jak dla kogo. Mnie miłość, jako miłość, wcale nie pociąga,  
bo chociaż jej

systematycznie nie uprawiałem, znam ją mimo to ze stron różnych. Było się tu i owdzie, robiło się i widziało to i owo, jak wszyscy ludzie naszej epoki. Czary miłości znam potroszę i nie dostrzegam w nich nic takiego, coby mogło zachwycić naturę bogatszą. Małżeństwo zaś uważam jako instytucję bardzo rozumną, etyczną, niezbędną w społeczeństwach ucywilizowanych, ale sądzę jednocześnie, że się wojna obędzie bez jednego żołnierza. Co do mnie, przenoszę niezależność nad rozkosze ogniska domowego.

— Obmawia się sąsiad. Ręczę, żeby pan potrafił być mężem kochającym.

— To inna para mankietów. Złączywszy raz ze swojemi losy kobiety, możebym nawet dla niej dużo po-

święcił, płacąc sercem za serce, ale nie zmieniłoby to bynajmniej moich przekonań w tym względzie. Na tej ziemi robimy rzadko to, co sobie postanowimy.

Rządzą nami wypadki i okoliczności.

Teorye Słotnickiego nie sprawiały snąć stryjowi panny Zofii przyjemności, bo

spochmurniał, targając wąsy niecierpliwym ruchem ręki.

— Szkoda! — wyrzekł półgłosem.

— Dopieroby mnie pan żałował — odezwał się Słotnicki tonem żartobliwym — gdybym



musiał przed magnifika. uciekać z książkami w pole lub kryć się w olszynie.

Bywają, takie wypadki.

— Jeszcze się pan namyśli — mruknął Ostrobudzki.

— Może... Tylko niemądry jest zawsze pewny jutra. Gdybym się bardzo zakochał, możebym zapomniał o teoriach i teoryjkach. I takie wypadki bywały.

Mówili następnie aż do kolacyi o rzeczach obojętnych.

Jeszcze Ostrobudzki nie był za bramą, kiedy Słotnicki wrócił do gabinetu i

rzucił się chciwie na bibułę. Dowiadywał się od Jaccolliot'a tajemnic pagod indyjskich.

Jakże to wszystko było dziwne, nowe dla człowieka, wychowanego przez uczonych

pozytywnych. Cały ten świat, zakryty dla motłochu, świat samotnych mędrców,

myślących w podziemiach świątyń lub w leśnych pustelniach za tłum, szukających

zdala od wrzawy pospolitych zabiegów ludzkich praw, które rządzą stworzeniem

żywym i martwym, chowających z przezornością umysłów wytrawnych prawdy

ostateczne przed grubą ciekawością niewtajemniczonych — ten cały świat

nadgangesowy, owiany wonią lotosu i szumem świętych

rzek, przemawiał do jego wyobraźni, jak przepiękny poemat.

I oni, ci prawodawcy kołyski szczepu aryjskiego, ci dumni, zamknięci w granicach

cichych gajów, dla profanów nieprzystępni, kapłani Indyj — i oni mówili, jak Wallace, o nieznanym jeszcze dostatecznie siłach, z tą, tylko różnicą, że wiedzieli prawdopodobnie znacznie więcej od uczonych europejskich. Wszakże sztuki fakirów, tak niezrozumiałe, niepojęte dla naszych mechaników, chemików i fizyków, są rzeczywistością, bo potwierdza je świadectwo wiarogodnych obserwatorów...  
Więc jest coś, czem się braminowie do swoich celów posługują, a czego nauka niezawisła dotąd nie odkryła? Jest, musi być...  
Z tem radosnem dla niego przekonaniem położył się Słotnicki do łóżka, pokonany nad ranem przez wyczerpanie fizyczne.  
Gdy Żagliński wrócił we czwartek wieczorem z Warszawy, zastał kolegę nad powieścią Huysmansa, p. t. „La Bas.”  
— Warszawa głupiej naprawdę na punkcie wirujących stolików i gadających ekierek — mówił Żagliński zaraz po przywitaniu. — Wystaw sobie, co mnie spotkało. Załatwiwszy się ze sprawunkami i z literaturą lichwiarską, jadę do Olki, wiesz, tej z „Rozmaitości.” Lubię ją, bo umie pieprzno, bez zbytecznej tłuściości, gadać i ma zawsze w domu wyborne trunki. Przyjemnie wypić u ładnej i sprytnej kobiety dobry kieliszek wina. Otóż, wołam na dryndziarza: „Hoża!” — a

ta mała zęby tylko pokazał, tak się roześmiał i wali prosto przed jej dom. Musi sporo gości do niej wozic. Wchodzę do Olki i zastaję — kogo? Istny sejm histryonów. I ten i ten i ten. I co robią? Gruby Władek, ten zaciekły materyalista,

znasz go przecie, bo bazgrze czasami po gazetach, stoi nad stolikiem, z miną uroczystą, trzyma ogromne łapy na pierścieniu, prowadzi go po dużym arkuszu, zasmarowanym wszystkimi literami alfabetu i rozmawia w najlepsze, no — zgadnij z kim? Z duchem jakiegoś księcia, o którym nawet nigdy nie słyszał. A galerya stoi wokoło i gapi się i kiwa głowami, i odzywa się szeptem. Trzeba było widzieć minę Władka, jak celebrował! Powiadam ci, niczem rabin z Kocka, kiedy Izrael wyroczni jego z pokorą, słucha. Powaryowali, powaryowali, jak babcię kocham! Mówię tedy do owego histryona: Zapytaj się o mnie swojego księcia. On kładzie paluch na sygnecie i woła głosem grobowym: „Mamy nowego gościa; co nam o nim powiesz, duchu z dalekich światów?” Sygnet rusza się, palec jedzie za nim po literach i wiesz, co mi książę zagrobowy powiedział? Pęknać ze śmiechu. „Dureń

jesteś — wypisał — idź do diabła!" I cóż ty na to, chłopie?  
Prawda, że  
powaryowali? Już widzę, że trzeba będzie pójść między  
okultysty. Nie będzie  
innej rady.

Słotnicki milczał.

— O czymże tak medytujesz? — zapytał Żagliński. — Czybyś  
i ty?... Ale o tem,

potem. Każ podać kolację, bo ledwie zipię. Ci knajpiści  
warszawscy trują ludzi w

jasny dzień. Widzę to dopiero teraz po twojej kuchni  
wiejskiej. Podali mi gdzieś

kaczkę tak twardą, żem sobie zęba mądrości nadłamał. A  
majonez z homara, to tak

pachniał, jak gdyby go w trupiarni trzymali. W wiekach  
średnich mieli rację, że

fałszerzy trunków i pokarmów zakopywali żywcem do ziemi.

Do późnej nocy opowiadał Żagliński tego dnia koledze plotki  
warszawskie.

Słotnicki słuchał jednym uchem, a wypuszczał drugim, nie  
ciekawym skandalów,

skandalików i drobnych komerażów. Zajęty okultyzmem,  
ucieszył się wielce, gdy mu

gość nazajutrz od samego rana oświadczył, że uda się do  
olszynki, by

"przygotować szopkę dla tych uczonych srok z Ostrobudek."

Przez cały piątek i pół soboty krzątał się dziennikarz po za  
domem, wzięwszy

sobie do pomocy lokaja i kucharza. Służył mu gorliwie  
głównie Bartniewicz, który

nazywał znawcę wytworów sztuki kulinarnej „swoim panem”  
i cieszył się zawsze na  
ranną, dyspozycję obiadu.

— Z takim to warto gadać — opowiadał Pytlasińskiej, z którą  
się już pogodził. —

Taki rozumie się na rzeczy i umie uczcić porządnego  
człowieka.

Gdy się panowie udali w sobotę, pod wieczór, do olszynki, nie  
zastali jeszcze na  
miejscu nikogo z Ostrobudek.

— Jesteś bardzo pomysłowy — odezwał się Słotnicki,  
oglądając dzieło kolegi.

Wybrawszy małą, suchą polankę, z widokiem otwartym na  
łąki, otoczoną gęstym

wieńcem sędziwych sosen i olch, kazał Żagliński  
porozwieszać na drzewach

latarnie z papieru kolorowego, na środku polanki zbudował  
rodzaj szałas z

gałęzi, a przed tym improwizowanym domkiem rozesał  
kobierzec i ustawił kilka

foteli. Nad szałasem, zaczepiona na dwóch wysokich drągach,  
chwiała się długa

girlanda z liści, a ze środka jej zwieszała się tablica z trzema  
dużymi

literami: O. I. Z.

— A to co takiego? — zapytał Słotnicki.

— Olimpia, Iza, Zofia, imiona pań z Ostrobudek —  
odpowiedział Żagliński.

— Napracowałeś się...

— Zabawiłem się. Największą biedę miałem z ogrodnikiem.

Cymbał, nie potrafi

złożyć kwiatów w litery.

— O trunkach pamiętałeś oczywiście?

— Rozumie się. Może nawet nie wiesz, że masz w piwnicy szampana. Wziąłem trzy butelki, trochę ciast, owoców i samowar. Wystarczy. O kilkanaście kroków od szałasów wznosił się stos z suchych liści i drzewa.

— A to na co? — zapytał Słotnicki.

— Gdy wieczór zapadnie, rozpalimy ognisko. Kiedy ma być sielanka, niech będzie sielanka — objaśniał Żagliński.

Nie czekali długo.

Wkrótce po ich przybyciu odezwał się w lasku szebiot niewieści i ukazały się

panie, prowadzące za sobą lokaja, objuczonego koszami. Żagliński skoczył do Ostrobudzkiej i ucałował jej ręce tak serdecznie, jak gdyby ją znał od lat wielu. I ona uśmiechnęła się do niego bardzo życzliwie.

Wstąpiwszy na polankę, spostrzegła pani Olimpia odrazu lampiony, wieńce i litery.

— Bardzo pan uprzejmy — wyrzekła, zwracając się do Słotnickiego — ale na co się pan trudił. Na wsi bywa trawnik najlepszym kobiercem.

— Olszynka jest trochę wilgotna — mówił Słotnicki — i dlatego postąpił sobie

Żagliński bardzo przezornie, broniąc pań przed katarem. Bo to on obmyślił

wszystko i jeździł nawet do Warszawy po różne drobiazgi.

Trzy pary ocz wdzięcznych zwróciły się na Żaglińskiego.

Twarz pani Olimpii

promieniała.

— Pan? — wyrzekła głosem, który miał być słodkim, a skrzypiał, jak zużyta struna skrzypcowa. — Jaki pan dobry! Zaprawdę, nie wiem, czem zasłużyliśmy na tyle względów.

— Jest to zaledwie milionowa częśćka tego, cobym chciał dla pań uczynić, gdybym był w możności i w prawie — odpowiedział Żagliński. — Pamiętając o paniach, odpłacam się tylko za przyjemność, jakiej doznaję w towarzystwie dam tak rozumnych i światłych.

Mówiąc to, umiał rzucić i matce i córce tak znaczące spojrzenia, że każda z nich mogła odnieść jego słowa do siebie.

Grube pochlebstwo, podane grubą łyżką, poskutkowało natychmiast. Panie podziękowały mu przyjaznymi uśmiechami.

— Pan naprawdę bardzo dobry! — szepnęła pani Olimpia. — Zochno, zacznij-no gospodarować — zwróciła się do córki.

Zofia pochyliła się nad jednym z koszów i wydobywała z niego różne wiktuały.

— Pani pozwoli, że pomogę — wyrzekł Żagliński.

— Czy się pan i takimi rzeczami zajmuje? — zapytała panna.

— Dziennikarz musi wszystko umieć.

Wśród śmiechów i dowcipnych uwag rozstawił Żagliński na kobiercu szereg

filizanek, szklanek, kieliszków, spodków, a następnie zbliżył się do samowaru i dmuchał w niego, naprzemian z Bartniewiczem. Gdy się zaczęło kurzyć z komina, kazał otworzyć szampankę i ponalewać lampki. Biorąc jedną z nich, stanął przed szaląsem i zawołał głośno:  
— Pochylcie sędziwe głowy, o wy olchy i sosny, coście już dużo w życiu swoim widziały! Pochylcie zrudziałe skronie, niemi świadkowie potęgi człowieka, bo oto stoicie przed pionierkami nowych idących czasów, przed niewiastami, które zrozumiały, że i płci, zwanej dotąd słabą, przysługują pełne prawa ludzkie.  
Ukorz-

cie się, starcy w pośród drzew, albowiem takiego widowiska nie oglądały jeszcze oczy wasze! A zwróciwszy się do pań, dodał:  
— Pozwalam sobie wypić nie na zdrowie, lecz na cześć naszych dostojnych gości!  
Wysączył lampkę do dna i przewrócił ją, dotykając rąbkiem paznogcia, aby pokazać, że nie zostawił ani kropelki.  
— Szczerze piłem! — mówił.  
— Któżby śmiał wątpić? — wyrzekła pani Olimpia głosem wzruszonym. — Wierzymy w szczerłość pańskich dla nas uczuć.  
Żagliński pochylił głowę, przykładając rękę do serca.



Spoczęli wszyscy na fotelach, ustawionych wkoło. Lokaj Słotnickiego obnosił wina, owoce i ciasta, a kucharz przygotowywał herbatę. — Potracił pan słusznie o potęgę człowieka — odezwała się po chwili pani Olimpia. — Gdy się wie, co człowiek z siebie zrobił, podziwia się jego dzielność i wytrwałość. Ostatnie zwłaszcza czasy pchnęły historię cywilizacji o kilka wieków naprzód. Jakież to genialny pomysł ta ewolucja, ciągły rozwój. Ciągły rozwój, rozwój, rozwój... Taki napozór prosty, a tyle tysięcy lat trzeba było na niego czekać. Zofia, siedząca obok matki, oderwała od gałęzi, tworzących szalasa, jakiś listek i podniosła go do góry. — Oto prawdopodobnie pierwszy zawiązek motyla — odezwała się. — Ewolucja tłumaczy wszystko. — Bezwątpienia, ona tłumaczy wszystko — potwierdził Żagliński tonem przekonanym.

Towarzystwo zachwycało się przez kilka minut ewolucją, przytaczając różne frazesy uczonych pozytywnych. Jeden tylko Słotnicki nie brał udziału w rozmowie. Spoczywając na pniu ściętej olchy, sterczącej przed szalaszem, przysłuchiwał się uczonej paplaninie z

obojętnością człowieka, dla którego różne teorie  
materiałistyczne przestały być  
dawno nowością. Uszy jego chwytały za ledwie dziesiątą część  
tego, co naokoło  
niego mówiono. Był w tej chwili daleko, bo w świętych  
gajach Indyj, rozmawiał z  
innymi mędrkami, bo z filozofami pagód nadgangesowych.  
Przeto podniósł zdziwiony  
głowę, gdy go panna Ostrobudzka wprost zagadnęła:  
— Wszakże prawda, że ewolucja tłumaczy wszystko? —  
zapytała.  
— Wszystko? Ewolucja? — powtórzył nieprzytomnie,  
wracając powoli z zamorskiej  
wycieczki.  
— Jeżeli nie szczegóły, to przynajmniej ogólny zarys  
stworzenia — poprawiła pani  
Olimpia.  
Słotnicki wiedział już, o czym rozprawiano.  
— Zdaniem moim — odparł — nie objaśnia ewolucja nic.  
To hipoteza, jak wiele  
innych, o której się już dziś nie mówi.  
Odpowiedź jego zdziwiła towarzystwo do tego stopnia, że  
odebrała mu na kilka  
chwil mowę.  
— Ależ Darwin, Spencer? — zawołała po jakimś czasie pani  
Olimpia.  
— I Tales, Anaksagoras, Demokryt, Arystoteles i wielu, wielu  
innych byli swojego  
czasu powagami, a któż wierzy dziś w ich domysły?  
Wchodzimy obecnie na nowe  
tory. Ewolucjonizm, w rozumieniu pozytywistów, nie  
przekonywa już nikogo.

— A jednak wierzy cały świat, jak my — odezwała się Zofia.

— O, cały świat spóźnia się zawsze o lat kilkanaście za  
myślicielami z talentu i  
zawodu.

Słowa Słotnickiego były w rozumieniu towarzyskiem  
niegrzecznością. Wiedział o  
tem, lecz nie stłumił ich, sprzykrzył sobie bowiem gadaninę  
dyletantek  
naukowych.

— Pani twierdzi — mówił, zwracając się do Zofii — że  
ewolucya objaśnia wszystko.

Otóż proszę mi za jej pomocą wyjaśnić tajemnicę tej roślinki.  
Schylił się i uszczknął jakieś zielsko.

— Tajemnica to bardzo prosta — odpowiedziała panna bez  
namysłu. — W ziemi  
znajduje się ziarno tej roślinki, ziarno pęka, wydaje z siebie  
kiełek, kiełek  
rozwija się w trawkę i tam dalej...

— I tam dalej... A zkadże się ziarno nauczyło takiej sztuki?

— Dzieje się to bez jego wiedzy i woli. W ziemi i w samym  
ziarnie spoczywają  
siły, które działają same przez się.

— Same przez się... Więc te siły pracują, bo nie mogą inaczej?

— Bezwątpienia... Jest to ich własność.

— Ich własność... A ta własność zkad się wzięła?

— O, trzeba przyjąć koniecznie jakieś zasady ogólne.

— Przepraszam panią. Nauka niema prawa przyjmowania  
jakichś nieudowodnionych  
przesłanek, Rzeczą jej szukać jądra każdej rzeczy, a gdy do  
tego jądra na jednej

drodze dotrzeć nie może, powinna zmienić metodę, zamiast upierać się przy formułkach, które nic nie wyjaśniają.

— Najlepiej w takim razie wrócić do Boga motłochu — odezwała się pani Olimpia, przewracając, zwyczajem kobiet, kota w worku. Nielogiczną tę odpowiedź, nie pozostającą w żadnym związku ze słowami Słotnickiego, podkreśliła drwiącym uśmiechem, przeto zdziwiła się niepomiernie, kiedy publicysta odparł:  
— Słowa Bóg nie wymieniłem dotąd, ale uczyniłbym to niezawodnie, gdybym stracił nadzieję rozwiązania zagadki życia na innej drodze. Nie ma nic naturalniejszego nad to, że człowiek, który przywykł widzieć wszędzie jakiegoś twórcę, podkłada pod zjawiska i dzieła, przechodzące jego rozum i możliwość, kogoś mocniejszego i zdolniejszego od siebie. Proszę sobie wystawić stół, krzesło bez stolarza — but, trzewik, bez szewca — dom, stodołę, owczarnię bez budowniczego — zegar bez zegarmistrza i t. d. Rzecz szczególna, że istota myśląca, nieumiejąca sobie takich błahych rzeczy wyobrazić bez ich początkodawcy, ośmiela się tłumaczyć architektonikę świata za pomocą przypadku. Nie wiadomo, czemu się tu więcej

dziwić, czy nielogiczności materialistów, czy też ich pysze.  
Nie wymieniłem  
dotąd terminu Bóg, ale zdaniem mojem, odpowiada pojęcie to  
daleko więcej  
właściwościom i środkom poznawania ludzkiego, aniżeli  
dziecinne hipotezy  
ateizmu, zbudowane na piasku jakichś sił, istniejących bez  
rozumnej przyczyny.  
Panie milczały, wymieniając z Żaglińskim spojrzenia  
szyderskie. Zajęte dysputą,  
nie spostrzegły, że Bartniewicz z lokajami pozapalali już  
wszystkie latarnie,  
rozwieszane na drzewach. Równocześnie zapłonęły sosny i  
olchy w blaskach  
czerwonych ogni bengalskich.

— Ależ to prześliczne! — zawołała pani Olimpia. — Polanka  
robi wrażenie obozu  
cyganów.

— Rzeczywiście, ładny obrazek! — szepnął Słotnicki.  
Patrzył przed siebie w krwawą, łunę, w której dalsze drzewa  
przybierały postacie  
fantastyczne i uśmiechał się do tajemniczości otoczenia.  
Skupiony w sobie, cichy, nie zauważył, że dwoje oczu  
młodych ogarniało jego  
postać spojrzeniem zdziwionem. Po raz drugi spostrzegła  
Zofia na jego obliczu  
coś takiego, co ją pociągało. W jej jasnych źrenicach  
pomieszała się bojaźń z  
tęsknotą, strach przed czemś nieznanem z pragnieniem.

Słotnicki zwrócił teraz głowę w jej stronę. Ona zarumieniła się i odeszła na

drugi koniec polanki.

Był ktoś, którego bystremu oku nie uszła nagła zmiana w usposobieniu dziewczyny.

Żagliński to śledził ją z oddalenia.

— Trzeba się pospieszyć! — mruknął, rzucając koledze spojrzenie niechętne.

W tej chwili zbliżyła się do niego pani Olimpia.

— Nie wiem, jak panu dziękować za tyle uprzejmości? — odezwała się, wyciągając do niego rękę.

On obejrzał się, czy kto na nich nie patrzy, a przekonawszy się, że jakaś raca,

puszczona przez Bartniewicza, zajęła uwagę całego towarzystwa, podniósł rękę

pani Ostrobudzkiej do ust i ucałował ją namiętnie.

— Kwiaty chciałbym słać pod stopy pani przez całe życie — mówił głosem

stłumionym. — Czymże cała mądrość świata w porównaniu z jednym szeptem ust uwielbionych!...

Puścił palce bakalarki zurychskiej i odszedł w stronę służby, a ona stała w

miejscu przez kilka chwil, za-

rumieniona, jak panienka. Gdy się ruszyła, westchnęła głęboko.

Żagliński, porozumiewszy się z kucharzem, stanął na skraju polanki i zaczął

rzucać po nad łąkę kule ogniste. Race szły w górę, zataczając krzywą, świetlistą linię; przez kilka sekund wisiały w powietrzu nieruchome, potem pękały z hukiem, rozsypując się w potok iskier, które gasły, zanim doszły do ziemi.

— Tak błyszczą i przepadają wszystkie systematy naukowe — mówił Żagliński do

Zofii, która stała obok fajerwerków. — Wiecznie trwa tylko jedna rzecz, stara,

pospolita, a zawsze piękna. Jest nią miłość!

Druga bakalarka zurychska spojrzała zdumiona na dziennikarza, ale nie zaprzeczyła.

— Słowo to zawiera w sobie cały hymn istnienia, całą tajemnicę bytu. Kto nie kocha, ten nie żyje — mówił Żagliński. — Miłość jest najwyższą siłą i rozkoszą kobiety.

— Cyganka, cyganka! — zawołała w tej chwili pani Iłowska.

— Cyganka! Gdzie cyganka?

Na skraju polanki, na drodze leśnej, ukazała się młoda kobieta, ubrana w

jaskrawe Łachmany, z dzieckiem, umieszczonem w płachcie na plecach. Gdy

zdziwiona widokiem mnóstwa ludzi i buchającego ogniska, przystanęła, otoczyło ją całe towarzystwo.

— Ty cyganka? — zapytał Żagliński.

— Cyganka, proszę panoczka, prawdziwa cyganka — odpowiedziała kobieta.

— A z kąd się tu wzięłaś?

— To pewno z tej bandy, co przyciągnęła wczoraj od Gostkowa i rozłożyła się pod miastem — odezwał się

kucharz. — Włóczy się to psiarstwo po wsiach i patrzy tylko, gdzieby co schwycić.

— Niech wielmożni państwo nie wierzą — broniła się przybłęda. — Gdzieby tam cyganka brała co nieswojego? Chodzi się po chałupach, tu się powróży, tam się co poradzi i spadnie jakiś grosik. Wielmożnej panience, toby warto powróżyć —

mówiła, mrugając na Zofię. — Widzę z grzecznego liczka, że same dobroci wypadną.

Panie spojrzwały po sobie. Oczy ich mówiły, iż miały ochotę zastukać do bram przyszłości, ale obawiały się i wstydziły czegoś.

— Idźcie do chłopów ze swojemi sztukami — odezwała się pani Olimpia.

— Dlaczego, pani? — zawołał Żagliński — Paplanina tej kobiety zabawi nas z pewnością. Cyganki wyrażają się tak charakterystycznie. Nie należy omijać żadnej sposobności, gdy można z bogacić skarbnicę żywych obserwacyj. To studyum, jak każde inne.

— Jeżeli się pan z tego stanowiska zapatruje...

— Rozumie się, że tylko z tego. Nikt z nas nie będzie oczywiście przywiązywał do



jej gadaniny wartości. Będzie to poprostu obrazek, szkic,  
temat do jakiejś  
nowelki lub coś w tym guście.

— W takim razie...

Żagliński, ciągnąc za sobą cygankę przed ognisko, wsunął jej  
za kaftan banknot.

Włóczęga uśmiechnęła się do niego chytrze, złożyła dziecko  
na trawie i zaczęła  
coś półgłosem mamrotać.

Wieńcem otoczyło ją całe towarzystwo. Panie przyklekły,  
panowie stali.

— Cyganka powie wielmożnej pani samą prawdę, co tu stoi  
na liniach — mówiła  
cudzoziemka, rozpatrując się w dłoni pani Olimpii, która  
podała jej pierwsza rękę-

kę. — O, o, widzę na liniach śmierć, nie wielmożnej pani, ale  
jakby pana męża.

Niema go już, nie ma, poszedł nieboraczek na mogiłki, ostały  
na świecie sieroty.

Dobry to był pan, lepszy będzie ten, co przyjdzie. Przyjdzie  
nowy gospodarz do  
chaty, przyjdą kwiaty i wesele, wszystkiego szczęścia wielka  
obfitość.

Już po pierwszych słowach cyganki znikł z ust pani Olimpii  
uśmiech sceptyczny.

Pochyliwszy głowę, słuchała uważnie, z powstrzymanym  
oddechem.

Cyganka mówiła szybko, nie łącząc z sobą poszczególnych  
zwrotów w całość

zaokrągloną. Słowa wypadały z jej ust jednostajne, miarowe,  
jak głuchy łoskot  
pytła. Wróżąc, omijała szczegóły, ograniczając się na  
ogólnikach. Przepowiednie  
dobrych rzeczy przeplotła tu i owdzie czemś przykrem.  
— Wielmożnej panience to same szczęśliwości patrzą z  
gładkiego liczka —  
wyrzekła, biorąc rękę. — O, o, same szczęśliwości; widzę,  
stoi przy panience  
ładny panicz (Żagliński dotknął w tej chwili końcem buta  
stopy cyganki) i drugi  
stoi, obydwaj stoją, każdyby chciał, ten pierwszy lepszy;  
czarniawy na gębie, na  
głowie, jak kruk, wąsiki też czarne, dobry, szczęśliwy;  
panienkę czeka wielkie  
szczęście w miłości, ale ten pierwszy, czarny, najlepszy.  
Mówiła dalej o bogactwach, o zabawach, gościach, listach,  
powtórzyła, słowem,  
wszystkie zwykłe wróżby cygańskie, zacierając zrećźnie jedną  
złą przepowiednię  
obfitością dobrych.  
Wyznawczynie doktryn materialistycznych i ateistycznych  
słuchały jej gadaniny w  
takim skupieniu, jak gdyby piły z ust niezwykłego mędrca  
prawdy głębokie. Co  
miało być zabawką, eksperymentem bez znaczenia, stało się  
poważnym zajęciem.

Ze zdziwieniem śledził Słotnicki grę fizyognomij, zmieniającą  
stopniowo twarze

wychowanek zurychskiego uniwersytetu. Kiedy wyciągały  
ręce, błdził na ich  
ustach uśmiech ironiczny. Ale uśmiech ten zniknął już po  
pierwszych słowach  
cyganki, rozplýwał się powoli, aż utonął zupełnie w wyrazie  
natężonej  
ciekawości. W miarę, jak gromadziły się uwagi, odnoszące się  
do ich przeszłości,  
rosło zdumienie słuchaczek. Rzuciły sobie spojrzenia  
porozumiewawcze, jakby  
strwożone, mówiące: Prawda, prawda!...  
Kiedy cyganka zaczęła odsuwać zasłonę przyszłości, plotąc  
bez ładu, nawracając,  
poprawiając się, gdy spostrzegła, że nie mówiła tego, czego  
się od niej  
spodziewano, ściagały się w oczach pań Ostrobudzkich  
odblaski to lęku, to  
radości.  
Słotnicki zrozumiał, że kobiety, które wpatrują się z taką  
uległością we  
wróżbitkę, wierzą lub chcą w jej przepowiednie wierzyć i  
szukał powodu tego  
szczególnego zjawiska psychologicznego. Przed chwilą  
wyrażały się o Bogu, jak o  
czemś, z czym się tylko motłoch powinien liczyć; twierdziły,  
że prawo ewolucji  
tłómaczy wszystko; że nie ma nic po za faktami,  
podlegającymi obserwacji  
bezwzględnej; że cały, słowem, świat tęsknot, przeczuć i  
niepokojów ludzkich  
jest wytworem chorej wyobraźni, albo chorych nerwów; z  
szyderstwem spoglądały na  
niego, gdy pozwolił sobie nie podzielać ich zdania, a teraz...

Oblane czerwonym płomieniem ogniska, skupione, milczące,  
chwytały chciwie  
pospolite słowa nieznajomej włóczęgi. Jakaż różnica  
zachodziła między temi  
wytwornemi, oświeconemi damami, a pierwszą lepszą kobietą  
z ludu, która,  
słuchając wieczorem zimowym opo-

wiadań o duchach i strachach, ogląda się z obawą wokoło?  
Gdy tak stał i patrzył, rodziła się pod czaszką Słotnickiego  
myśl, którejby  
nigdy w swoim mózgu nie przypuszczał. Zaczął rozumieć, że  
pragnienie cudowności  
jest tak samo potrzebą człowieka, jak żądza prawdy. Bo cóż  
innego pociągało i  
jego w dziełach okultystów, tak odmiennych od badań, z  
którymi przepędził całą  
młodość? Wabiło go, czarowało coś, co przeczuwał w  
chwilach wielkiego  
wyczerpania umysłowego, w ciszy nocnej i w samotni  
wiejskiej, a czego żaden  
fizyk, ani chemik nie potrafił dotąd ująć za pomocą  
przyrządów naukowych. Więc  
jest w człowieku jakiś łącznik między światem, dostępnym dla  
zmysłów a tak  
zwanym nadprzyrodzonym? Jest! Należy go tylko odszukać i  
nawiązać właściwie.  
— A wielmożnemu panu może też powróżyć? — zapytała  
cyganka, zwracając się do  
Słotnickiego.  
— Dziękuję — odparł. — Nie jestem ciekawy przyszłości.

— To może wielmożnemu panu lubczyku? Mam bardzo dobry lubczyk.

Słotnicki podał cygance drobną monetę na odczepne.

Podniosła się z kolan, zabrała dziecko i odeszła wolno drogą leśną.

Teraz dopiero oprzytomniały panie.

— Dałyśmy panom zabawne widowisko — odezwała się pani Olimpia. — A jednak nie

mogę zaprzeczyć, że ta oszustka powiedziała mi z przeszłości dużo rzeczy

prawdziwych.

— I mnie także — wyrzekł Żagliński.

— I mnie, i mnie — wtórowały Zofia z panią Iłowską.

— Co do przeszłości pań — tłumaczył Słotnicki — to mogła się ona kilku

szczegółów dowiedzieć w okolicy. Przypuszczam nawet, że przybyła rozmyślnie na

polankę, chociaż udawała zdziwioną, gdy nas ujrzała. Co zaś do przyszłości,

mówiła same tylko ogólniki bez wartości.

— Rozumie się, że to jedyne właściwe objaśnienie jej gadaniny -szepnęła pani

Olimpia.

Mimo to spojrzała na Słotnickiego niechętnie, jakby z żalem, że jej zabiera coś

drogiego.

Domyślił się przyczyn jej rozczarowania Żagliński, więc pospieszył ze

sprostowaniem.

— Nie przeczę, iż twoja dyagnoza może się zgadzać z prawdą  
— wtrącił — ale  
stanowczo tego twierdzić nie wolno. Wiadomo, że  
chiromancya była kiedyś nauką  
bardzo poważną, że się wróżby spełniały.  
Mówiąc to, utkwiał w twarzy Zofii wzrok tak przenikliwy, że  
dziewczyna nie mogła  
znieść jego siły. Pochyliła głowę, zwyciężona.  
Kiedy się turkot wolantu oddalił, rzucił się Żagliński na fotel i  
śmiał się, jak  
opętany.  
— A tobie co się stało? — zapytał Słotnicki.  
— Bawię się, jak nigdy! Ależ to farsa, zrobiona przez majstra  
paryskiego. Te  
mądre gęsi, wpatrzone z nabożeństwem w odrapaną, brudną  
cyganicę, to zaprawdę  
scena, godna pióra humorysty.  
— Albo tragika — mruknął Słotnicki.  
— Jak kto lubi i woli. Ja wolę zabawę i dlatego szukam  
wszędzie strony  
komicznej.

## VI.

Na dziedziniec wolski wjeżdżały wozy drabiniaste, znosząc do  
stodół pierwszy  
obfity plon tegoroczny. Szły wolno, jeden za drugim, uginając  
się pod ciężarem  
snopów żytnich.  
Przed bramą stał Ostrobudzki i przypatrywał się owocom  
swoich pól z

zadowoleniem.

— To już pięćdziesiąty — wyrzekł. — Dociągniemy do sześćdziesięciu.

— Chciałbym — odparł Woralski. — Popędzam ludzi, bo zanosi się jakby na deszcz.

Spojrzeli obaj na niebo, dziedzić i ekonom, badając uważnie jego skraj zachodni.

— Słońce zachodzi krwawo — mruknął Ostrobudzki. — Ale może się jeszcze przetrze.

— Dałby Pan Jezus. Ludzi do roboty latoś mniej, a żniwo większe.

— A na Ostrobudkach jakże? Owsy i jęczmiona będą, zdaje się, doskonałe, ale żyto nie bardzo. Coś je podcięło na samą wiosnę.

— Mieliśmy kwiecień zanadto wilgotny na nasze mokre grunta.

Zamilkli.

Na drodze rozległ się w tej chwili głuchy tętent. Ostrobudzki podniósł rękę do czoła, zasłaniając oczy przed jaskrawym światłem gasnącego słońca.

— Zochna! — wyrzekł i uśmiechnął się życzliwie.

Na szarym piasku ulicy zarysowała się w oddaleniu czarna sylwetka amazonki.

Zbliżała się szybko, pędząc dobrym kłusem, a kiedy się zrównała z bramą,

osadziła wierzchowca na miejscu.

— Brawo! — zawołał stryj, pomagając synowicy zsiąść z konia. — Walisz, jak

huzar! Bartek! — zawołał.

Z podwórza nadbiegł chłopiec stajenny i odebrał konia.  
Wziąwszy dziewczynę pod ramię, poszedł z nią Ostrobudzki  
w stronę dworu. Gdy  
spoczęli na ławce pod werendą, zapytał:  
— Z interese, czy z wizytą?  
— Wstydę się przyznać, ale z interese — odpowiedziała  
panna.  
— Więc gadaj odrazu.  
— Chciałam się stryjka poradzić, jak się urządzić podczas  
żniw z wypłatą ludzi.  
Czy dawać im kwitki, czy też gotówkę.  
— Jeżeli masz dostateczną ilość drobnej monety, to lepiej zaraz  
płacić. Dopóki  
pieniądze są w biurku, zdaje się nam, że to nasze. Jakże sobie  
radzisz z  
prowadzeniem kasy?  
— Jak dotąd, bardzo dobrze. Nie sztuka płacić, gdy jest czem.  
— A nie nudzi się panience robota?  
— Coś robić trzeba, stryjku.  
— Mogłabyś łapać żaby. Tyle ich w naszych stronach. I pająki  
są i pasikoniki i  
przeróżne inne robactwo.

Panna zamilkła, opuściwszy głowę.  
— Sprzykrzyły się studia, he? — zapytał stryj.  
— O, nie, nie sprzykrzą, się nigdy — odpowiedziała synowica  
żywo — ale...  
— Ale trudno żyć tylko nauką, co? Człowiek nie jest  
mikroskopem, czy aparatem  
elektrycznym. Prawda?



Zofia patrzyła w ziemię, uderzając szpicróżgą o koniec lakierowanego bucika.

— Rozrywek wam chyba w Ostrobudkach nie braknie — mówił stryj. — Ta zielona

małpa, Żagliński, umie damy bawić. Czy siedzi jeszcze w Zalesiu? Miał zostać

kilka dni, a minął już miesiąc, jak przyjechał.

— Pan Żagliński chciał w przeszłym tygodniu wracać do Warszawy — odparła

synowica — ale go mama tak serdecznie prosiła, że odłożył wyjazd na tydzień.

— A ty?

— A ja?... Nie rozumiem, o czym stryjek mówi.

— Chciałbym wiedzieć, czy go i ty prosiłaś, aby został?

— Byłaby to prosta grzeczność...

— Nie wykręcaj się po kobiecemu; odpowiadaj wprost na pytanie.

Zofia odwróciła głowę w stronę przeciwną.

— Trudno odmówić panu Żaglińskiemu wykształcenia, zdolności i niezwyklej

łatwości towarzyskiej — mówiła, bawiąc się szpicróżgą. —

Jest on na wsi

niewątpliwie bardzo cennym nabytkiem.

— Ciągłe się wykręcasz, a mnie nie o to idzie.

— Nie rozumiem stryjka.

— Rozumiesz ty mnie doskonale, ale nie byłabyś córką Ewy, gdybyś nie używała

fortelów. Patrz mi prosto w oczy — wyrzekł Ostrobudzki, chwytając synowicę za

brodę. — Tak, teraz mów. Czy i ty pragniesz, aby

ten wyszczekany warszawiak bawił dłużej w naszych stronach?

Panna zarumieniła się pod same włosy.

— Bo stryj taki... — szepnęła.

— Ciekawy, chcesz powiedzieć. Nie przez zwykłą ciekawość pyta stryj, który kocha gorąco synowicę. Powinnaś to zrozumieć. Chcę wiedzieć, czy ci ten Żagliński nie zaszedł tu... (dotknął ręką lewej piersi dziewczyny), czy cię nie otumanił, jak twoją matkę?

— Stryjek wie, że nie podzielam w tym względzie zapatrywań moich rówieśnic —  
odpowiedziała dziewczyna.

— Pamiętam doskonale naszą pierwszą rozmowę, ale jestem zanadto stary, abym wierzył w zasady, wygłaszane na okaz. Twoje żaby i karaluchy nie wzięły ci lat dwudziestu, ciepłego serduszka, gorącej krwi młodości i wszystkiego tego, co z tych źródeł płynie. Człowiek jest nasamprzód człowiekiem, a dopiero potem uczonym, żołnierzem, rzemieślnikiem i t. d. Synowica przytuliła główkę do piersi stryja i westchnęła zcicha.

— A widzisz — mówił starzec głosem miękkim, pieszcząc jasne włosy dziewczyny. —

Jest jedna umiejętność, której nie dają żadne szkoły, którą trzeba okupić zawodami, rozpaczą często. Znajomość życia i ludzi trzeba przeżyć, przeboleć. Ty

nie proś tego fircyka, aby został dłużej w naszych stronach, to  
człowiek

niedobry, wierz mi. Omijaj go, nie ufaj jego słodkim słowom.

— Ja go się boję, stryжку! — szepnęła panna.

— Bój się, bój i uciekaj od niego. Twój Anioł Stróż poddaje ci  
tę bojaźń.

— Mama go tak lubi...

— Powinnaś mieć swoją wolę. Za trzy miesiące będziesz  
pełnoletnią.

— Mama taka przykra, gdy nie podzielam jej upodobań...

— Staraj się matkę przekonać.

— Mamy nie można przekonać.

— Czekaj cierpliwie...

Zamilkli. Stryj przycisnął synowicę do siebie i całował jej  
głowę.

— W razie czego przyjeżdżaj do Woli, a potrafię cię zastawić

— wyrzekł.

Po chwili zapytał:

— Czy pan Słotnicki przyjeżdża zawsze razem z kolegą do  
Ostrobudek?

— Bywa coraz rzadziej i zachowuje się u nas coraz chłodniej

— odpowiedziała

panna, unikając wzroku stryja. — Czuje, że go mama nie lubi  
i omija nas. Bo

dlaczego przeczy mamie? On taki dziwny. Gdy go jakiś  
przedmiot zajmuje, wówczas

mówi gorąco i wygląda, jak natchniony. Czasami znów widać,  
że mu obowiązki

towarzyskie ciąży, że go męczą, że się z nami nudzi. Mama to  
dostrzega i nazywa

go arogansem.

— A ty, Zochno?

— Ja, stryjku?...

Powtórny rumieniec zabarwił twarz dziewczyny.

— Ja? — odpowiedziała prawie szeptem. — Ja lubię słuchać, kiedy mówi...

— A kiedy milczy?..

— A kiedy milczy... chciałabym, żeby znów mówił, I pan Żagliński posiada dar słowa, ale to zupełnie co innego. Kiedy pan Żagliński coś tłumaczy, zdaje się jakby się to już gdzieś czytało, słyszało, zaś słowa pana

Słotnickiego robią zawsze wrażenie jego własności. Tylko, żeby mamie tak nie przeczył...

Przytuliła się znów do stryja, a on kiwał wolno głową..

— Moja ty biedna pieszcotko — mówił zcicha. Nagle zerwała się Zofia na równe nogi.

— Muszę wracać, stryjku, muszę wracać! — zawołała. — Mam dziś wypłatę.

— Ludzie poczekają na ciebie — przekonywał Ostrobudzki.

— Nie, nie, stryjku. Ubodzy nie powinni czekać. Pracowali ciężko przez cały tydzień.

— Jeszcze nie wrócili z pola.

— Trzeba przygotować rachunki. Dobranoc, stryjkowi, dobranoc!

I uściskawszy stryja, zgarnęła ręką fałdy amazonki i pobiegła na dziedziniec. Za

kilka chwil przegalopowała przed dworem, kłaniając się opiekunowi szpicróżgą.

On patrzył za nią długo. Kiedy znikła na zakręcie drogi, wyrzekł do siebie:

— Nie ochroniły cię te twoje mądrości przed strzałami Kupidyna...

Zofia pędziła przez pewien czas bez pamięci, czując potrzebę gwałtownego ruchu.

Gdy ujrzała przed sobą Ostrobudki, powstrzymała bieg konia i posuwała się dalej krokiem wolnym.

Odbywała się w jej duszy od jakiegoś czasu stanowcza zmiana, nad którą nie umiała zapanować. Dawniej, zawsze pewna słów i czynów swoich, stała się od kilku tygodni dziwnie roztargniona i nadczuła. Gdy na twarzy jej spoczęły chłodne oczy matki, odwracał głowę, jakby chciała coś ukryć przed tym wzrokiem kłó-

jącym. Konwencyonalny uśmiech pani Hłowskiej wydał się jej natrętnie ciekawym lub drwiącym. Najbliższe pytanie robiło na niej wrażenie nieprzyjemnego śledztwa.

Dawniej lubiąca towarzystwo, zaczęła teraz stronić od wszelkiego gwaru. Pod pozorem studyów szła w pole, albo zaszywała się w najgłębszy klomb parku. Ale nie otwierała nawet książki, którą brała z sobą. Siedząc pod drzewem lub gdzie

na miedzy, patrzyła przed siebie na szerokie, dalekie łany,  
owiane smutkiem  
jednostajnego krajobrazu. Nad równą ziemią łączycką unosiła  
się niepochwytna  
tęsknota, coś nieokreślonego, słodkiego. I w jej sercu  
zamieszkała jakaś  
rzewność, z której nie zdawała sobie długo sprawy.  
Odurzona za granicą mnóstwem nowych, nieznanym jej  
wrażen, następujących szybko  
po sobie, przerzucana z kraju do kraju, z miasta do miasta,  
pochłonięta przez  
muzea, galerye, obcych ludzi, przez uniwersytety w końcu, nie  
miała czasu  
pamiętać o marzeniach swoich lat młodych.  
Te złote sny zresztą nauczono ją lekceważyć. Krytycyzm  
pozytywny zdarł z nich  
płaszcz purpurowy poezji i nazwał pospolitym, zwierzęcym  
instynktem, co  
natchnienie ludów cywilizowanych otoczyło aureolą  
szlachetnego uczucia.  
Studentka zurychska nie kłamała, gdy szydziła, ku zgorszeniu  
stryja, z „puchu  
dziewiczości." Nauki przyrodnicze nie znoszą rumieńców,  
naturalistyczna zaś  
literatura francuska może sercom wytworniejszym obrzydzić  
miłość raz na zawsze.  
Przypatrzywszy się ciału zwierzęcemu z różnych stron i  
naczytawszy się autorów  
paryskich, sądziła Zofia, że opancerzyła się dostatecznie  
przeciw tęsknotom i  
marzeniom swojego wieku.

Była przekonana, iż oprze się skutecznie wszelkim przejawom wrodzonych instynktów.

Tymczasem, zaraz drugiego dnia po powrocie do Ostrobudek, spotkawszy w ogrodzie płaczącą córeczkę kucharza, pieściła strwożoną dziecinę z serdecznością matki.

Brała ją na ręce, huśtała, całowała po brudnej buzi, uśmiechała się do niej, szczęśliwa, że rozchmurzyła małe czółko.

A od pewnego czasu...

Coś ją pociągało do tego smutnego człowieka, którego spojrzenie wisiało zawsze gdzieś w przestrzeni, lecąc daleko po nad ziemię, obce najbliższemu otoczeniu.

Coś przykuwało jej wzrok do tej twarzy, gdy ją zabarwił lekki rumieniec, a

ozłociły odblaski jakiegoś ognia wewnętrznego. Już w Tumie, kiedy zapatrzony w

łunę zachodu, rzucał przed nią zdania, urągające jej wierze i wiedzy, nie miała

do słów jego żalu, chociaż odpowiadała szorstko. Im więcej go poznawała,

słuchała, tem bliższym się jej wydawał. Ujemne sądy matki o Słotnickim sprawiały

jej przykrość. Gdy przeczył paniom, narażając się na ich niechęć, doznawała

uczucia, jakby na nią skutki jego nierozwagi spadały. Chciała go ostrzedz,

prosić o większą uległość, ale nie śmiała. Był zawsze taki zamknięty w sobie, że

nie miała odwagi zbliżyć się do niego ze słowem cieplejszem.

Z początku broniła się przeciw tej powstającej bez jej woli  
sympatii całym  
arsenałem różnych narzędzi krytycznych. Przekonywała się,  
że nie może mieć nic  
wspólnego z publicystą, który się sztandarowi swojemu  
sprzeniewierzył, jak  
mniemała. Przywoływała na pomoc wszystkie formułki  
materiałistów o: instynkcie,  
egoizmie, doborze płciowym, o podkładzie zmysłowym  
miłości... Ale na nic nie  
zdały się te mądre argumenty. Gdy

zasypiała, widziała zawsze wyraźnie bladą twarz Słotnickiego  
i słyszała jego  
głos dźwięczny, przesłonięty echami głęboko ukrytego  
smutku. Siedząc w parku lub  
na miedzy w polu, pod stara gruszy, przypominała sobie jego  
słowa i ruchy po  
sto, po tysiąc razy, a wówczas ogarniała ją tęsknota, silniejsza  
od wszystkiego,  
czego się nauczyła w uniwersytecie. „Pospolity instynkt”  
chwycił ją zębami koła  
fabrycznego, nie chcąc jej puścić mimo rozpaczliwych  
szamotań.  
— Twoje żaby i karaluchy nie wzięły ci lat dwudziestu,  
ciepłego serduszka,  
gorącej krwi młodości... Człowiek jest nasamprzód  
człowiekiem, a dopiero  
potem...  
Wagę słów stryja czuła teraz Zofia tak dotkliwie, że się pod  
ich ciężarem



pochyliła. Wypuściwszy wodze z rąk, pozwoliła się koniowi unosić, nie troszcząc się o kierunek.

— Tak, człowiek jest przede wszystkim człowiekiem, a młodość młodością... —

mówiła do siebie.

Po chwili dodała:

— Któżby się był tego spodziewał? Wierzchowiec szedł stępą, podrzucając od czasu

do

czasu głową. Nagle stanął, podniósł uszy, prychnął i rzucił się w bok.

Pozbawiona równowagi amazonka zsuwała się już na ziemię, kiedy ktoś wyskoczył z

po za drzewa

i schwycił ją w ramiona.

Przerażona nagłym ruchem, nie widziała zbawcy, ale go przeczuła.

Słotnicki to zapobiegł upadkowi z konia. Gdy ją przycisnął do piersi, przebiegły

jej ciało rozkoszne dreszcze i ogarnął ją dziwnie

rozgrzewający płomień. Przez

kilka chwil spoczywała w jego objęciach, bliska zemdenia.

— Serdecznie panią przepraszam — odezwał się, stawiając ją na ziemi. — To ja

zawiniłem. Przestraszyłem konia w mrokach wieczornych.

Przepraszam, bardzo

przepraszam...

Nachylił się do Zofii i mówił dalej głosem troskliwym:

— Pani się nic nie stało? Prawda? Nie poniosła pani żadnego szwanku? Proszę mnie

uspokoić. Nie przebaczę sobie tego nigdy...

Dziewczyna wyprostowała się i odetchnęła ciężko.

— Nic mi nie jest! — szepnęła — przeraziłam się tylko trochę. Mój bułanek zwykle

taki spokojny...

Koń, zdziwiony tak samo, jak i jego pani tem, co się stało, zatrzymał się na

miejscu i opuścił łeb.

Teraz dopiero spostrzegła Zofia, że zeszedł z drogi

ostrobudzkiej i skierował

się w stronę olszynki zaleskiej.

— Pani pozwoli sobie towarzyszyć aż do alei — wyrzekł

Słotnicki. — Jeszcze pani

drży z przestachu; proszę się na mnie oprzeć. Wierzchowca poprowadzę.

Milcząc, złożyła swoją rękę na jego ramieniu.

— Jeszcze raz przepraszam — mówił Słotnicki. — W głowie mam znów rój myśli,

potrzebuję samotności, a mój towarzysz lubi wesoły śmiech i gawędę. Uciekłem

przed nim do lasu, nie spodziewając się, że moje dziwactwo narazi panią na

przykrość. Tyle się w czasach ostatnich nagromadziło pod czaszką nowego

materyału, że trzeba to wszystko uporządkować, najlepszym zaś aranżerem zapasów

umysłowych bywa zawsze cisza i samotność. Czytam ciągle dzieła różnych

okultystów, grzebię się, jak czarnoksiężnik średniowieczny, w dziwnej, bardzo

dziwnej bibule i nie umiem sobie zdać

sprawy z tego, czego się dowiedziałem. Ale to pani nie zajmuje, przepraszam...

Chciała odpowiedzieć, że ją zajmuje wszystko, co się do niego odnosi; chciała

wołać: Mów, mów, byłeś mówił, bez względu na to, o czym!

Ale nieznana jej

dawniej nieśmiałość ścisnęła ją za gardło. Bakalarka

zurychska, staczająca boje

na języki z kolegami różnych narodowości, kobieta

emancypowana, przywykła do

swobodnego towarzystwa męskiego, straciła nawet łatwość

panny światowej. Zdobyła

się zaledwie na uwagę banalną.

— To musi być oryginalna nauka — szepnęła.

— Bardzo — odparł Słotnicki i naszkicował szerokiemi

rysami hipotezy

okultystów.

Doszli do alei, prowadzącej do Ostrobudek.

— Teraz będę o panią spokojny — wyrzekł, pomagając

dziewczynie wsiąść na konia.

— Tylko proszę wolno jechać. Paniom moje uprzejme ukłony.

Dobranoc!...

Zofia podcięła konia szpicróżga i ruszyła z miejsca galopem.

Wolno? Ona miała jechać wolno, kiedy się w jej sercu zerwała

burza? Dlaczego on

taki zawsze spokojny, ten okrutny człowiek? Dlaczego on

mówi zawsze o tej swojej

nauce? Nie wyjdź z jego ust nigdy słowa serdeczne, gorące,

namiętne? Nie

drgnie li jego serce, nie zapłonie krew w żyłach, nie zakipi  
pod czaszką war, co  
mózg zalewa i oczy? O, ta nauka! Wszędzie i zawsze ona, ta  
stara, bezzębna  
wiedźma, umiejąca tylko zrzedzić... ten zasuszony, nudny  
profesor, ważący każdą  
myśl, każde uczucie, jak kramarz sól i pieprz. W niej gra  
życie, pragnie  
młodość, marzy miłość, a on?... On rozprawia o okultyzmie...

Dziewczyna podniosła obiedwie ręce do piersi. Tak falowały...  
Zbierał się w nich  
jakiś ból, pierwszy wielki w jej życiu...  
Koń, zmęczony się szaloną jazdą, zwolnił sam biegu. Sapał  
i szedł stępa.  
Zofia pochyliła się nad jego szyją i wyrzekła głosem,  
przesiękłym łzami:  
— Byłaby to miłość? Jak ona boli!...  
Dwie zimne krople zawisły na jej rzęsach i spłynęły wolno po  
twarzy. Roztarła je  
szybko, bo zajeżdżała przed dwór. Przytomność wrócił jej  
widok gromadki ludzi,  
czekających w pobliżu oficyny na wypłatę. Ogorzali, brudni  
od potu i kurzu, bez  
obuwia, w zgrzebnych koszulach i spodniach, z włosami,  
osuniętymi na czoło,  
stali pod oknem mieszkania, cierpliwi, chociaż pracowali od  
świtu na słońcu  
lipcowem.  
Zofia, rzuciwszy cugle forysiowi, udała się do oficyny i  
rozpoczęła wypłatę.

Stojący za nią Woralski musiał dziś ciągle zwracać uwagę na omyłki. W oczach dziewcziczki dwoiły się cyfry, monety wypadały z jej rąk, ciążyła jej głowa. Odetchnęła swobodnie, kiedy się ostatni robotnik oddalił. Zwykle czytywała po herbacie głośno jakąś książkę, gdy panie były same w domu. Dziś, wymówiwszy się migreną, udała się do swojego pokoju i zamknęła się na klucz, czego dawniej nie robiła. Stanąwszy w oknie, utopiła wzrok w ciemnościach parku. Nie mogła nic dostrzedz, gęste bowiem gałęzie lip zasłaniały nawet księżyc, zawsze chętnego powiernika smutków. Nie chciała też nic widzieć, oprócz bóleści, która wypełniała jej serce po brzegi. Jak on się szamotał, ten bezmyślny narząd, potrzebny do rozprowadzania krwi po całem ciele, jak

rzucał się w piersi, jak gdyby rozumiał, że go ktoś krzywdzi! Uczono studentkę, iż serce pośredniczy między żyłami, arteriami i naczyniami włoskowatemi. Diaczegóż więc ściska się, bije, dlaczego cierpi, posłuszne marzeniu młodości, nie pozostającej w żadnym związku z jego przeznaczeniem? Narząd? Czy on to unosi w tej chwili Zofię na miękkich, cichych skrzydłach

tęsknoty nad polami i łąkami do dworu zaleskiego, i otwiera przed nią drzwi i pokazuje jej obraz ukochany? Słotnicki siedzi przy biurku, z głową opartą na dłoni i czyta. Przyćmione różowym abazurem światło lampy chodzi po jego twarzy, zatrzymując się, to na wyniosłym czole, to na oczach, albo na ustach. Uśmiecha się, podnosi od czasu do czasu głowę, patrzy w sufit, myśli o czymś... Czy o niej? Nie, nie o niej... On nie uśmiechnął się nigdy do niej tak przyjaźnie, jak do tej bibuły, nie spojrział na nią ani razu z taką uwagą... Zofia przyłożyła rękę do piersi. — Uciszyć się, ucisz! — szepnęła. Odwróciła się na pokój, szukając czegoś po ścianach nieprzytomnymi oczami. Nad łóżkiem jej wisiał wizerunek Matki Boskiej, umieszczony tu kiedyś, dawno temu, przez starą niańkę. Nie zdjęto go, zapomniano o nim... Odruchem instynktowym zbliżyła się do obrazka. Już chciała zgiąć kolano, jak niegdyś, gdy dzieckiem będąc, składała rączkę do wieczornej modlitwy, chciała się ukorzyć przed kimś mocniejszym od człowieka, sponiewierana cierpieniem, lecz doznała nagle uczucia, jak gdyby ją ktoś z tyłu pochwycił i odrzucił. Cofnęła się... Szyderski uśmiech skrzywił jej usta...

— Tracę rozum — wyrzekła. — U kawałka papieru szukam pomocy... Śmieszne!...

Rozebrała się wolno i wsunęła się pod kołdrę.

We śnie wracała konno z Woli. W pobliżu olszynki ujrzała w pośród drzew jakąś jasną postać, która, objawszy ramieniem pień sosny, spoglądała w niebo. W chwili, gdy się do niej zbliżała, wyrósł obok niej, z ziemi, olbrzymi wąż z głowy Żaglińskiego. Krzyknęła z przestachu i obudziła się. Przez cały dzień następny krzątała się w ogrodzie, do obór nawet zachodziła, chociaż Ostrobudki miały bardzo dobrą gospodynię. Lękała się teraz samotności, myśli swoich i serca. Ono nasłuchiwało ciągle, to serce. Zamiast rozprowadzać krew po ciele, jak było jego obowiązkiem, wyglądało na szosę, badało turkot kół przejeżdżających wozów i smuciło się, że czekało daremnie. Dopiero pod sam wieczór drgnęło tak gwałtownie, że byłoby wyskoczyło z klatki piersiowej na wolność, gdyby go różne ścięgna nie były powstrzymały. Panie używały właśnie przechadzki w parku, kiedy lokaj zawiadomił, że goście z Zalesia przybyli.

Zaraz na wstępie odezwał się Żagliński:

— Na tym świecie kończy się, niestety, wszystko, nawet życie, co nie należy wcale do mądrych pomysłów imci pani natury.

— Cóż pana tak pesymistycznie nastraja? — zapytała słodko pani Olimpia.

— Małoż powodu? Możeż być większa boleść nad rozłąkę z osobami, z którymi chciałoby się przepędzić nie jedną, lecz trzy, dziesięć, tysiąc wieczności?

Opuszczam jutro Zalesię.

— Tak wcześnie? Czy nie może pan jeszcze pobytu swego przedłużyć? Było nam tak dobrze razem.

— Zadobrze, zadobrze, ale urlop mój skończył się przez tygodniem, a kolega, który mnie zastępuje, śle list po liście, bo potrzebuje kuracyi.

Cała moja

pociecha w tem, że mam nadzieję powitać panie na jesień w Warszawie.

Żagliński podał pani Olimpii ramię i poprowadził ją szpalerem grabowym.

— Ale pan nam przynajmniej zostanie — wyrzekła pani Iłowska, zwacając się do Słotnickiego.

— I ja wyjeżdżam na czas dłuższy — odpowiedział.

— Prawdopodobnie do jakich wód?

— Potrzeba mi rzeczywiście kuracyi, ale nie ciała. Jadę w świat po nowe prawdy.

Naukowe pisma niemieckie mówią, od pewnego czasu dużo o szczególnej sile jakiejś

kobiety z ludu. Ma to być jako medyum zjawisko zadziwiające. Chcę tę

czarodziejkę obejrzeć własnymi oczami i zbadać osobiście jej tajemniczą potęgę.



— Jaki pan szczęśliwy, że możesz żyć wyłącznie dla nauki —  
zauważyła pani  
Hłowska.

— Iziu, Iziu! — wołała w tej chwili pani Olimpia. — Prosimy  
cię na sędziego.

Spieram się z panem Żaglińskim o rzecz zabawną. Prosimy...

Pani Hłowska połączyła się z pierwszą parą, zostawiając  
Słotnickiego z Zofią,

która postępowała dotąd obok nich w milczeniu.

— Zazdroszczę panu tej wycieczki po nowe prawdy —  
odezwała się teraz. — To musi

być niezwykle szczęście móż się oderwać bez żalu od całego  
otoczenia, i

spieszyć tylko za głosem wiedzy.

Była blada; głos jej drżał lekko, ale Słotnicki tego nie  
spozstrzegł.

— Wszystko, co odurza — mówił — daje zapomnienie,  
zapomnienie zaś stoi bardzo  
blisko szczęścia. W ciągu mojej dziesięcioletniej działalności  
publicystycznej  
miewałem takie chwile zupełnego zadowolenia. Były one  
rzadkie, ale były. Kiedy,  
porwany ukochanym przedmiotem, przepędzałem noce przy  
biurku, aby wyrzucić z  
siebie wszystko, co mi wnętrzości paliło, wówczas nie  
pragnąłem niczego od  
życia, wyższy po nad jego pospolite niewygody i przykrości.  
Trwało to oczywiście  
krótco, rozczarowanie bowiem następuje zawsze bardzo  
prędko po zachwycie, ale

pamięć tych dni niewielu osładza mi lata trudów i trawiącego pesymizmu.

Chciałbym wrócić koniecznie do wiary w jakiś ideał naukowy, by mieć znów cel

życia, gwiazdę przewodnią, coby mnie dalej prowadziła.

— Tak... Tylko pogoń za prawdą jest warta życia rozumnego człowieka — szepnęła

Zofia.

Powtórzyła frazes, którym posługiwała się tyle razy, lecz w jej głosie nie było

dawnej opryskliwości. Gorycz z niego sączyła; dźwięczała w niej nuta serdecznej,

tłumionej skargi.

A Słotnicki, zajęty swojemi myślami, nie zauważył zmienionego tonu.

— W istocie — potwierdził. — Kierownik świata spętał człowieka całym legionem

instynktów i egoizmów, aby mu życie uznościć i drogiem uczynić. Wlał w jego krew

płomienie pociągu płciowego, z którego wypływa długi szereg marzeń, pragnień,

obowiązków w końcu. Dał mu przywiązanie do istnienia, ambicye, namiętności,

przeróżnych dążeń samolubnych zgraję hałaśliwą, a wszystko to, aby go przykuć do

ziemi. Jesteśmy nieznanym siłom do czegoś potrzebni, spełniamy jakieś

posłannictwo, co wi-

dzę wyraźnie od chwili, kiedy zacząłem się przypatrywać dziejom ludzkości z

wyżyn historyozofii. Musimy tak: łudzić się, kłaniać,  
oszukiwać, szachrować,  
wyzyskiwać słabszych, słowem, walczyć o byt, jak walczymy;  
ale nie wynika z tego  
wcale, abyśmy mieli wszyscy bez oporu ulegać tyranii życia.  
Wyzwała się z pod  
jarzma brutalnych sił, kto umie okiełznać wrodzone popędy,  
kto potrafi zdeptać  
pospolite namiętności, stawiając po nad nie cele wyższe.  
Przepraszam, że wyrażam  
się jaskrawo, ale kierunek myśli pani upoważnia mnie do  
słowa swobodniejszego.  
Uszu parafianki nie gorszyłbym takimi herezjami.  
Stała się rzecz szczególna. Studentka zurychska, która nie  
znalazłaby w  
zasadach, wygłoszonych przez Słotnickiego, jeszcze temu dwa  
tygodnie nic  
zadziwiającego, wyznawała bowiem te same teorye, chełpiła  
się nawet niemi,  
ciskając je w twarz każdemu, kto chciał i nie chciał słuchać,  
dumna z nich —  
rumieniła się dziś, jak zwykła gąska wiejska.  
On mówił, że „kierunek jej myśli upoważniał go do słowa  
swobodniejszego” — i  
rozprawiał z nią, jak mężczyzna z mężczyzną, uczony z  
uczonym.  
Miał do tego prawo, a jednak...  
Przebudzone serce niewieście słuchało z żalem i trwogą  
doktryn znanych. Obrażała  
je bezwzględność krytycyzmu, pastwiącego się brutalnie nad  
tem, co ono miało  
najdroższego.

— O tak — odezwała się Zofia głosem stłumionym —  
wyzwała się z pod jarzma  
nieznanych sił, kto umie okiełznać wrodzone popędy, kto  
potrafi zdeptać  
namiętności, stawiając po nad nie cele wyższe. Ma pan  
słuszność... Bo czemuż  
życie pospolite? Łańcuchem ono drobnych zabiegów, nikłych  
uczuć, śmiesznych  
złudzeń. Niezawo-

dnie... Nie znosi ono najpobłaźliwszego porównania z  
wyższymi celami nauki i  
sztuki. Że pokonywając siebie, depcze się równocześnie  
innych, łamie drugie  
serce — cóż to szkodzi? Ziemia, postawiona obok  
wszechświata, cierpienie  
jednostki obok bólu ludzkości, to rzecz tak błaha, że nie warto  
się nawet nad  
nią zastanawiać. Codziennie spływają z milionów smutnych  
oczu potoki łez i giną  
krocie zrozpaczonych nędzarzy, a ziemia krąży spokojnie  
naokoło słońca, jak  
krążyła przed wiekami. Że gdzieś kona jakiś drobny organizm,  
przeznaczony z  
chwila, gdy się rodzi, na śmierć, cóż w tem dziwnego? Ani  
jeden listek na  
drzewie nie drgnie z jego powodu. Skonał? Miliardy były  
przed nim i miliardy  
będą po nim. Niech przepadnie... To takie naturalne, takie  
pospolite

widowisko... Nauka miałaby się troszczyć o drobne smutki  
drobnych istot? Czemże  
rozpacz jednostki obok prawdy, służącej całemu gatunkowi?  
Nie, nie... Nauka ma  
prawo przejść po sercu, jak po trawce i zdeptać je ma prawo i  
sponiewierać...  
Słowa wydobywały się jej z ust wolno, w przestankach,  
urywane, nierówne, to  
gwałtowne, to ciche, jak tłumione łkania.  
Wypychał je wielki ból, powstrzymywany siłą woli.  
— A jednak... — dokończyła Zofia szeptem — zdaje się  
człowiekowi, iż jego sprawy  
powinny obchodzić otoczenie, że w jego piersi kryje się skarb  
uczuć, wart  
przynajmniej tyle, ile prawda. Jaki on śmieszny, ten człowiek!  
Przykłada do  
losów stworzenia swoich własnych pragnień miarę i dziwi się,  
że dzieje świata  
troszczą się tak mało o jego łzy i rozpacz. Jaki on  
śmieszny!...

Mówiąc to, zwróciła twarz do Słotnickiego. On słuchał już od  
kilku chwil  
zdumiony. Znał się zanadto dobrze na muzyce żywego słowa,  
aby nie wyczuł całej  
gamy sprzecznych akordów, grających w głosie Zofii.  
Rozróżniał dźwięki tkliwe i  
buntownicze, miękkie i szorstkie, a wszystkie oparte na  
jednym głównym tonie, na  
skardze.  
Skarżyła się? Na co?...

Uważnie wpatrywał się w jej rysy, zmieniające się w jego oczach.

To nie była już nieopatrzna, pewna siebie dziewczyna.

To spoglądała na niego kobieta dojrzała, złamana jakimś wielkim cierpieniem.

— Panno Zofio — wyrzekł — - pani ktoś bardzo dokuczył.

Uśmiechnęła się do niego przez łzy.

— Nikt, nikt.... ja sama! — odparła.

— Nie mam prawa wdzierać się w tajemnicę pani — mówił Słotnicki — ale możebym...

— Nie, nie, nic pan nie może — wyrzekła szybko. — Są rzeczy, które pana nie zajmują, których panu owe cele wyższe nie pozwalają dostrzedz.

— A przecież... Ujął ją za rękę.

— Była mi pani od pierwszej chwili bardzo sympatyczna i dlatego boli mnie jej smutek.

— Pana... boli? Mój smutek nie jest prawdą...

— Wszystko jest prawdą, co istnieje, a widzę, że pani cierpi. Patrzył na nią z przyjaźnią, ale nic więcej; przemawiał do niej, jak stary lekarz domu, badający troskliwie chorobę osoby, której dobrze życzy.

— Dziękuję panu!... — szepnęła — może kiedyś, później...

Podniosła rękę do szyi, jakby ją coś dusiło. Spojrzała na niego jeszcze raz,

długo, z rozpaczliwą uwagą, chcąc wyczytać na jego twarzy ślady głębszego

uczucia, a nie znalazłszy na niej nic, oprócz zdawkowej przyjaźni, przyłączyła się do reszty towarzystwa.

— Więc do widzenia w Warszawie! — mówił Żagliński, zegnając się z paniami. — Do bardzo, bardzo miłego widzenia!

## VII.

W Warszawie, u państwa Płońskich, odbywał się zwykły wieczór tygodniowy. Cztery zielone stoliki znajdowały się w obszernym salonie, a przy każdym z nich siedziały po dwie pary. Panowie i panie, pierwsi w smokingach lub tuzurkach, drugie w tualetach półdekoltowanych, grali w winta, skupiwszy całą, uwagę na kartach. Bawili się ze spokojem ludzi dobrze wychowanych, nie przerywając biegu szczęścia gniewliwemi wybuchami. Od czasu do czasu tylko odezwał się głośniejszy jakiś dowcipniś, powtarzający z powagą wynalazcy wytarty koncept wintowy. Było to towarzystwo mieszane: jakaś stara księżna i baronowa niepewnego wieku, dwóch prezesów sądu z żonami, dyrektor kolei żelaznej, kilku przemysłowców i obywateli ziemskich, przybyłych do Warszawy, na zimowe leże. Gospodarz, wysoki, dobrze zbudowany starzec, trzymający się jeszcze prosto mimo

lat sędziwych, chodził od stolika do stolika, przypatrywał się grze gości, udając że się wybornie bawi.

Wsunięta w jeden z rogów salonu, ocieniona drzewkiem palmowym, stała kozetka, otoczona małemi, złoco-

nemi krzeselkami. Tu schronili się profani, nieuprawiający kunsztu wintowego.

Miejsce honorowe na kanapce zajmowała prezesowa Jasinowska, wysoka blondynka, z dużemi niebieskimi oczami, biała, świeża, o rysach grubych, ale tworzących

całość harmonijną. Uczesana po grecku, z brylantową szpilką w bujnych,

puszystych włosach, ubrana w jasną jedwabną suknię, spiętą szerokim, wiśniowego

koloru, złotemi nitkami dzierzganym pasem, robiła wrażenie kobiety wytwornej.

Obok niej stał, oparłszy ramię na poręczu kozetki, trzydziestokilkoletni brunet

średniego wzrostu, z głową rasową, szczupły, blady.

Ona zwróciła oczy na salon i prowadziła je od stolika do stolika; on patrzył w

światło jednej z lamp, zasłoniętej dużym, czerwonym kapturem. Spojrzenie jej,

obszedłszy wszystkich graczy, podniosło się do niego.

Uśmiechnęli się oboje równocześnie.

— Chyba nie pozbedziemy się tej epidemii wintowej — odezwała się głosem

stłumionym, przykrywając usta wachlarzem.



On wzruszył ramionami.

— Ale i pan dziś w wyborzym humorze! — mówiła dalej.

— O ile pamiętam — odpowiedział — uzyskałem raz na  
zawsze pozwolenie

nieprzymuszania się do wesela, gdy go w sobie nie czuję.

Uczciwi sprzymierzeńcy

dochowują układów.

— Pan Strójowski dobrodziej zaczyna być niegrzeczny.

— Pani prezesowa dobrodziejka zaczyna się gniewać,

aczkolwiek umowa nasza

wykluczyła żale i skargi. Dobrzy przyjaciele nie obrażają się  
nigdy.

— Nawet wtedy, kiedy się śmiertelnie nudzą?

— Wtedy nudzą się wzajemnie.

Pod wachlarzem zatrzepotał śmiech pusty,

— Śliczne zajęcie! — szepnęła pani Jasinowska.

— Nie gorsze od tego — wyrzekł Strojnowski, wskazując  
ruchem głowy na stoliki. —

Co do mnie, wolę nawet nudy, bo mi dają odpoczynek.

Prezesowa spojrzała uważnie na towarzysza.

— Znów pan dużo pracował? Prosiłam, żeby się pan tak nie  
męczył — mówiła z

życzliwością w głosie. — Znów oczy podkrążone, a na czole  
żółte plamy. Skutki to

zapewne kilku nocy bezsennych.

— Aby państwo mogli ziewać nad naszą bibułą, lub bawić się  
nią w chwilach

wolnych od zajęć przyjemniejszych, my musimy się męczyć,  
wszelka bowiem praca,

choćby nawet taka, która daje zadowolenie wewnętrzne,  
wyczerpuje, nuży. Chłop  
nie wysypia się za właściciela ziemskiego, robotnik za  
fabrykanta, autor zaś,  
artysta lub uczonek, czuwa za tak zwaną inteligencją. Za to, że  
przepędzamy dla  
was, szanowni czytelnicy i urocze czytelniczki — bo zawsze  
urocze — noce  
bezsenne, pozwólcie nam być po za naszym gabinetem  
nudziarzami. Trudno świecić  
ciągle i błyszczeć. Nawet słońce stygnie podobno stopniowo.  
— Uważam, że słońca warszawskie stygną zaprędko...  
— Ma to znaczyć, że przestajemy czytelników zajmować.  
Dziękuję za komplement;  
skwitowaliśmy się. Stygniemy w istocie zaprędko, ale nie  
nasza w tem wina.  
Pokolenie nasze zbankrutowało na progu wieku

dojrzałego. Dawniej żyli ludzie powolniej. Dziś lecimy ciągle  
naprzód, bez  
wytchnienia, chorzy z nadmiernego pośpiechu, przedwcześnie  
zwiędli. Okropna to  
epoka dla głów myślących i serc nietylko swoje  
odczuwających smutki...  
W oczach pani Jasinowskiej malowało się zdziwienie.  
— Słyszę u pana po raz pierwszy akordy pesymistyczne —  
odezwała się. — Sądziłam,  
że idealisci...  
— Mój idealizm — przerwał Strojowski żywo — nie broni  
mnie przed prawdą, to zaś,

co się obecnie w świecie cywilizowanym dzieje, nie sprzyja  
wcale poglądom  
różowym. Jeżeli kto, to czuje się właśnie idealista w chwili  
obecnej przybłądą,  
niepotrzebnym nikomu upiorem, staroświeckim gratem,  
numerem w muzeum  
archeologicznem. Jeżeli kogo, to boli właśnie idealistę  
najdotkliwiej nikczemność  
epoki kramarzów i karyerowiczów.

— Zdaje mi się, że słyszę Słotnickiego — zauważyła pani  
Jasinowska. — I on  
skarżył się tak samo, gdy opuszczał przed rokiem Warszawę.  
Niezrozumiałe to dla  
mnie, bo panowie stoicie na wręcz przeciwnych biegunach.  
— Chociaż zajmujemy, albo raczej zajmowaliśmy stanowiska  
wręcz przeciwne,  
mogliśmy się mimo to zejść w poglądach na chwilę obecną,  
mamy bowiem obydwaj  
oczy do patrzenia i uszy do słuchania. Tak na niego, jak na  
mnie, działają te  
same okoliczności. Cała między nami różnica, że do jednego  
zmierając celu,  
kroczyliśmy innemi drogami. Jemu, materyaliście z nauki,  
zdawało się, że należy  
się rozumowi miejsce naczelne, ja zaś, idealista z  
temperamentu i z upodobań  
osobistych, domagam się równych praw dla tworców  
wyobraźni i serca, z czego wcale  
nie wy-

nika, abyśmy nie mieli dostrzedz, iż miara, jaką przykładaliśmy w pierwszej młodości do człowieka, była zawielka.

Prezesowa słuchała bardzo uważnie. Niepewny wyraz jej oczu zdradzał, że nie wszystko pojmowała.

— Co do mnie — wyrzekła — dziwię się zawsze bezstronności panów. Chociaż

jesteście przeciwnikami, mówicie o sobie z pewnym rodzajem uznania, czego nie

bardzo rozumiem. I Słotnicki wyraża się o panu w ten sposób. Strojowski odpowiedział uśmiechem przelotnym.

— Dlaczego pan milczy? — zapytała pani Jasinowska.

— Bo nie chcę być po raz drugi niegrzecznym.

— Proszę się ze mną nie bawić w obłudę światową. Lubię czasem impertynencye.

— Tak dla odmiany?...

— Choćby tylko dlatego... Młode kobiety przesyca się zwykle ckliwymi słodyczami.

Proszę więc o niegrzeczność...

— Bo płeć nadobna nie umie się wznieść po nad osobiste sympatye i antypatye —

mówił Strojowski. — Ktoś inaczej wierzący, czujący, jest dla niej równocześnie

wrogiem, którego trzeba ze wszystkich stron nienawdzieć.

— A panowie?

— My szanujemy w przeciwniku jego odwagę i uczciwość, chociażbyśmy skutki tych

przymiotów na własnej odczuli skórze. Słotnicki dokuczył mi nieraz, a mimo to

nie przyszło mi nigdy na myśl posądzić go o złę wiarę i wolę.

Że zesłiśmy się

ostatecznie na wielu punktach, nic w tem dziwnego. Jako marzyciel w swoim rodzaju, musiał się i on zrazić do chwili, nie

sprzyjającej naturom szerszym i szlachetniejszym. Jest to smutny los wszystkich umysłów zdolniejszych naszych czasów.

— W takim razie nie warto być ową naturą szerszą, i szlachetniejszą.

— Był to w istocie zawsze dar niewygodny. Lepiej grać w winta, śmiać się na operetkach i farsach w teatrze, zjadać smaczne obiady u bankierów, włączyć się po balach i rautach, powtarzać mądrości augurów gazeciarskich, być, słowem, dobrze wychowanym pionkiem, nie zawadzającym nikomu i nigdzie. Rozumie się, że lepiej...

Strojowski nachylił się do prezesowej.

— A teraz proszę mi podać rączkę pod wachlarzem i uśmiechnąć się bardzo ładnie.

Wymykam się po angielsku. Mam dosyć jour fixe'u.

Ona spojrzała na niego błagalnie.

— Panie! — mówiła szeptem. — Miałbyś pan sumienie zostawić mnie tu samą wśród tych winciarzów i winciarek? Nie widzisz, jak się ziewająca nuda przechadza po salonie? Już zbliża się do mnie, o, o, ratuj! Skrzywiła głowę z minką proszącego dziecka i złożyła ręce, jak do modlitwy.

— Kto to mówił, że dobrzy przyjaciele powinni się razem nudzić? — dodała.

— Niestety, ja! — wyrzekł Strojowski i usiadł na krzeselku, złożony kapelusz.

— Zawsze pan równo...

— Grzeczny — dokończył Strojowski — wiem, słyszałem to już tysiąc razy. Czy wolno pani postawić jedno pytanie?

— Milion, jak najwięcej, bylebyśmy o czymś mówili?

— Niechże mi pani łaskawie wytłómaczy, dlaczego przenosisz towarzystwo literatów i artystów nad tak zwane światowe? To ludzie spracowani, zmęczeni, po troszę narwani, więc zawsze nudni, a czasami nawet opryskliwi.

— Panowie jesteście nudni pięć razy, ale gdy was za szóstym coś zajmie, uniesie, porwie, wówczas wynagradzacie jednym razem wszystkie dawniejsze razy. Raz, razem, razy, cudowna harmonia, prawda?

— Do druku pani nie pisze — wolno. A oni? Strojowski wskazał oczami na stoliki.

— Oni są zawsze nudni, a najnudniejszy z nich wszystkich jest mój pan małżonek, prześwietny pan prezes. Zaśmiali się oboje zcicha.

— Czy pan wie, czym mnie pan prezes zabawia podczas obiadu i kolacyi, gdy jesteśmy sami w domu?

— Domyślam się, że sprawozdaniami z posiedzeń sądowych.

— Gorzej. Psychologią morderców i złodziejów. Prawda, że to zajmujące?

— Jak dla kogo...

— Wy, gdy macie humor, mówicie o sztuce, literaturze i nauce, więc o rzeczach ładnych albo szerokich, a mówicie prawie zawsze z ogniem, który się słuchaczom udziela.

— W naszym kraju głównie słuchaczkom — sprostował Strojowski.

— Uprzejmie dziękuję za rzecz rzadką u pana dobrodzieja, bo za grzeczność. Wie pan, co panu powiem?

— Zapewne jaką złośliwość, bo widzę jej błyski w ślicznych oczach.

— Kulą w płot, zamiast w tarcz. Powiem panu, że dziwię się, iż korzystacie tak mało z adoracji płci pięknej. Każdy z was, gdyby się tylko trochę postarał, znalazłby taką miłość, o jakiej panowie prezesowie, dyrektorowie i tym podobni... owie nie mają nawet wyobrażenia.

— A wie pani, co ja pani powiem?

— Niczego się nie domyślam, bo chcę, żeby pan coś miłego powiedział.

— Także kulą w płot, zamiast w tarcz. Powiem pani, że moglibyśmy tylko wtedy nasze adoratorki adorować, gdyby one chciały za nas pracować, na czembyście

państwo, szanowna inteligencyo, spragniona świeżej bibuły,  
bardzo źle wyszli.

Miłość jest rzeczą ponętną, ale zabiera zbyt wiele czasu. To  
luksus dla  
próżniaków.

— Zawsze ta praca! Mógłby pan raz zapomnieć o tej  
brzydkiej, starej babie.

— Nie opuści mnie ona aż do śmierci. To najwierniejsza  
towarzyszka ubogich.

Zamilkli.

Ona bawiła się wachlarzem, on opuścił głowę i patrzył przed  
siebie na kobierzec.

Po chwili zaczęła znów prezesowa:

— Powiedz mi pan, co się z wami stało? Jesteście od pewnego  
czasu wszyscy, jak  
gdybyście odbyli jakąś ciężką chorobę. Nie zajmuje was  
nawet literatura, sztuka,  
nauka...

— Już pani powiedziałem — odparł Strojowski. —

Przeżyliśmy w istocie chorobę  
ciężką; jesteśmy bankrutami umysłowymi. Czego nas uczono  
w młodości, okazało się  
złudzeniem, co zaś będzie prawdą dla jutra, tego jeszcze nikt  
nie widzi.

— Więc dajcie pokój tym prawdom i życiu, jak wszyscy  
ludzie.

— Na to trzebaby się jeszcze raz urodzić. Byli zawsze i są  
nawet w naszych  
kupieckich czasach tacy szaleńcy, którzy muszą pozostawać z  
sobą w zgodzie,



muszą posiadać jakiś wyraźnie określony ideał, jeżeli mają z ochotą żyć i pracować. Szaleństwo to, głupota, dziwactwo, albo jak pani chce inaczej, ale to szaleństwo i dziwactwo istnieje.

— Pana przecież nie obchodzi nic bankructwo materyalizmu; pański idealizm nie poniósł szwanku, o ile mi wiadomo.

— Nietylko nie poniósł szwanku, ale nawet powoli zwycięża. Zamilkli powtórnie. Na jej gładkiem czole utworzyła się fałda, jego twarz

spowily cienie smutku. Teraz zaczął on pierwszy:

— Chciała pani, abym został? Na co? Niech pani rzuci nasze towarzystwo i wróci do flirterów światowych. Ludzie myśli i pióra naszych czasów przestali być przyjemnymi gawędziarzami.

— To nic — odpowiedziała pani Jasinowska. — Jesteście nudni, przyznaję, ale wolę, mimo to, wasze nudy, niż ich banalne flirty. Chciałabym teraz posłyszeć Słotnickiego. On umiał być zajmującym pesymistą. Czy pan nie wie, co się z nim dzieje?

— Mogę służyć pewną informacją. Słotnicki jeździł do Niemiec po tak zwane "nowe prawdy" i znajduje się od wczoraj w Warszawie.

— Jest w Warszawie? — zawołała prezesowa z nietajoną radością. — Jak to dobrze!

Proszę panu Słotnickiemu powiedzieć, że go szczerze powitam, jeżeli mnie

zechce odwiedzić. Jakież to te nowe prawdy, po które jeździł?  
— Ponieważ nie wątpię, że Słotnicki objaśni panią w tym  
względzie lepiej  
odemnie, przeto proszę mnie zwolnić z wykładu o nowym  
dziale zjawisk, jak się ci  
panowie wyrażają i proszę, ale teraz już stanowczo, podać mi  
rączkę na  
pożegnanie.

— Czy koniecznie?

— Koniecznie, pani. Umówiłem się ze Słotnickim, że  
spotkamy się jeszcze dziś, w  
restauracyi. Jestem sam tych nowych prawd ciekawy. Będzie  
może znów jakaś  
zajmująca robota. Kolacya zresztą uwolni prezesową  
niebawem od pani nudy, bo  
widzę, że lokaj szepcze coś pani Płońskiej do ucha. Więc do  
widzenia!...

Uściskawszy palce pani Jasinowskiej, podniósł się Strojowski,  
kręcił się przez  
kilka minut po salonie, udając, że przypatruje się z zajęciem  
wintowi, potem  
upatrzawszy chwilę stosowną, wymknął się do przedpokoju i  
oddalił się  
niepostrzeżony. Na ulicy wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć  
na Plac

Teatralny.

W jednej z restauracyj w pobliżu teatru było tłumno i gwarno.  
Premiera jakiejś  
komedyi francuskiej wypełniła wszystkie sale gośćmi, którzy  
przybyli się  
pokrzepić po strawie duchowej befsztykami i kotletami.

W pokoju ostatnim siedziało naokoło dużego stołu  
towarzystwo, składające się z  
kilkunastu osób. Był tu redaktor jednego z pism postępowych,  
dwóch publicystów  
tej samej barwy, jeden recenzent teatralny, kilku lekarzów,  
adwokatów i  
przyrodników.  
Spożywszy wieczerzę, pili czarną kawę, zakrapiając ją  
koniakiem albo likierem.  
Zrazu szła rozmowa żywo, uwagi krzyżowały się, tu i owdzie  
błysnął jakiś dowcip,  
wywołujący śmiech

wesoły, gdy się jednak źródło bieżących plotek wyczerpało,  
nastało owo przykre  
milczenie, które świadczy zawsze, że sobie już ludzie nie mają  
nic do  
powiedzenia.  
Ten i ów spojrział na zegarek, inny przechylił się do sąsiada i  
zaczął z nim  
poufną, gawędkę, trzeci przeglądał spis potraw, chociaż nie  
miał już ochoty do  
jedzenia. Nuda przechadzała się swobodnie po pokoju.  
— Czytałem ostatni pański artykuł ekonomiczny z wielkiem  
zajęciem — odezwał się  
jeden z adwokatów do redaktora. — Doskonale napisany!  
Redaktor, niski, szczupły blondyn, machnął ręką niedbale i  
uśmiechnął się  
lekceważąco.  
— Nie warto nawet o tych błahostkach mówić — wyrzekł  
głosem piskliwym. — Smaruje

się, bo trzeba czemś szpalty zapełnić, ale żeby to kogo zajmowało...

Podniósł chudą, nerwową rękę do nieporządnie utrzymanych włosów, aby odsunąć z wysokiego czoła jakiś strzep niesforny.

Ubrany w wyplamiony surdut, w pomiętą już nieco, przybrudzoną bieliznę i w kamizelkę z poobrywanymi guzikami, mały, zarosły rudawą brodą, spotykającą się rzadko z nożycami fryzjera, był obrazem zaniedbania.

— A gdyby to Powalskiemu kto wydrukował, toby się dopiero gniewał — zauważył

wysoki, przystojny brunet z gęstą, na środku rozczesaną czupryną i z oczami niebieskimi, z których wyzierała dobroć serca.

— O ile wiem — odciął się redaktor — to i imcipan Chojnacki nie lubi, gdy się ten wstecznik Strojowski czasem po nim przejedzie.

— Nikt nie lubi, gdy go ze skóry obdzierają — odparł Chojnacki głosem dźwięcznym, przyjemnym. —

Zresztą, kiedyż to było? Nie mamy się już o co kłócić, a szkoda, bo zaczynamy z braku żywotnych tematów tetryczeć, jak wyranżerowani emeryci. Pozytywizm i ewolucjonizm skończyły karierę, powiedziawszy bardzo dużo i bardzo mało, nowy zaś dział zjawisk nie przedstawia jeszcze materiału do sporów zasadniczych.

— Jaktó, nie przedstawia? — zawołał Powalski. — Faktem jest, że człowiekowi nie wystarczają zdobyte bezpośredniej obserwacji, że jego tęsknota wraca zawsze do zaklętych krain niepoznawalnej.

— Tej świadomości zamało do prawidłowych badań naukowych. Potrzebamy nam jakich danych pozytywnych, jakiego porządnego niedyum do eksperymentowania.

Zamilkli. Ktoś zadzwonił na służbę i zażądał rachunku.

— Chyba rozejdziemy się — mruknął Chojnacki — bo nie mamy jakoś humoru. Coraz trudniej między nami o żywszą gawędę. Miał tu być Słotnicki, któryby nam może coś nowego powiedział. Mówił mi wczoraj, że robił doświadczenia z jakimś wybornem medyum.

— I mnie obiecał, że będzie tu na kolacyi — wyrzekł redaktor.

— Musiało mu coś przeszkodzić.

Wtem otworzyły się drzwi i do pokoju weszli Słotnicki i Żagliński.

Na widok przybyłych, zerwało się całe towarzystwo z krzeseł. Słotnicki, ożywiony, z uśmiechem zadowolenia na twarzy, rozdawał uściski rąk na prawo i lewo. Chojnackiego objął za głowę i ucałował serdecznie w obydwa policzki.

— Jak się masz, stary? — wyrzekł, przypatrując się mu z przyjaźnią. —

Skapcianałeś czegoś. Mówiłem ci:

na wieś, na wieś! Tylko wieś wraca takim waryatom, jak my,  
zdrowie i równowagę.

— Ale za to wyglądasz ty doskonale — mówił Chojnacki. —  
Widać na tobie skutki  
wypoczynku.

Ucałowali się powtórnie.

— Nie ślińcie się tak, bo będzie deszcz! — odezwał się  
Żagliński. — Rzekłbyś  
kochanek z kochanką! Dajże mu pokój, Chojnacki. Widzę z  
jego miny, że chce nam  
postawić białego, a ty mu przeszkadzasz.

— Białe ci nie uciekną, bo i ja postawię flakonik na wiwat,  
choć jestem od  
jakiegoś czasu goły, jak zbankrutowany dyrektor teatru  
prowincjonalnego. Tylko  
szampanem można pić zdrowie takiego gościa.  
Chojnacki zadzwonił i kazał podać Pommery sec. A zająwszy  
miejsce obok

Słotnickiego, zapytał:

— I cóż ty porabiasz, szlagonie? Gadaj! Orzesz, siejesz,  
tuczysz nierogaciznę,  
spożywasz z namaszczeniem dary ziemi, powietrza i wody.  
Siedzisz na wsi, jak  
ekonom. Żeby też nie zajrzeć przez cały rok do Warszawy!

— Dajże mu wybrać jakąś potrawę — wtrącił Żagliński,  
podsuwając Słotnickiemu  
kartę. — Jeszcze się dosyć nagadacie. Może wybrać za ciebie,  
bo nie znasz  
tajemnic tego szynku.

— Jeźliś łaskaw! Tylko coś małego, bo nie jestem głodny —  
odparł Słotnicki, a

zwróciwszy się do Chojnackiego, mówił. — Wy mi raczej mówcie, co porabiacie?

Żyjecie w wielkim świecie, stoicie w samym środowisku ruchu umysłowego, jego słudzy i kapłani. Moje życie płynęło w ostatnim roku spokojnie, równo, jak drobny strumyk leśny, wasze zaś toczy się zawsze z łoskotem gwałtownego potoku.  
Od was mam prawo żądać nowości.

Chojnacki wzruszył ramionami.

— Popychamy taczkę zdawkowej roboty dziennikarskiej — odpowiedział.

— Są świeże ostrygi, jak zapewnia pan Józef — odezwał się Żagliński po konferencji z subjektem. — Może spróbować, co?

Słotnicki skinął głową na znak zgody, a Chojnacki wyrzekł: — Ten zawsze swoje! Dziw, że nie ożenił się jeszcze, dla tych ostryg i homarów, z jaką księżniczką z Nalewek, herbu dwie wiązki czosnku na blankiecie wekslowym.

Żagliński roześmiał się wesoło.

— Jeżeli ci się zdaje, że mnie obrazisz, to się bardzo mylisz! — zawołał. —

Przenoszę zawsze świeżą ostrygę nad waszą stęchłą gadaninę.

Mało się to

nasłuchałem przeróżnych mądrości? Więc dwa tuziny ostryg!

— rozporządził — a co

będzie dalej, to zobaczymy później. A teraz zaczynajcie mądrą rozprawę, bo

widzę, że wam oczy wylazą z ciekawości do owych dziwów, które Słotnicki oglądał w Germanii. Pozwalam!

— Kolega jeździł podobno do Niemiec na studia z jakimś medyum? — zapytał redaktor. — Czy doszedł pan do jakich rezultatów pozytywnych?

— Jeżeli się nie czujesz zmęczonym, to opowiedz nam, co widziałeś — prosił Chojnacki.

— Widzieć, w naszym rozumieniu — zaczął Słotnicki — nie widziałem dotąd wiele.

Doświadczenia z owym medyum odbywały się w warunkach tak niekorzystnych, iż nie umiem sobie jeszcze zdać sprawy ze znaczenia nowego zjawiska. Tyle tylko wiem z pewnością, że nauka, która nas wychowała, odcięła się rozmyślnie od całego skarbu faktów, przystępnych dla obserwacji. Będziemy

mieli zresztą, sposobność poddać owe zjawiska ścisłej kontroli, gdyż medyum obiecało przybyć do Warszawy.

— Obiecało przybyć? To doskonale! - zawołał redaktor Powalski. — Dowiemy się nareszcie czegoś pewniejszego.

W tej chwili wszedł Strojowski. Chociaż zauważył, że go powitało kilka spojrzeń niechętnych, podawał, rękę ze swobodą, człowieka dobrego towarzystwa, który



przywykł do panowania nad sobą.

— Przynoszę koledze zaproszenie od pani Jasinowskiej —  
wyrzekł, zwracając się do

Słotnickiego. — Prezesowa nie przestała być pańską,  
wielbicielką. Ale widzę, że

przerwałem jakąś rozmowę. Proszę się mną, nie krępować;  
może zawadzam?

— Bynajmniej, mówimy o medyumizmie — odezwał się  
Chojnacki — więc o przedmiocie,

który niezawodnie i pana zajmie. Prosimy.

Strojowski zajął miejsce, a Słotnicki mówił dalej:

— Z tego, co widziałem, wolno mi wnioskować, iż najbliższa  
przyszłość odsłoni

nam mnóstwo dziwnych faktów, uważanych dotąd za wytwór  
naiwnej lub chorej

wyobraźni. Należy tylko rozszerzyć granice wiedzy, otworzyć  
jej podwoje na

rozcierz, nie uprzedzać się do żadnego tak zwanego zabobonu,  
czy przesądu i

chwytać śmiało za rąbek zasłony, która pokrywa zagadkę  
życia. Nasi mistrzowie

zgrzeszyli z jednej strony nadmierną pychą, z drugiej zaś  
niepotrzebna

skromnością. Pycha wmówiła w nich, że człowiek może się  
obyć bez poznania

zjawisk, zwanych dotąd przez motłoch cudami,

nadprzyrodzonościami, skromność zaś

zepchnęła rozum do stanowiska niewolnicy zmysłów. Tę  
pychę i tę skrom-

ność trzeba usunąć, one bowiem stoją na drodze do  
rozwiązania odwiecznych  
tajemnic.

— Ma się rozumieć!... Ależ naturalnie!... — wtórowano  
wokoło.

— Gdyby prawdą było, co twierdzą nowsi okultyści — mówił  
Słotnicki — możemy mieć  
nadzieję, iż ustanowimy nareszcie jakiś pochwytny związek  
pomiędzy światem,  
podlegającym bezpośrednio obserwacji a dziwnymi krainami,  
dostępnymi dotąd  
tylko dla naszych przeczuć i domysłów. Bo wiemy dziś  
wszyscy, że fale oceanu  
Littré'go potracają rzeczywiście o królestwo rozumu, otaczając  
nas zewsząd  
głuchym, tajemniczym szumem. Każdy z nas może istnienie  
tego niezbadanego  
jeszcze czegoś potwierdzić z doświadczeń osobistych. Sny nas  
nieraz ostrzegały,  
przecucia nie zawodziły, wstręty lub pociągi nerwowe nie  
myliły. Należy  
koniecznie dotrzeć do owego oceanu uiedostrzeżonych przez  
naszych mistrzów  
szeptów i wskazówek. Będzie to robota najbliższej  
przyszłości.

Redaktor, którego niecierpliwiła widocznie uwaga, z jaką  
słuchano Słotnickiego,  
usiłował bowiem już kilka razy wcisnąć się między niego i  
resztę towarzystwa,  
odezwał się teraz:

— Niewiele nowego dowiedzieliśmy się dotąd od kolegi.  
Nauczyli nas już tego  
Wallace, Gibier, Crookes, Schofield i wielu innych.

— Między martwą mądrością ksiązek a żywą, odczuta wiedzą osobistych medytacyj i doświadczeń zachodzi bardzo znaczna różnica, o czym warto pamiętać — odparł Słotnicki, który zrozumiał zamiar redaktora. — Nie występuję, jako prorok własnych idei, lecz tylko jako echo przewrotu umysłowego, odbywającego się obecnie w całym świecie cywilizowanym.

Rozmowa zeszła teraz z tematu ogólnego na szczegóły. Każdy doświadczył na sobie jakiegoś „potrącenia owych fal tajemniczego oceanu” i czuł potrzebę podzielenia się swojemi postrzeżeniami i domysłami. Jeden powtórzył jakiś sen, drugi mówił o przeczuciach, trzeci o znakach, halucynacjach i t. d. Tylko Strojowski nie dorzucił do ogólnego zbiornika własnych obserwacyj. Siedząc na uboczu, milczał, patrzył, słuchał. Szczególne bo widowisko miał przed sobą... Oto otaczało go kilkunastu ludzi, z których każdy zdziwiłby się bardzo, gdyby go wprost zapytano: czy wierzy w Boga, w duszę, celowość świata? Połowa z nich byłaby bez namysłu zaprzeczyła lub nawet roześmiała się w oczy „naiwnemu,” druga zaś połowa byłaby się wykręciła jakimś ironicznym ogólnikiem, nie mając odwagi przyznać się do „słabości,” jeśli ją posiadała. Znał ich doskonale.

Ci wszyscy publicyści, adwokaci, lekarze i przyrodnicy,  
wychowańcy nauki  
pozytywnej, nie chcieliby za nic na świecie uchodzić za  
„nieuków," za wyznawców  
jakiejś religii, nazywając każdą z nich przesądem motłochu.  
Prawdą dla nich było tylko to, co można sprawdzić za pomocą  
bezpośredniej  
obserwacji, wszystko zaś, leżące po za obrębem postrzegania  
zmysłowego,  
odpychali z uśmiechem lekceważącym. Ufali dotąd jedynie  
siłom i środkom rozumu  
ludzkiego i tylko od nich spodziewali się rozwiązania zagadki  
życia.  
Nawet dziś, kiedy słuchali z nabożeństwem starej, wiejskiej  
baby, opowiadań o  
snach, przeczuciach i znakach, nie chcieli się wyrzec tytułu  
pozytywnych uczo-

nych. Oczy pały im z ciekawości, twarze płonęły; wrywali  
sobie słowa z ust,  
gdy ktoś potrafił o jakiś fakt niezwykły, a wierzyli, że  
rozbierają trzeźwo  
„nowy dział zjawisk."  
Gawędę, przypominającą baśnię wieczornicy, nadziewali  
gęsto strzepami uczoności.  
Ten wtrącił „siłę nerwową i życiową," ów wsunął „prawo o  
zachowaniu energii,"  
trzeci powtórzył znane formułki hipnotyzmu i magnetyzmu.  
Rozprawiali, jak ludzie  
z gminu, jak zabobonni chłopi, a byli przekonani, że nie  
przekraczają granic

dysputy ściśle naukowej.

Im, pozytywistom, zdawało się, że nie schodzą z drogi badań prawidłowych, on

zaś, idealista, widział przed sobą tylko nowy dokument niemocy rozumu ludzkiego.

Smuciło go to szamotanie się rozsądku z pociąganiem do cudowności, to rozmyślnie

łudzenie się i wmawianie w siebie naturalności zjawisk, nie dających się

podciągnąć pod metodę doświadczalną.

Spostrzeżenia obecnych wyczerpały się po jakimś czasie. Nikt nie miał już nic do

powiedzenia. Chojnacki, oglądający się wokoło, jakby czekał jeszcze na dalszy

ciąg zajmujących opowieści, zauważył pierwszy osamotnienie Strojowskiego.

— A kolega, czy nie doznał kiedy jakiego nadzwyczajnego wrażenia z powodów

nieznanych? — zapytał.

— Owszem — odparł Strojowski, uśmiechnąwszy się pod wąsem — miałem takie

wrażenie zeszłego lata. Jeżeli panom sprawi przyjemność, to...

— Prosimy, prosimy! — zawołało równocześnie kilka głosów.

— Zeszłego więc lata — opowiadał Strojowski — bawiłem u jednej z moich kuzynek

na wsi. Jest to osoba

wiekowa, która zajmuje ogromne domisko piętrowe, rodzaj staroświeckiego pałacu,

otoczonego zewsząd obszernym parkiem. W pałacu tym umarło dużo członków naszej

rodziny, których część znałem osobiście. Na dole, na parterze, znajdują się salony i sale jadalne, na górze zaś mieszkanie staruszki i pokoje gościnne. Ponieważ lecę się latem po gorączkowej pracy zimowej ciszą, spokojem, przeto wyznacza mi kuzynka kwaterę nie na górze, lecz na dole, aby mi nikt nie przeszkadzał. Zwykle też spotykamy się tylko przy stole, a po wieczornej herbacie jestem zupełnie sam, oddany na pastwę wszelakich szmerów nocnych. Strojowski spojrzał naokoło. Kilkanaście par oczu zaciekawionych wisiało na jego ustach. Chojnacki podniósł się z krzesła i stanął obok niego. — Przyznam się panom — mówił Strojowski dalej — że pierwsze dni pobytu mojego na wsi nie należą do przyjemnych. Bo proszę sobie wystawić szereg wysokich, ogromnych sal, pograżonych w cieniach nocy i w ciszy, o jakiej nasze domy miejskie nie mają wyobrażenia. Proszę sobie nadto wystawić legion nieboszczyków, którzy kiedyś w tych komnatach jedli, pili, bawili się, a którzy mają niedaleko do pałacu, bo odpoczywają zaraz za parkiem, na cmentarzu. W pokoju, w którym sypiam, zmarło dwóch znanych mi osobiście krewnych. Trochę to niepokojąca kwatera dla człowieka z porwanymi nerwami i z przedrażnioną wyobraźnią. Zanim

też przywyknę do tej poważnej ciszy, zrywam się zwykle  
przez kilka dni z  
pościeli za najłżejszym szelestem, zapalam świecę, oglądam  
się, nasłuchuję,  
zasnąć długo nie mogąc. Zawsze mi się zdaje, że ktoś chodzi  
po salach i czekam  
ciągle na tajemniczego gościa...

Ustał i obrzucił powtórnie towarzystwo wzrokiem  
badawczym. Dostrzegł wszędzie  
nie już ciekawość, ale pierwsze ślady zabobonnej trwogi.  
— Zeszłego lata... — poddał mu Chojnacki szybko, nie mogąc  
się doczekać końca.  
— Zeszłego więc lata — opowiadał Strojowski — leżę w  
łóżku i czytam. Wtem  
spojrzałem na zegarek — była północ — słyszę nagle za  
drzwiami jakiś szelest,  
potem widzę, że ktoś rusza klamką... W pierwszej chwili —  
przyznaję się —  
przeszły mnie ciarki po skórze i włosy mi się zjeżyły —  
czułem wyraźnie, jak się  
podnosiły... Patrzę uważniej... klamka rusza się. Zdobywam  
się na odwagę i  
wołam: kto tam? Milczenie... Powtarzam: kto tam? Nikt nie  
odpowiada, a klamka  
podnosi się ciągle. Należało wstać i otworzyć drzwi, ale nie  
bardzo się  
kwapiłem. Po raz trzeci wołam: kto tam? Nikt się nie odzywa.  
Wtedy myślę: trzeba  
jednak zobaczyć. Jeżeli to duch, to krewny, a swój nie będzie  
mnie chciał

przestraszyć. Podnoszę się, biorę świecę, idę do drzwi i krzyczę: Odpowiadaj, kto jesteś! Chcę właśnie odemknąć zasówkę, kiedy się za drzwiami odzywa głos, jakby jakiejś starej kobiety...  
— Głos? Odezwał się głos? — wtrącił Chojnacki.  
— Tak, głos...  
— No i cóż, i cóż? — pytano.  
— I nic — odparł Strojowski — był to mój krewny, który, przyjechawszy nocą, z dalszych stron i dowiedziawszy się od służby, że jestem w pałacu, zeszedł z góry, z pokoi gościnnych, po schodach kręconych, bosy, i udawał pod drzwiami stracha.  
Gdy się Strojowski obejrzał po raz trzeci wokoło, dostrzegł na wszystkich twarzach rozczarowanie. Ci

niezawisli badacze nowego zjawiska spodziewali się widocznie, pragnęli, innego rozwiązania...  
— Więc pan zaprzecza możliwości komunikowania się umarłych z żywymi? — zapytał Chojnacki.  
— Wierząc w istnienie duszy — odpowiedział Strojowski — i w życie pozagrobowe, przyjmuję możliwość porozumiewania się umarłych z żywymi, jedno bowiem wypływa z drugiego; ale przypuszczam, że te komunikacje odbywają się tylko w chwilach



ważnych, gdy są komuś z pozostałych na ziemi potrzebne. Nie  
wierzę stanowczo,  
aby się duchy fatygowały na zawołanie pierwszego z brzegu  
eksperymentatora, dla  
zaspokojenia prostej ciekawości i twierdzę, że trzy czwarte  
widm, chodzących po  
ziemi, jest wytworem albo strachu, który ucieka przed  
skontrolowaniem faktu,  
albo też chorych nerwów, prześladowanych przez  
halucynacje.

— Ależ, rozumie się! — potwierdził Chojnacki głosem, w  
którym nie było  
przekonania — nikt o tem nie wątpi. Jeżeli jakim, to należy  
właśnie zjawiskom tej  
kategorji bardzo dobrze się przypatrzeć.

— Rozumie się, rozumie się! — wtórowano wokoło  
półgębkiem,

— Zdaniem mojem — odezwał się teraz Słotnicki — postawił  
pan Strojowski kwestyę  
na gruncie niewłaściwym. My, wychowańcy nauki  
niezawisłej, zwracając uwagę na  
nieznany naszym mistrzom dział zjawisk, nie mamy  
oczywiście na względzie  
zwykłych zabobonów motłochu. Nie o jakąś wiarę w duchy,  
czy strachy, nam idzie,  
nie o kompromis między wiedzą a wiarą w ogóle, lecz jedynie  
o rozszerzenie  
zakresu faktów istotnych. Przekraczając dotychczasowe  
granice nauki, nie  
przestajemy być wcale pozytywistami. Na drodze pozytywnej

chcemy objaśnić zjawiska, uważane dotąd za cudowne, czy nadprzyrodzone.

Strojowski uśmiechnął się ironicznie.

— Rozumiem panów doskonale, co poświadczy najbliższa przyszłość — odparł — nie chcąc jednak wszczynać sporu przed czasem, przepraszam i ustępuję, bo widzę, że zawadzam.

A żegnając się ze Słotnickim, zapytał:

— Na kiedy mogę prezesowej zapowiedzieć wizytę kolegi?

— Zapomniałem już, w których dniach pani Jasinowska przyjmuje. Zdaje się, że we czwartki — mówił Słotnicki.

— We czwartki bywa dla wszystkich w domu, soboty zaś zachowuje dla przyjaciół.

— Więc do widzenia u prezesowej w najbliższą, sobotę.

— Bardzo dobrze; wykonam komis. Do widzenia! Zerwana przez Strojowskiego nić dysputy, nie chciała się już nawiązać. Towarzystwo zapłaciło rachunek i opuściło restaurację.

— Możebyśmy poszli jeszcze gdzie na czarną kawę — odezwał się Żagliński, gdy znalazł się z kolegą sam na ulicy. — Wartoby o różnych rzeczach bez świadków porozmawiać.

— Odłóżmy to na inny raz — odparł Słotnicki. — Jestem dziś zmęczony. Łoskot wielkiego miasta, chorobliwy pośpiech ludzi, myśli i wiadomości, nieznośna wrzawa walki o byt, od której już odwykłem, działają na mnie, jak silny narkotyk. I wasze powietrze nie służy mi. Jestem, jak zatruty.

— Przywykniesz...

— Wiem. Żyłem w tej olbrzymiej fabryce przez dziesięć lat i nie chorowałem ani razu.

— Więc nie dasz się namówić?

— Jeżeli możesz mnie zwolnić z owej czarnej kawy...

— Ale owszem, możemy się jutro, pojutrze lub kiedykolwiekindziej nagadać i wygadać. W takim razie do widzenia, jadę do domu. Żagliński zawołał na dorożkę, wsiadł i kazał się zawieźć na ulicę Wspólną, gdzie zajmował w jednej z kamienic na pierwszym piętrze dwa pokoje kawalerskie.

Wchodząc do siebie, zajrzał do skrzynki, przybitej do drzwi: listów nie było.

Zapalił świecę i przyłożył palec do guzika dzwonka elektrycznego.

— Śpi bestya — mruknął. — Antek! — zawołał głośno do drugiego pokoju. —

A...a...nte...e...k! — powtórzył.

— Rany Boskie! — odezwał się za portyera jakiś głos wystraszony i po chwili ukazał się na progu zaspany wyrostek w granatowej liberyi.

— Sprawię ja ci kiedy rany Boskie, łobuzie! — mówił Żagliński, oddając służącemu kapelusz, laskę i palto. — Nie wiesz to, że masz zawsze na mnie czekać?

— Czytałem do północks „Kuryerka,” ale po dwunastej to jakby mi ktoś ślepie

piaskiem zasypał. Proszę pana, czy to prawda, co pisze dziś w „Kuryerku” o tych duchach?

— O jakich znów duchach?

— Że to jakby wchodziły w stołowe nogi i odpowiadały na wszystko, co tylko człowiek chce?

Żagliński uśmiechnął się.

— Jak tylko stało w „Kuryerku,” to rozumie się, prawda — odpowiedział.

— Ehe! Stajało w sobotę, że pan wyjechał, a to było tylko wedle tego żyda, coby nas nie nudził. Niby to ja nie wiem, jak się to...

— Głupiś!

— Niech sobie będę głupi, a co wiem, to wiem. Przecie my sami robimy gazety.

— Czy nie było nic do mnie? — zapytał Żagliński, siadając w fotelu przed biurkiem.

— Łaził tylko ten żyd ze trzy razy.

— Który?

— Ten z gębą zbója.

— Wszyscy lichwiarze są podobni do kajdaniarzów!

— Ten z rudą brodą, co to patrzy z podełba, jakby tylko szukał, gdzie co złapać.

— Piernik?

— Cholera go tam wie, jak się taki złodziej wabi! Pewno, że Piernik, albo inak.

Zawdy żyd!

— Czegóż chciał?

- Chciał się z panem widzieć.
- A ty co na to?
- Ja jemu: idź do dyabła, pan wyjechał!
- Uwierzył?
- Takiby w co uwierzył! Zerkał tylko po meblach i ścianach, aż mu się ślepie iskrzyły.
- Ma na nie ochotę, co?
- A juści. Czy to on pierwszy? Dużo ich takich było, co mieli ochotę na nasze landszafty i graty, a żaden nam nic nie wziął. Powiedział, że przyjdzie jutro o dziesiątej i powie mojemu panu: dzień dobry! To ci dopiero gałgan zuchwały! Może go tak miotłą przywitać, proszę pana, co?

Chłopak spojrział na pana uważnie, potem wyrzekł, mrugając powiekami:

- Chyba, że nam do jenteresu potrzebny?
  - Obędziemy się bez niego — odpowiedział Żagliński.
  - To go miotłą lunąć bez łeb?
  - Miotle daj pokój, bo pójdziesz jeszcze kiedy za swój antysemityzm do kozy.
  - Bo to potrzebują być zaraz świadki?
  - Powiesz mu, że będę sam u niego. — Słucham pana!
- Żagliński wydobył z pugilaesu kilka banknotów i podając je Antkowi, rozkazał:
- Kupisz dwa bukiety, wiesz, takie, jak zawsze; wieczorem ubierzesz się w odświętny płaszcz, w biały krawat i rękawiczki i pojedziesz ze mną na dworzec,

na pociąg berliński.

— Słucham pana.

— Z Piernikiem bądź uprzejmy. Może się jeszcze na co przydać.

— Rozumiem... Będę do niego mówił: „Panie kupiec.”

— Jak chcesz, byle bez miotły i zwykłych twoich figłów. A teraz idź spać.

Żagliński wziął z biurka jakąś gazetę, ale Antek nie odchodził.

Stał w progu,

drapiąc się w głowę.

— Czego to jeszcze chcesz?

— Bo żeby to było prawda, proszę pana — mówił Antek — że duchy odpowiadają, jak

ich się pyta, to może się dowiem, czy wygram na loteryi?

W oczach Żaglińskiego błysnął uśmiech szyderski.

— Wytlómaczę ci to kiedyindziej, a teraz dobranoc! — odpowiedział.

Kiedy lokaj znikł za portyera — rzucił pan gazetę na kobierzec, oparł się

plecami na tylnej poręczy fotelu, podniósł głowę i zapatrzył się w sufit.

I on przysłuchiwał się dziś bardzo uważnie rozprawie kolegów w restauracyi,

zapisując sobie każde ich słowo w pamięci. I jego zastanowił widowisko, którego

był świadkiem, chociaż z innych powodów, jak Strojowskiego.

Znał on owych publicystów, przyrodników i lekarzy bardzo dobrze. Wiedział, że

połowa z nich żyła tylko dla nauki, niezdolna do obłudnej  
igraszki. Gdy taki  
Słotnicki, Chojnacki i Powalski mówili o okultyzmie  
poważnie, znaczyło to, że  
wierzyli naprawdę w jego przyszłość. Mogli się łudzić,  
pozostawać w błędzie, ale  
nie kłamali. Gdy zaś takie głowy zajmują się czymś żywiej,  
zapalają się do  
czegoś, znaczy to dalej, że publiczność pójdzie wkrótce za  
nimi. Oni to przecież  
robili prądy chwili, narzucali tłumom, za pośrednictwem  
słowa drukowanego, swoje  
poglądy i majaki.

Doniosłość dzisiejszej dysputy rozumiał doskonale  
rutynowany dziennikarz, który  
patrzył od lat kilkunastu na doraźne skutki działalności  
autorów i publicystów.

Sam głosu w sprawach ważniejszych nie zabierał, gdyż los  
odmówił mu talentu, ale  
korzystał nieraz zręcznie z dobrej wiary zdolniejszych od  
siebie.

Służąc przez całe życie nie przekonaniom, z których drwił,  
lecz tylko sobie i  
chwilowym gustom czytelników, myślał Żagliński nad tem,  
jak wyzyskać dla swoich  
celów wzbierającą falę nowych idei?

— O powstrzymaniu ich nie ma mowy — mówił do siebie. —  
Ci waryaci zaczną znów  
jaką wrzawę, chociażby się nawet mieli ośmieszyć. Znam ich.  
Gdy im raz

w mózgu zakotłuje, nie spoczną, póki nie wyrzucą z siebie  
kapiątka. Płynąć z  
nimi razem, czy też...  
Zbliżał do siebie ręce, stukając palcami o palce.  
— Albo też trzymać się na uboczu? Pograżył się w zadumie.  
Pracował od lat kilkunastu na niwie dziennikarskiej, a  
nazwisko jego nie  
przekroczyło dotąd ciasnych granic szczupłego kółka  
znajomych. Po za rogatki  
Warszawy nie wybiegło. Nawet taki marny szlachcic, jak  
Ostrobudzki, pozwolił  
sobie wątpić o jego zdolnościach. Pani Olimpia powtórzyła  
mu, w chwili poufnej  
gawędki, słowa szwagra.  
Gdyby tylko o niego szło, zniósłby z lekkim sercem sąd  
hreczkosieja, sława  
bowiem obchodziła go tyle, ile śnieg przeszłoroczny. Ale ta  
stara uczona kwoka  
przywiązywała wartość do rozgłosu. Czuł to w jej oburzeniu  
na Ostrobudzkiego.  
Trzeba się więc czemś odznaczyć, zwrócić na siebie szerszą  
uwagę, ale — czem?  
Dzieła naukowego nie napisze; wiedział o tem, bo próbował  
już nieraz daremnie.  
Beletrystą nie będzie, publicyście nawet nie dorósł. A jednak  
trzeba  
koniecznie...  
Podniósł się z fotelu, przeszedł się kilka razy po pokoju.  
— Popłynę! — wyrzekł głośno, zatrzymując się przed dużym  
lustrem.  
Po chwili dodał ciszej:  
— Co mi to szkodzi? Choćbym się i później zblamował, będę  
w dobrym towarzystwie.



Gdzie taki Słotnicki lezie, mogę i ja karku nadstawić. Zresztą,  
zawsze czas na  
odwrot. Tymczasem narobi się trochę huczku, złapie się  
pannę, a potem... niech  
piszą do mnie na Berdyczów.

Spojrzał w zwierciadło i przypatrywał się sobie uważnie.  
— Jestem jeszcze niczego, ale za kilka lat... Więc wesoło i  
odważnie, głowę na  
dół, ręce w tył i chlust do mętnej wody mistycyzmu. Obmyje  
mnie szampan...

Spirytysta, okultysta, stultysta, ha, ha, ha! Będzie szopka!  
Z głośnym śmiechem przeszedł do pokoju sypialnego.

Nazajutrz, około dziesiątej zrana, budził go Antek:

— Proszę pana, proszę pana!...

— Czego tam? — bąknął Żagliński.

— Czas do redakcyi.

Żagliński podniósł się leniwie, a kiedy kładł na siebie ranne  
ubranie, mruzczał:

— Ciągle ta przekłeta redakcyja! Mogłaby się raz ta mitrega  
skończyć. Człowiek

nie bydlę, żeby harował bez wytchnienia.

Kazał sobie wylać na głowę karafkę wody, wytrzeć się dobrze  
mokrym ręcznikiem,

zjadł śniadanie, zapalił papierosa i wyszedł na ulicę.

Drobny, nieprzyjemny deszcz listopada zabłocił bruk i  
chodniki. Ludzie spieszyli

w jedną i w drugą stronę, skuleni, pod parasolami. Kto nie  
potrzebował, nie

opuszczał mieszkania.

— Ohydny u nas klimat — myślał Żagliński. — Wolałbym teraz przechadzać się w Wenecyi po placu św. Marka lub w Nizzy, na promenadzie Anglików. Trzeba się tak urządzić, żeby to było możliwe. Stanąwszy przed domem, w którym znajdowały się biura jego gazety, wszedł do administracyi.

— Czy pan Lisiecki jest już w kantorze? — zapytał jednego z kasyerów.

— Dopieroco przyjechał — odpowiedział urzędnik. Minąwszy dwa pokoje, założone stosami bibuły, zatrzymał się Żagliński w trzecim, który był gabinetem wydawcy.

— Dzień dobry! — odezwał się. Od biurka, pokrytego mnóstwem kwitów, listów, korekt i czasopism, podniósł głowę słusznego wzrostu, dobrej tuszy, siwy mężczyzna, ubrany w wytworny garnitur jesienny.

— Pan Żagliński? Dzień dobry! Co mi pan powie? — wyrzekł głosem jeszcze świeżym, wskazując niedbałym ruchem ręki na krzesło.

— Powiem wydawcy rzecz bardzo ładną, ale będzie za to zaliczka? Na wstęp proszę o owego doskonałego papierosa, co go to pan chowa od wielkiego dzwonu.

Pan Lisiecki otworzył biurko, wydobył z pudełka kilka papierosów i podsunął jednego z nich dziennikarzowi.

— Papierosem służę, ale co do zaliczki...

— Niech pan nie kończy, bo się pan zblamuje — przerwał szybko Żagliński. — Moja zaliczka pewna.

— Zobaczymy, zobaczymy! — mówił Lisiecki. — Co prawda, to mógłby się pan już raz ustatkować. Co pan robi z pieniędzmi? Zarabia pan do czterech tysięcy rubli rocznie, jest pan sam, bez żony, bez dzieci...

— Co robie? Wydaję. Każdy ma swoją namiętność. Pan lubi zamykać ruble do

skrzynki, ja zaś puszczać je między ludzi. Jak kto woli...

— Zapewne, ale... A ta ładna rzecz, proszę o nią.

— Słotnicki jest w Warszawie i zostanie prawdopodobnie przez całą zimę, wypoczęty, odświeżony, pełen

werwy i ognia. Trzeba jego werwę i ogień przetopić na ruble. Wydawca uśmiechnął się lekceważąco.

— Jeżeli za tę nowinę ma być zaliczka — wyrzekł — to się pan spóźnił. Byłem już u Słotnickiego i prosiłem go o współpracownictwo. Musztarda po obiedzie, panie dobrodzieju.

Żagliński uśmiechnął się.

— A może i przed obiadem — mówił. — Skarżyliśmy się przed tygodniem na brak ciekawego materiału. Czy tak było?

— Nie dzieje się rzeczywiście nic w Europie. Głucho i pusto; nie ma o czym pisać.

— Niby pusto i głucho, a w istocie wrze i kipi. Wydawca zwrócił na dziennikarza czarne, bystre oczy i słuchał uważnie.

— Aha! — zawołał Żagliński. — Już stary koń bibulany strzyże uszami. Cóż pan mówi na spirytyzm, teozofizm, okultyzm? Lisiecki spuścił wzrok, w którym malowało się rozczarowanie.

— To szopka! — mruknał.

— Tak pan sądzi? Słyszałem wczoraj, jak Słotnicki, Chojnacki i Powalski gardłowali za okultyzmem. Wyglądali, jakby chcieli zęby wybić każdemu, ktoby śmiał przeczyć.

Powtórnie spojrział wydawca uważnie na dziennikarza, który mówił dalej:

— Szopka, nie szopka, co zależy jedynie od sposobu patrzenia na rzeczy. Zdaniem mojem jest to naturalna reakcja przeciw pozytywizmowi, która zawładnie na czas pewien umysłami rozbitków współczesnego po-

kolenia. Jestem przekonany, że okultyzm będzie najpoczytniejszą kwestyą bieżącego sezonu.

Wyraz „najpoczytniejszy” podziałał na wydawcę, jak uderzenie bata. Poruszył się żywo w fotelu.

— Tak pan sądzi? — zapytał.

— Tak twierdzę i wierzę stanowczo. Bo cóżby innego? Tylko patrzeć, jak się

rozpocznie wrzawa, z której nasz konkurent nie omieszką skorzystać. Buble i zasługa popłyną, do niego.

Wyraz „konkurent” dokazał jeszcze większej sztuki.

Wydawca podniósł się i zaczął chodzić po gabinecie. Na jego twarz wystąpiły czerwone plamy.

Żaglinski zapalił drugiego papierosa, uśmiechając się z zadowoleniem.

— Może pan ma rację — odezwał się Lisiecki, zatrzymując się przed dziennikarzem.

— Rozumie się, że mam rację — odparł Żaglinski. — Wie pan przecież nie od dziś, że miewam dobry nos. Ruchowi, który się przygotowuje, można zresztą pomóc. Co zaś do etycznej strony kwestyi, o której nam, jako ludziom publicznym, nie wolno zapominać, to rzeczą, prasy służyć wszelkim nowym ideom.

Rozpocznie się oczywiście jakiś spór, a polemika wyjaśnia zawsze każdą sprawę, oddzielając ziarna od plew. Robiąc huczek, spełnimy równocześnie obowiązek obywatelski.

Spojrzeli na siebie. Mieli ochotę parsknąć śmiechem, ale powstrzymali się.

Spokojni, panujący nad każdym muskułem twarzy, okłamywali się z rutyną wytrawnych aktorów. Rozumieli się doskonale, a mimo to udawali przed sobą dobrą wiarę, nie chcąc się przyznać jawnie do gry obłudnej.

— Niewątpliwie! — mruknął wydawca, siadając napowrót. — Należy służyć nauce.

— Trzeba ściągnąć do „Dziennika” wszystkie wybitniejsze siły okultystyczne —  
radził Żagliński — aby się ruch u nas skoncentrował.  
Publiczka będzie „Dziennik”  
rozchwytywała, zobaczy pan. A teraz — Żagliński podniósł się z krzesła — moja zaliczka.

Wydawca wziął do rąk asygnataryusz.

— Ile panu potrzeba? — zapytał.

— Chciałbym posmarować trochę gębę Piernikowi, bo zaczyna mi spokój zakłócać.

Gdybym mógł prosić o sto pięćdziesiąt rubli...

— Aż tyle? Bój się pan Boga, co pan wyrabia? Dopiero przed tygodniem wziął pan

pensję. Trzeba się ustatkować, bo pana lichwiarze zjedzą!

— Myślę już o tem sam. Mam właśnie w planie doskonały interes. Jeżeli mi się

kombinacya uda, stanę odrazu na mocnych nogach. Pisz wydawca asygnacyę.

— Może sto wystarczy?

— Ani rubla mniej. Nie mogę.

Wydawca wypełnił kwit, podcyfrował go i oddał

Żaglińskiemu, który poszedł do

kasy, wziął pieniądze i udał się do biura, do zwykłych zajęć redakcyjnych.

Skończywszy około godziny trzeciej codzienną pańszczyznę, wyszedł na miasto z

zamiarem udania się do Słotnickiego. Miał do hotelu

Europejskiego tylko kilka

minut, ale czując trochę grosza w pugilaresie, nie uważał za potrzebne fatygować

sobie nóg. Nasunąwszy cylinder na lewe ucho, zawołał dorożki pierwszej klasy.

— Do Europy! — zawołał. — Tylko duchem!

W hotelu powiedziano mu, że Słotnicki znajduje się w restauracyi. Udał się do sali.

— Cóż ty, o trzeciej obiadasz, jak urzędnik? — odezwał się, witając się z kolegą.

— To moja zwykła godzina na wsi — odparł Słotnicki. — Zjesz ze mną obiad?

— Owszem.

Kiedy się napił wódki i zakąsił, spojrział Żagliński na przyjaciela.

— Marnie dziś wyglądasz. Co tobie? — zapytał.

— Nie spałem w nocy. Ten miejski hałas męczy mnie niesłychanie.

— Nie marudziłbyś. Kto widział w twoim wieku skarżyć się na hałasy i turkoty.

Nie udawałbyś starego!

— Trzydziesty ósmy rok po dziesięciu latach olbrzymiej pracy, to już nie młodość".

— To wiek sędziwy, ma się rozumieć! Tylko się ożenić, aby był ktoś pod ręką do pielęgnowania. Miękką poduszką, ciepły szlafrok, wygodne pantofle, a jakże...

Nagle podniósł Żagliński głowę, jakby sobie coś przypomniał i wyrzekł od niechcienia:

— A może ty naprawdę myślisz o legalnej małżonce?

Mówiąc to, spoglądał z boku na kolegę.

— Znasz w tym względzie moje zasady — odparł Słotnicki.

— Dajże pokój z zasadami — zawołał Żagliński. — To

hamulec na głupców. Zasady

takie lub inne wyrabia życie, a nie odwrotnie. Serce, nerwy,  
instynkty drwią

sobie z zasad. Wcalebym się nie dziwił, gdybyś pomyślał o  
jakiej towarzyszce.

Byłoby ci na wsi weselej.

W oczach jego, wpatrzonych uważnie w kolegę, migotały

żółte błyski podstępny i

nieszczerości.

— Nie mam zamiaru zmienić dotychczasowego trybu życia —  
wyrzekł Słotnicki.

— Naprawdę?

— Wierzaj.

Żagliński przeglądał kartę potraw, układając porządek dań.

Gdy zjedli zupę, zapytał:

— A te nasze głupiomądre sąsiadki dawno widziałeś?

— Od owego czasu, gdyśmy je razem żegnali, nie byłem w  
Ostrobudkach.

— Czy być może? Byłeś przecież w Zalesiu po owej  
wycieczce do Niemiec?

— Bawiłem u siebie kilka tygodni, ale miałem tyle zajęć  
przeróżnych, że nie  
starczyło czasu na wizyty. A potem...

— A potem? -podchwycił Żagliński.

— Wiesz, że nie lubię pani Olimpii. Nie znoszę kobiet,  
drapujących się w



dziurawą togę uczoneści, pozbieranej nie wiadomo gdzie i  
złatanej nie wiadomo  
jak. Nauce trzeba poświęcić życie, aby nie była śmieszna,  
pretonsyonalną  
arogantką. Nie ma dla mnie nic wstrętniejszego nad pewną  
siebie połowiczność,  
wygłaszającą, banalne ogólniki ze stanowczością i pychą  
miernego profesora  
uniwersytetu.

— W takim razie nie tęsknisz prawdopodobnie także za  
towarzystwem panny Zofii? I  
ona posługuje się tym tonem doktoralnym, który nie bywa w  
istocie zabawny.

— Co do panny Ostrobudzkiej, to rzecz inna. Jest to dobre  
dziecko z przewróconą  
główką.

— Mógłbyś jej odwrócić. Masz dużo czasu na wsi — wyrzekł  
Żagliński.

W oczach jego zapaliły się znów owe kocie błyski. Z  
wyteżoną uwagą czekał na  
odповідź.

— Mam przed sobą cele ważniejsze — odparł Słotnicki. —  
Zostawiam to zadanie jej  
przyszłemu mężowi.

— A jednak to wcale ładna dziewczyna.

— Tak sobie. Pospolity typ urodziwej jasnowłosej  
szlachcianki. Raczej więcej  
miła, wdzięczna, aniżeli piękna.

Żagliński był zadowolony z badania. Znał kolegę zanadto  
dobrze, aby się ośmielił

wątpić o prawdzie jego słów. Wiedział, że Słotnicki mówił zawsze to, co w danej chwili czuł, w co wierzył. Nie miał więc potrzeby obawiać się silniejszego współzawodnika.

— Postawię dziś trunki — odezwał się, doskonale usposobiony — abyś nie myślał, że tylko tobie wolno być Luculluseni. Zacznijmy zaraz od szampana; nie warto mieszać. Naciągnąłem mojego żyda na zaliczkę.

— Jakiego żyda? — zapytał Słotnicki.

— Lisieckiego.

— O ile mi wiadomo, Lisiecki jest katolikiem.

— To wszystko jedno. Katolicki, protestancki, starozakonny żyd. Dla mnie jest

każdy wydawca żydem, bo z gardła każdego trzeba wyciągać monetę obcęgami. Niech ich wszystkich razem...

Żagliński machnął ręką i kazał podać szampańskiego wina.

Rozmowa przeszła na bieżące plotki warszawskie. Mieli obaj mnóstwo wspólnych znajomości, których sprawy ich zajmowały.

Gdy byli przy końcu obiadu, odezwał się Żagliński od niechcienia:

— Mógłbyś napisać kilka artykułów wstępnych o obecnym ruchu umysłowym w Europie do naszego "dziennika." Czy drukujesz tu, czy tam, rzecz dla ciebie obojętna, bo wycofałeś się z komerażów miejsco-

wych, a lepiej zawsze dla autora przemawiać ze szpalt  
poczytnej gazety. Ale tak,  
jak ty to umiesz, kiedy chcesz, z ogniem, z temperamentem, z  
drogi hołota, bo

walę po łbie, żeby sobie ludzie przypomnieli dobre czasy  
Słotnickiego. Warszawa

o tobie zapomniała. Warto ją, trochę rozruszać. Czy zgoda?

— Nie mam nic przeciw waszemu „Dziennikowi” —

odpowiedział Słotnicki. — A jakie  
rozmiary?

— Nie krępuj się ilością wierszy. Dla ciebie znajdzie się  
zawsze miejsce, byle  
życie tętniało w artykułach.

— Zdaje mi się, że mnie jeszcze widok papieru i kałamarza  
rozgrzeje.

— Szybciej i więcej, niż ładna buzia? Nie wątpię o tem na  
chwilę. Więc można

przysłać jutro zrana chłopca z drukarni po rękopis? Wystarczy  
na początek ze sto  
pięćdziesiąt wierszy.

— Przyślij! Chciałbym wrócić jak najprędzej do regularnej  
roboty.

— Honorarium będziesz naturalnie brał najwyższe, jakie  
„dziennik” płaci.

— Mniejsza z tem.

— Wcale nie mniejsza. Nie widzę potrzeby do bogacenia  
wydawców. Mają i tak

zawiele. Choćbym złapał gdzie milion, nie darowałbym im ani  
grosza.

— Gdybyś złapał pół, zawiesiłbyś pióro na kołku. Żagliński  
roześmiał się.

— Albo posłałbym je do jakiego muzeum — wyrzekł — aby  
ludzie wiedzieli, że byłem

kiedyś osłem pracującym. Cóż to za idyotyczny pomysł, ta praca! A teraz — bywaj mi zdrów! Pamiętaj, jutro zrana. Przypomnisz sobie dobre czasy, gdy chłopiec zacznie bębnić do twoich drzwi. Do miłego! Ale, ale — dodał, wracając od

drzwi — czy byłeś już u prezesowej? Nie zaniedbuj tej znajomości, to wyborny kąsek. Prezesowa robi do ciebie słodkie oczy, a pan prezes kocha już tylko swoje procesy i winta. Nie bądź idyotą! Zabaw się też trochę. Romans, to zawsze ładna rzecz. Bonne chance!... Posłał koledze ręką pocałunek od ust i wyszedł z hotelu. Był w wybornym humorze: załatwił interes i przekonał się, że nie będzie miał w Słotnickim rywala. Stał na ulicy i myślał: dokądby tu iść? — Do domu nie mam ochoty, a na banalne wizyty zawsze czas. Pójdę do Andzi, na drugą czarną kawę. Ślicznie... Wsiadł do dorożki i kazał się zawieźć do jednej z primadon warszawskiej komedii. Przepędziwszy u artystki kilka godzin, odprowadził ją do teatru. Wszedł na jeden akt do Rozmaitości, na drugi do Wielkiego na kawałek opery, a kiedy wybiła godzina dziewiąta, udał się do siebie. Tu czekał już na niego Antek, wyelegantowany, z dwoma bukietami.

— Marsz na wiedeńską! — rozkazał lokajczykowi. Nie czekali długo.

Po kilku minutach wpadł na dworzec kurier berliński. Żagliński obrzucił szybkim spojrzeniem okna wagonów, uśmiechnął się i pobiegł do pierwszej klasy.

Ze stopni otwartego powozu schodziła pani Olimpia, niosąc w rękę torebkę podróżną.

Żagliński skoczył, podał pani Ostrobudzkiej ramię i pochwycił torebkę.

— Nie spodziewałam się, że pan o nas będzie tak serdecznie pamiętał — odezwała się pani Olimpia. — Dziękuję... dziękujemy...

— Jak pani mogła wątpić? Nie zasłużyłem na taką zniewagę — mówił Żagliński.

— Przepraszę jutro, gdy nas pan łaskawie odwiedzi, bo sądzę, że nie każesz na siebie długo czekać, panie Władysławie.

— Dłuższa zwłoka byłaby tyłku dla mnie stratą niepowetowaną.

Za matką wyszła z wagonu Zofia i oglądała się po peronie, jakby kogoś szukała.

Ruch ten spostrzegł Żagliński.

— Mówiłem koledze Słotnickiemu, że panie dziś Warszawę sobą zaszczycają —

wyrzekł — ale on biedak taki zajęty. Zaczął znów pracować, a w takich chwilach

zna tylko jedno towarzystwo, mianowicie papier i pióro.

Przypatrywał się uważnie Zofii, szukając na jej twarzy skutku swojego kłamstwa.

Pochyliła głowę, przygryzając usta.

— Jeszcze... ciągle? — myślał Żagliński. — Cierpliwa...

Przywołał posłańców, zajął się rzeczami, a kiedy wsadził panie do omnibusu hotelowego, podał im bukiety.

— Do widzenia, do jutra! Koniecznie jutro! — mówiła pani Olimpia, ściskając serdecznie rękę Żaglińskiego.

A kiedy powóz ruszył z miejsca, odezwała się do córki:

— Cóż to za nieoceniony człowiek, ten pan Władysław! Z takim iść przez życie, to prawdziwa rozkosz!

Zofia milczała.

## VIII.

W salonach redaktorowstwa Kostnickich było gwarno, jak w każdą niedzielę w godzinach poobiednich.

W gabinecie gospodarza, obwieszonym od góry do dołu obrazami, sztychami i fotografiami, poruszało się na małej przestrzeni kilkunastu panów, należących do różnych sfer towarzyskich. Literat siedział obok rejenta, aktor gawędził z

adwokatem, właściciel ziemski z malarzem, rzeźbiarz z dyrektorem banku.

Każdy zajął miejsce, gdzie się w szczupłym pokoiku dało pochwycić jakiś kąt —

ten na szeszlengu, ów na krześle, trzeci stanął pod piecem, czwarty oparł ramię na zrębie okna, piąty wcisnął się między biurko i szafę z książkami.

Przybyli tu wszyscy nie na czarną kawę, likiery i papierosy, gdyż mokka stygła

zwykle a tytoń palono własny. Zeszli się między obiadem a teatrem lub proszonym

wieczorem, aby posłyszeć trochę plotek miejskich, spotkać się z kimś znajomym,

pogawędzić, popatrzeć i pójść dalej.

Wędrowny tenor, skrzypek, pianista, przejezdny literat, uczony, dziennikarz, nie

omijał nigdy „czarnych kaw” redaktora Kostnickiego, wiedział bowiem, że zawiąże

w jego domu potrzebne mu znajomości, ułatwi

sobie wstęp do obcego miasta i przepędzi godzinę przyjemną.

Właśnie miał w Warszawie rozpocząć szereg koncertów jakiś słynny pianista

francuski.

Pan de Guérin, pouczony o znaczeniu zebrań u redaktora Kostnickiego, stawił się

na „czarną kawę” wraz ze swoim impresaryem i nie dał się długo prosić, gdy go

gospodarz „na ogólne żądanie” zaprowadził do fortepianu.

Trud opłaci mu się sowicie, między słuchaczami bowiem byli jego przyszli sędziowie, od których zależało powodzenie na estradzie. Młody, przystojny, dobrze zbudowany brunet, siadł przed instrumentem, poprawił gęstej, czarnej czupryny, odsunął mankiety, zmarszczył brwi, utkwiał wzrok w suficie i puścił palce po klawiszach. Grał z wielką wprawą jakąś sztukę łamaną, najeżoną trudnościami technicznymi. Recenzenci muzyczni spoglądali na siebie z zadowoleniem, potakując głowami, ilekroć dowiódł niezwykłego wyrobienia ręki. To huczał fortissimo, to pieścił się z tonami pianissimo, leciał, zwalniał, skakał, krzyczał, szeptał. Widać było, że jest panem fortepianu, że umie nim powodować, jak dobry jeździec koniem. Gdy skończył, rozległy się szybkie, głuche oklaski kilkunastu par drobnych rąk, tkwiących w długich rękawiczkach, w salonie bowiem znajdowało się najwięcej pań. Tu obnoszono herbatę, ciasta, cukierki i nie palono papierosów. W jednym z rogów, na kozetce, po za którą stała lampa, umieszczona na wysokiej podstawie brązowej, przyćmiona dużym, pąsowym, w czarne koronki przy-



branym kapturem, spoczywała prezesowa Jasinowska, a obok niej siedział na niskim foteliku Słotnicki.

— Należą się temu Francuzikowi oklaski, panie Stefanie — odezwała się prezesowa.

— Naucz-że się pan raz odrobiny uprzejmości.

— Należą, mu się oklaski od znawców — odparł Słotnicki. —

Taki profan, jak ja,

nie rozumie się zgoła na łamańcach wirtuozów. Nic ten szum pomieszanych

chaotycznie tonów do mnie nie mówi. To dla mnie nie

muzyka, lecz

prestidigitatorstwo. Za cóż więc dziękować?

— Bo tak robią wszyscy.

— Bo kłamstwo jest drugą naturą człowieka cywilizowanego, ale ja kłamać nie chcę

i nie potrzebuję. Mam dosyć, gdy patrzę na obłudę cudzą.

— Jesteście panowie, pan i Strojowski, równo grzeczni. Za co ja was tak lubię?

Słotnicki wzruszył ramionami. — Nie wiem, to już rzecz pani — odpowiedział.

Spojrzeli na siebie i uśmiechnęli się z przyjaźnią. —

Lubiłabym pana jeszcze

więcej — mówiła prezesowa — gdybyś zechciał bywać u nas trochę częściej. Trzy

razy w przeciągu dwóch tygodni, to zbrodnia. Jak można tak przyjaciół

zaniedbywać?

Słotnicki wziął z małego stolika jakieś album i przeglądając je niedbale, mówił:

— Czasu mam obecnie bardzo mało i... Zatrzymał się, spoglądając z pod czoła na prezesową.

— Proszę skończyć — zachęcała pani Jasinowska.  
— I braknie mi talentu na przyjaciela domu zkomedyi francuskiej.  
Prezesowa poruszyła się niecierpliwie.

— Jesteś pan nieznośny! — szepnęła, uderzając go lekko wachlarzem po ramieniu.

— Wiem o tem, przeto proszę się na mnie raz dobrze pogniewać.

— O to panu idzie? Właśnie, że się nie pogniewam i na dowód, że chcę się nawet nudzić w pańskim towarzystwie, proszę mi opowiedzieć o owym nowym dziale zjawisk, o którym całe miasto od tygodnia rozprawia. Narobił pan wrzawy.

Warszawa aż się trzęsie od różnych okultyzmów. Słotnicki na prawo, Słotnicki na lewo; przy obiedzie, kolacyi, w domu, po za domem, wszędzie Słotnicki. I tu.

Słyszysz pan?

Wskazała wzrokiem na towarzystwo, które obsiadło w koło duży stół z czarnego drzewa. Panie szeptały coś między sobą, spoglądając od czasu do czasu w stronę kozetki. Z przyciszonego gwaru, który wypełniał salon, podobny do brzęku pszczół w ulu, wybiegały co chwila te same wyrazy, powtarzające się ciągle: „Słotnicki”

— „Nowy dział zjawisk” — „spirytyzm” — „okultyzm.”

— Panią to bawi — odezwał się Słotnicki, widząc, że się prezesowa uśmiechała z

zadowoleniem.

— Lubię słyszeć, gdy mówią z uznaniem o tych, którym dobrze życzę —

odpowiedziała pani Jasinowska.

— Co do mnie, wolałbym już, żeby się ludzie mną mniej zajmowali. Dawniej, młodym będąc, napawałem się i ja tak zwanym rozgłosem, ale od czasu, kiedy się przekonałem, że trzy czwarte sławy robi nie zasługa, lecz pospolita reklama kupiecka, a tłum dziwuje się zarówno zręcznemu skoczkowi, zuchwałej aktorce, jak wielkiemu mędrcom, artyście lub bohaterowi, straciłem gust do doraźnego sądu opinii publicznej. Chciałbym

pracować bez rozgłosu, lecz to się, niestety, nie da zrobić. Ludzie potrzebują, zabawy.

„Nowy dział zjawisk” unosił się nad stołami i stolikami, układał czoła panów w fałdy poważne, a w oczach pań zapalał błyski ciekawe. Wkrótce zapanował bezpodzielnie nad całą gawędką, wchłonawszy w siebie wszystkie sprawy bieżące. Dotarł i do przeciwległego kąta salonu, gdzie w wygodnym, pluszowym fotelu, wśród kwiatów egzotycznych, spoczywała pani Ostrobudzka, sztywna, chłodna, słuchająca objaśnień Żaglińskiego, który stał obok niej, przechylony z

wdziękiem.

— Czy pan da wiarę — mówiła pani Olimpia — że mnie artykuły pana Słotnickiego zaczynają przekonywać. W pierwszej chwili nie sądziłem, żeby kwestye tak dziwne można postawić na gruncie czysto naukowym. Tymczasem wierzę obecnie, iż należy w istocie rozszerzyć w tym kierunku granice wiedzy. Byłoby to bardzo ciekawe,

gdyby nauka dotarła na drodze pozytywnej do tajemnic, zwanych pospolicie nadprzyrodzonymi. Prawda, Zosiu? Zofia, ubrana w jasną sukienkę z bukiecikiem róż przy staniku, zwróciła się do matki nagłym ruchem, jakby ją ktoś gwałtownie przebudził.

— Niezawodnie, mamó — odpowiedziała głosem bezdźwięcznym.

— To bardzo, bardzo ciekawe! — mówiła pani Olimpia półgłosem. — Przyznać trzeba, że pan Słotnicki umie przekonywać, gdy zechce. Zosia nie może się oderwać od jego studyum.

Żagliński patrzył jednym okiem na matkę, a drugim na córkę.

— Panią zajmują, bardzo artykuły Stefana? — zapytał, śledząc uważnie grę rysów na twarzy panny.

— Talentu i niezwykłej rutyny nie może nikt panu Słotnickiemu odmówić — odparła Zofia.

— Na talent zgadzam się — mówił Żagliński — ale co do rutyny...

Uśmiechnął się dwuznacznie i dodał:

— Odbywamy przed każdym artykułem ze Stefanem małą konferencyjkę. Oni są tacy

niezaradni ci, panowie utalentowani!

Kłamał rozmyślnie, ale pani Olimpia uwierzyła z przyjemnością.

— O, domyślałam się tego! — wyrzekła, Zofia milczała.

Jej blada twarz przedstawiała szczególny obraz. Część górna, czoło i oczy,

pogrążona w gęstych cieniach głębokiego smutku, odbijała dziwnie od dolnej, od

ust i brody, rozjaśnianej od czasu do czasu uśmiechem

konwencyonalnym osoby

dobrze wychowanej, przywykłej do słuchania rozmowy w salonie nawet wtedy,

kiedyby wolała naokoło siebie milczenie grobu.

Gdy się do niej Żagliński odzywał, odpowiadała mu ustami uśmiechniętymi, a kiedy

się zwracał do jej matki, patrzyła w stronę kozetki, na której spoczywała

Jasinowska, szeroko otwartymi, jak mgłą zaszłemi, oczami.

Powstrzymywane nakazem

woli łyzy lśniły na dnie jej źrenic, a jakieś łyzy bardzo bolesne, bardzo ciężkie,

bo wprawiały powieki w drżenie nerwowe.

Uważny obserwator byłby spostrzegł, że Zofia dobywała wszystkich sił, aby

słuchać zapytań Żaglińskiego i odpowiadać na nie tonem spokojnym, obojętnym. Nic

ją w tej chwili nie obchodził „nowy dział zjawisk,”

nic przyszłe zdobycze nauki, nic mądrość całego świata cywilizowanego.

Zapatrzona w Jasinowską, która nachyliła się do Słotnickiego z poufałością

dobrej przyjaciółki, rozbawiona, trzepocząca się, wiedziała, rozumiała tylko

prawdę jedną. Czuła w sercu okrutny ból, tak wielki, że załamywała się pod nim.

Chciała być gdzieś daleko, sama, w ciemnościach, aby móżdż zasłonić twarz, rzucić

się choćby na ziemię i płakać, płakać bez końca, ażby się ten ból w jej łzach

roztopił, albo zdeptał ją, znużył i wziął świadomość cierpienia.

Och! Jak im było dobrze razem... Pusty śmiech prezesowej dochodził aż do jej

zakątka. Z nią nie był nigdy tak swobodny. Dlaczego?...

Zofia poruszyła szybko powiekami, aby powstrzymać łzę, cisnącą się gwałtownie do

oczu.

— Może pan zechce poprosić do nas pana Słotnickiego — odezwała się pani Olimpia.

— Dowiedziałabym się chętnie od niego bliższych szczegółów.

Na usta Żaglińskiego, który zauważył bardzo dobrze cichą tragedię, rozgrywającą

się na twarzy Zofii, wypełził brzydki uśmiech.

— Uczynię, jak pani każe — wyrzekł — ale mi żal kolegi...

— Rozumiem — mówiła pani Olimpia. — Prezesowa afiszuje się z nim zbyt widocznie.

Mogłaby to robić nieco zręczniejsz.

— To podobno bardzo dawny romans — szepnął Żagliński.

Wymierzył strzał celnie. Zofia, nie mogąc znieść jego chłodnego spojrzenia, pochyliła głowę, chwytając się za poręcz krzesła, jak gdyby się broniła przed upadkiem.

— Nie posądzałam pana Słotnickiego o zdolności erotyczne  
— mówiła pani Olimpia.

— Cicha woda...

— Taki zawsze poważny...

— Ładna z nich para — odezwał się Żagliński, zwracając się do Zofii. — Dobrali się w korcu maku. On trochę ociężały, sztywny, ona zawsze wesoła i ruchliwa.

Dopełniają się wybornie.

Zofia spojrzała na niego wzrokiem śmiertelnie zranionej sarny. Jak się ten człowiek nad nią znęcał!... A on zapytał wprost:

— Prawda, pani?

Odpowiedziała bladym uśmiechem. Nie miała już siły wydobyć z siebie ani jednego słowa.

W salonie zaczęto usuwać krzesła w stronę ścian, zostawiając w środku wolne miejsce.

Wirtuoz, chcąc przykuć do siebie uwagę obecnych, oświadczył, że pokaże kilka sztuk ciekawych.

W tej chwili wszedł z gabinetu do salonu Strojowski, a przywitawszy się ze

znajomymi paniami, stanął obok dużego lustra, oparł rękę na marmurowej konsoli i przypatrywał się eksperymentom Francuza. Pan de Guérin zabawiał się w odgadywacza słów i cyfr. Jego impresario wyszedł do drugiego salonu i wrócił dopiero wtedy, gdy się towarzystwo porozumiało co do wyrazu.

Wirtuoz i przedsiębiorca stawali naprzeciw siebie, nastrzępieni, jak dwa koguty, gotowe do boju i wpatrywali się w siebie z wyteżeniem całej uwagi. Pianista, który znał wybrane słowo, zmienił po chwili postawę, mrugnął jedną powieką, następnie drugą, skrzywił usta, wysunął brodę, wlepiając ciągle swój wzrok w oczy towarzysza.

Impresario namyślał się przez kilka minut, potem odezwał się ku zdumieniu zebranych osób: *la guerre!* Był to w istocie wyraz właściwy. Gdy doświadczenie powtórzono kilka razy, zawsze z dobrym skutkiem, zabrzączał znów gwar szybkiej, pomieszanej rozmowy. Szukano przyczyny szczególnego zjawiska, przytaczano doświadczenia Cumberlanda, opowiadano sobie o cudownych objawach hipnotyzmu. Każdy chciał coś szczególnego wiedzieć; jeden mówił przez drugiego.



Po wyrazach odgadywali Francuzi cyfry w ten sam sposób,  
zastrzegłszy sobie  
jednak wyraźnie, że tajemnica ich obejmuje tylko kilkanaście  
liczb z góry  
oznaczonych. To wychodził do drugiego salonu wirtuoz, to  
jego impresario, ale  
zawsze był jeden z nich obecny przy wybieraniu zadania.  
Ożywiona rozmowa przywabiła z gabinetu resztę panów. Całe  
towarzystwo otoczyło  
cudzoziemców, podziwiając ich niezwykle zdolności. Jeden  
tylko Strojowski nie  
brał udziału w ogólnym zachwycie. Stojąc na uboczu,  
przypatrywał się ich sztukom  
zmurzonymi oczami.  
Teraz zwrócił się do pianisty i zapytał:  
— Czy panowie mogą powtórzyć eksperyment z każdą inną  
osobą?  
Francuzi spojrzeli na siebie przelotnie.  
— Niewątpliwie — odpowiedział pan de Guérin.  
— W takim razie zrobmy jeszcze raz to samo doświadczenie,  
ale pod warunkiem,  
żeby żadnego z panów nie było przy wyborze zadania.  
Powtórnie porozumieli się Francuzi szybkim spojrzeniem, ale  
poddali się bez  
oporu.  
Gdy wrócili po kilku minutach z sąsiedniego pokoju,  
odgadywali daremnie.  
Eksperyment nie udał się,

Tłumaczyli się brakiem skupienia uwagi towarzystwa  
odwróconej jakoby w inną,

stronę przez nieznaną przyczynę.

Strójowski uśmiechnął się.

— Mają pewne, prawie niedostrzeżone, ale z góry umówione znaki, którymi operują

bardzo zręcznie — wyrzekł po polsku.

Cudzoziemcy, chociaż nie rozumieli obcej im mowy, domyślili się snać

niekorzystnej dla nich krytyki, bo posłali Strojowskiemu spojrzenie niechętne. A

nie tylko oni mieli żal do sceptyka, który rozwiał urok wrzekomych czarów.

Kilkanaście par oczu zwróciło się na niego z wyrzutem.

Fala ożywionego sztucznie gwaru opadła nagle; rozbudzone zajęcie ostygło.

Chcąc naprawić swoją opinię, siadł wirtuoz nieproszony do fortepianu i zaczął

grać z niepospolitem ożywieniem i z wyrazistością jakąś transkrypcją Liszta.

— Dlaczego nam pan psuje zabawę? — szepnęła prezesowa, do której się Strojowski zbliżył.

— Gdyby się ci ludzie bawili — odparł publicysta tak samo głosem stłumionym —

nie oblewałbym ich zimną wodą, ale oni się nie bawią. Im się zdaje, że badają,

że dotrą za pomocą takich pospolitych sztuczek do źródeł niepoznawalnej.

— Mów pan ciszej, bo pan Słotnicki gotów usłyszeć i będzie awantura.

— Słyszysz, słyszysz! — odezwał się Słotnicki z uśmiechem pogardliwym na ustach —

ale awantury nie robi, bo...

— Bo nie warto spierać się z takim ciemnym wstecznikiem,  
jak ja — poddał  
Strojowski.

— Bo spór w salonie nie miałby celu między ludźmi, którzy  
mogą się na innym,  
szerszym polu rozprawić — poprawił Słotnicki.  
Mimo tego zapewnienia podniósł głowę, spojrzął na  
przeciwnika wyzywająco i  
zapytał:

— Więc kolega nie wierzy w możliwość dotarcia do źródła tak  
zwanym tajemnic  
nadprzyrodzonych?

A kiedy Strojowski milczał, mówił on dalej, ożywiając się z  
każdym słowem:

— Powiedział bardzo słusznie wielki Arago, że kto po za  
matematyką czystą  
wymawia słowo: niemożliwość, ten jest tylko nieroztropnym.

Kiedy w roku

Hughes wynalazł mikrofon, śmiał się z niego cały urzędowy  
świat uczony. Jakto?

Trzy kawałki koksu, w pewien sposób ułożone i wprowadzone  
w obieg baterii

elektrycznej z telefonem, miałyby przesyłać mowę na  
dowolną odległość? To

szarlatanizm! — wołano zewsząd. To samo powtórzyło się z  
fonografem Edisona.

Profesor Bouillaud podejrzewał robotnika, który kręcił korbą,  
o brzuchomówstwo,

nie umiejac sobie wystawić, by żelazna blaszka mogła  
naśladować przyrząd tak

genialnie zbudowany, jakim jest krtań ludzka. Jeszcze niedawno uważaliśmy mechaniczne działanie samego światła za mrzonkę, a dziś wiemy, że i to możliwe. Uczy nas tego radyometr Crookes'a. Elektromagnes Thomsona utrzymuje ciało ciężkie w powietrzu; radyofon zastępuje druty telefoniczne promieniami słońca; Edison pokazał nam, że można zapalić lampkę elektryczną pod wpływem prądów nerwowo-mięśniowych człowieka czuwającego, a zgasić ją przez samo zaśnięcie tego indywiduum. Wobec tak zdumiewających rezultatów nowszej nauki, wolnoż wątpić o jej potędze?

Słotnicki patrzył ciągle na przeciwnika błyszczącymi oczami. — Nie odmawiam nauce wielkiej przyszłości w granicach bezpośredniej obserwacji i eksperymentu — odparł Strojowski — ale nie wierzę, aby się te granice dały wysunąć poza obręb właśnie tej bezpośredniej obserwacji. Świata przeczuć i tęsknot serca ludzkiego nie wytłómaczy żaden przyrodnik, ani chemik. — Zobaczymy! — Zobaczymy! Słowo to rzucili sobie polemiści w twarz z taką, namiętnością, jak gdyby się wyzywali na pojedynek.

— Nie ma dla nauki tajemnic — mówił Słotnicki głosem drżącym ze wzruszenia —  
wszelka tajemnica jest tylko kwestią czasu. Emma Müller przybywa za tydzień do Warszawy. Wówczas zobaczymy!  
— Zobaczymy! — powtórzył Strojowski, tak samo wzburzony.  
Zamilkli, opuszczając głowy, obaj zaciętrzewieni, z wypiekami na policzkach.  
Prezesową bawiła widocznie szermierka na języki. Oczy jej, przechodzące z zajęciem od jednego publicysty do drugiego, śmiały się pusto.  
— Patrząc na was, zdawałoby się, że się śmiertelnie nienawidzicie — odezwała się  
— a przecież wiadomo powszechnie, iż tak nie jest. Nic nie rozumiem tych waszych sporów o zasady i przekonania.  
Podnieśli obaj szybkim ruchem głowy i chcieli coś równocześnie odpowiedzieć, ale spojrzawszy na siebie, cofnęli słowa, cisnące się na usta.  
— Znaczy to, że nie raczycie dysputować z białogłową..  
Prawda? Znam was doskonale — mówiła prezesowa, rozśmiawszy się wesoło. —  
Mimo tej niegrzecznej po-

gardliwości dla mojej płci, proszę panów jutro do siebie na obiad. Możecie się kłócić, ile wam się tylko podoba. Im więcej, tem lepiej. Z tą przyprawą obiad

będzie smaczniejszy. A teraz — do widzenia. Jestem dziś na operze, łoża siódma, a potem jeszcze na jakimś wieczorku. Więc do jutra, godzina piąta.

W salonach zaczęło się przeredzać. Mężczyźni wysuwali się po angielsku, kobiety żegnały się z gospodynią domu.

Gdy Słotnicki wszedł do przedpokoju, ubierał właśnie Żagliński panie Ostrobudzkie.

— Panie jadą, czy idą? — zapytał.

— Wolimy się przejść. Wieczór dziś wyjątkowo pogodny — odpowiedziała pani Olimpia.

— W takim razie pozwolą sobie panie towarzyszyć aż do bramy.

Szli wolno Nowym Światem, przeciskając się przez tłum spacerowiczów, których niedziela i ładny czas wywabiły na ulice. Mówić nie mogli wiele, bo łoskot dorożek, tramwajów i powozów, uniemożliwiał ciągłość gawędki. Gadał tylko

Żagliński, postępujący obok pani Olimpii.

— Jakże się pani nasze towarzystwo podoba? — zapytał.

— Marzyłam zawsze o towarzystwie ludzi inteligentnych — odpowiedziała pani

Ostrobudzka. — Musiałam się bez niego obywać przez długie lata, lecz teraz

używam za całą, w pustelni wiejskiej przenudzoną przeszłość. Chciałabym się

otoczyć literaturą, sztuką i nauką, ale nie wiem jeszcze, jak się do tego

zabrać. Posiadam dotąd zamało stosunków i znajomości.

— Nie sędzę, żeby pani zebranie miłego kółka sprawiło trudność.

— Na to potrzeba czasu.

— Moznaby sobie to ułatwić.

— Podziękowałabym za dobrą radę.

Żagliński zbliżył usta do ucha pani Olimpiii i mówił szeptem:

— Wystarczy wydać pannę Zofię za jakiego literata lub wpływowego dziennikarza i rzecz zrobiona. Zięć otworzy dom dla swoich stosunków i zajmie odrazu wybitne stanowisko w towarzystwie.

Swatana tak bez ceremonii Zofia, szła tymczasem obok Słotnickiego, pogrążona w milczeniu. I on mówił mało.

Kiedy zbliżali się do Alei Jerozolimskich, w których panie Ostrobudzkie

zajmowały mieszkanie meblowane, zwróciła panna twarz do towarzysza i odezwała się głosem nieśmiałym:

— Tak rzadko mamy przyjemność widywać pana u siebie.

— Jestem w tych czasach bardzo zajęty, a potem...

— A potem?...

— Przepraszam z góry za zbyteczną w świecie szczerłość, ale skoro mnie pani pyta...

Ustał powtórnie.

— Proszę o szczerłość! — szepnęła Zofia.

— Wiedząc, że mnie pani Ostrobudzka nie lubi, nie chcę się narzucać.

— Dlaczego się pan nie stara o przyjaźń mamy? — zapytała Zofia, podnosząc oczy do Słotnickiego.

Dlaczego? — Prostu dlatego, że mu względy pani Olimpii były obojętne, że nie uważał za potrzebne przymuszać się do towarzystwa kobiety niesympatycznej... Ale

taką odpowiedzią nie chciał zranić serca córki.

— Tak mało mam czasu — odparł wymijająco.

— Każdy pracownik powinien dawać folgę głowie i nerwom, odpoczywa się zaś

najmilej w gronie osób... życzliwych — mówiła Zofia,

podkreślając wyraz ostatni

ciepłym głosem.

Stali właśnie przed bramą domu.

— Czy wolno mi prosić, aby pan częściej o nas pamiętał? —

pytała Zofia z

nerwowym pośpiechem.

A kiedy się Słotnicki nad odpowiedzią zastanawiał, rozpięła

szybko okrywkę,

oderwała niespokojną, drżącą ręką od stanika bukietik róż i

podając mu go,

mówiła głosem, pełnym łez tłumionych:

— Kupcom daje świat pieniądze, urzędnikom orderzy

dypłomatom godności i tytuły,

bohaterom purpurę, a wam, autorom, należą się kwiaty i...

Nie dopowiedziała reszty, gdyby jednak Słotnicki był w tej

chwili spojrział

uważnie w jej oczy, byłby w nich wyczytał dopełnienie

urwanego zdania. Cały



poemat gorącej, uległej miłości wołał do niego: „i miłość kobiet.. Rozkazuj mi, albowiem twoją jest każda kropla krwi mojej. Kochaj mnie!...”  
Lecz on, biorąc bukiet, ukłonił się tylko uprzejmie, jak ktoś, któremu ofiarują rzecz zwykłą. Tyle już razy wynagradzały kobiety jego trud kwiatami!...  
— Pan będzie o nas pamiętał? — wyrzekła Zofia, podając mu rękę.  
Powtórzył niemy ukłon.  
W tej chwili nadszedł Żagliński z panią Olimpią.  
— Może panowie zechcą przyjąć u nas filiżankę herbaty? — zapraszała pani Ostrobudzka.  
— Służyłbym chętnie — odparł Słotnicki — ale mam jeszcze dziś sesję.  
— Prawdopodobnie z prezesową — odezwał się Żagliński, spoglądając na Zofię.

— U pani Jasinowskiej będę jutro na obiedzie, dziś zaś obiecałem się Chojnackiemu i Powalskiemu. Obmawiamy środki kontroli dla zjawisk medyumicznych.  
— Ale pan nas nie opuści — mówiła pani Olimpia do Żaglińskiego.  
— Ja, pani? Wolałbym raczej poświęcić wszystkie sesje na świecie, aniżeli pozbawić się przyjemności przepędzenia choćby chwili dłużej z paniami — odparł Żagliński.

Mieszkanie pań Ostrobudzkich składało się z pięciu pokoi, umeblowanych z komfortem. Gdy Żagliński przyłożył palec do guzika dzwonka elektrycznego, otworzył drzwi lokaj, przywieziony ze wsi do Warszawy. — Podasz herbatę! — rozkazała pani Olimpia. Przeszedłszy duży salon, znaleźli się w buduarze, zastawionym meblami, wybitymi jasną materią. Było tu wszystko miękkie, niskie, filigranowe. W jednym z rogów, na słupie marmurowym, paliła się lampa, przyćmiona jedwabnym, kremowej barwy abażurem. Szelest kroków przygłuszał perski kobierzec, zasłaniający całą posadzkę. — Będzie nam tu wygodniej — odezwała się pani Olimpia, gdy służący odebrał kapelusze i okrycia. — Jeżeli panu trudno obyć się bez papierosa, pozwalam wypalić dwa, najwyżej trzy. — Uczyniłbym to tylko w takim razie, gdyby i pani, tak dla mnie łaskawa, raczyła się otoczyć niebieskim dymkiem — mówił Żagliński. Zamiast odpowiedzi, podała mu gospodyni srebrną papierośnicę. Usiedli obok siebie, ona na bladoniebieskiej kozetce, on na wygodnym fotelu.

— Pan Słotnicki mógłby być dla sąsiadek nieco uprzejmiejszym — wyrzekła pani Olimpia, zapaliwszy papierosa.

— Tak zwanym ludziom utalentowanym należy wybaczyć ich dziwactwa. Wszakże myślą, czują i cierpią za miliony!...

Mówiąc to, wzruszył Żagliński ramionami.

— Zabawni! — dodał. — Jakby to myślenie i cierpienie za miliony musiało być koniecznie niegrzeczne!

— W istocie, tym panom zdaje się, iż służą im wyjątkowe przywileje.

— Gdyby ich tak płeć piękna nie psuła...

— Do nas się ten zarzut nie odnosi. Płacimy mu za obojętność tą samą monetą.

— Bo też panie należą do natur wyjątkowych, umiejących się poznać na ludziach.

Ale takich niewiele...

Bardzo miły uśmiech pani Olimpii podziękował Żaglińskiemu za to niemądre

pochlebstwo. Ale jemu nie szło wcale o uznanie matki. Słowa swoje skierował w inną stronę, czekając na ich skutek.

Nie doczekał się niczego. Zofia, wcisnąwszy się w najciemniejszy kąt buduaru, milczała.

Nawet jej twarzy, odwróconej w stronę okna, nie mógł dostrzedz.

— Gdyby panie wiedziały, jak się nasze artykuły robią — odezwał się po chwili —

możeby nas mniej uwielbiały. Są książki, materiały, źródła, z których się czerpie.

Teraz odezwała się Zofia.

— Książki, materiały, źródła — mówiła — są dla wszystkich dostępne, a mimo to

potrafi niewielu z nich umiejętnie korzystać. Nawet dobra kompilacja wymaga

niepospolitych zdolności, a cóż dopiero studium samodzielne. Nie trudno zresztą odróżnić zwykłej roboty dziennikarskiej od dzieła talentu , gdy się trochę czytało.

— Niezawodnie, zapewne! — mruknął Żagliński, przygryzając dolną wargę.

Nie podobała mu się odpowiedź Zofii.

— Gniewa się, broni go — pomyślał — to źle; nie spodziewałem się po niej tyle samodzielności. Poczekaj rybko, już ja cię wezmę na twoją uczoność i zazdrość.

— Zwłaszcza dziś potrzeba dużo bystrości i daru krytycznego

— wyrzekł — aby

wydostać się obronną głową z labiryntu różnych hipotez.

Można naprawdę zgubić

nić przewodnią, gdy się nie pilnuje dobrze pięciu klepek.

Naukowe wytłómaczenie

medyumizmu nie należy do zadań łatwych.

— Przyznaję się, że nie wszystko dotąd rozumiem —

odezwała się pani Olimpia. —

Gdyby pan nas zechciał ustnie objaśnić! Żywe słowo

przekonywa zawsze lepiej od

druku.

Żagliński czekał tylko na to wezwanie. Wczytując się od kilku dni w artykuły

Słotnickiego i przysłuchując się dysputom innych okultystów, znał w ogólnych

zarysach ich teorye.

— Medyumizm, traktowany ze stanowiska naukowego —  
wykładał — polega poprostu na  
tym fakcie, że się człowiek nie kończy na powierzchni ciała.  
Fakt ten, dziwny  
dla fizyologa pozytywnego, a głoszony już przez Paracelsa i  
Van Helmonta, jest  
mimo to nawskróś pozytywnym. Wiadomo paniom, że  
niektóre osoby, uśpione snem  
magnetycznym, przedstawiają taką szczególną drażliwość, że  
nie znoszą zbliżenia  
się osób obcych, oprócz

magnetyzera. Nie widzą, nie słyszą osoby zbliżającj się, ale  
gdy ta dochodzi do  
nich, niepokoją się, dostają, drgawek, drżą na całym ciełe, z  
czego najnowsza  
nauka słusznie wnioskuje, że ciało ludzkie otacza rodzaj mniej  
lub więcej  
subtelnej atmosfery natury nerwowej. Okultyści  
przypuszczają, iż zasób siły  
żywej, który w stanie normalnym jest czynnym w obrębie  
organizmu, w stanie  
anormalnym rozlewa się na ową atmosferę organiczną. Idąc  
dalej w raz wytkniętym  
kierunku, twierdzą nowsi badacze, że dzięki owemu otoczeniu  
eterycznemu, które  
wszystko wypełnia i wszystko łączy, może się cały człowiek  
myślący, czujący i  
wywołujący ruchy, przedłużyć po za granice swojego ciała.  
Teorya to pozornie

dziwna, ale dziwnymi były także kiedyś tak zwane stygmaty, uznane dziś jako naturalne zjawiska fizyologiczne. Idąc jeszcze dalej, dochodzimy do wniosku, że: wyobrażenia, uczucia, popędy i ruchy danego osobnika pozostawiają swoje ślady na przedmiocie, na który uwaga jego była przez pewien czas skierowana lub który dłuższy czas nosił przy sobie. Wysnuwając w końcu ostateczny rezultat z powyższych przesłanek, wierzymy, że: wyobrażenie zmysłowe może, w pewnych wyjątkowych warunkach, urzeczywistnić swoją treść ze wszelkimi pozorami przedmiotowości. Ostatnie zdanie wygłosił Żagliński szybko, nauczywszy go się bowiem dopiero dziś rano, nie był pewny, czy je dobrze powtórzył. Nie był w ogóle pewny wszystkiego, co mówił, nie rozumiejąc połowy ciemnej frazeologii okultystycznej; mimo to zakończył głośno tonem przekonanym: — Tylko w taki sposób dadzą się wytłómaczyć naukowo zjawiska medyuniczne.

— Rzecz prosta, rzecz prosta! — potwierdziła pani Olimpia, chociaż i ona nie ogarniała myślą całej teorii. Wolą kłamać, niż przyznać się do nieznajomości przedmiotu.

Zwycięsko spojrział Żagliński w stronę Zofii, ale zawiódł się  
powtórnie. Myślał,  
że ujrzy twarz zarumienioną od ciekawości, oczy, wpatrzone  
w niego uważnie,  
uśmiech podziękowania.  
Zofia, odwrócona ciągle do okna, nie dawała najlżejszego  
znaku zainteresowania.  
Wciśnięta w głąb fotelu, z rękoma splecionymi na łonie, nie  
brała udziału w  
rozmowie.  
Bo nie medyumizmem zajmowały się w tej chwili jej myśli.  
Cóż ją mogły obchodzić:  
wydłużania się człowieka po za powierzchnię ciała, atmosfery  
organiczne,  
łączniki eteryczne, magnetyzmy, hipnotyzmy, stygmaty,  
wyobrażenia zmysłowe,  
przesłanki i wnioski, coż cały świat niezbadany, kiedy jej w  
granicach zbadanego  
było źle, kiedy ją całe otoczenie bolało, męczyło? Jeden uścisk  
tego, którego  
kochała, znaczył dziś dla niej więcej, aniżeli cała mądrość lat  
tysięcy. Bo coż  
to za mądrość, która nie umie ochłodzić młodej krwi,  
znieczulić serca, rozwiać  
marzeń dziewiczych? Niechby sobie jej nie było, byleby ona  
doznawała  
upragnionego szczęścia...  
Egoizm miłości zabił w Zofii studentkę uniwersytetu. Już  
nawet nie przywoływała  
na pomoc doktryn i formułek pozytywnych; nie pytała się,  
dlaczego kocha i  
dlaczego właśnie jego, którego obojętność ją obrażała.  
Spętana, ślepa, głucha,

oddawała się bezwolnie bolesnemu, a mimo to słodkiemu uczuciu, niem tylko żyjąc.  
Rozumiała dopiero teraz znaczenie słowa mikrokosmos, tworzyła bowiem w sobie dla siebie świat zamknięty. W tej chwili posiadało całe otoczenie zewnętrzne dla niej

tylko o tyle wartości, o ile się z jej pragnieniami zgadzało. Kiedy Żagliński wykladał teorię medyumizmu, Zofia przymknęła powieki i marzyła. Głos mówiącego dochodził do niej, jak echo dalekiego szumu. Nic nie słyszała...  
Przeto podniosła głowę nagłym ruchem, gdy ją, dziennikarz wprost zapytał:  
— Czy pani pojmuje medyumizm tak samo, jak ja? Medyumizm? Co to takiego? Jakże ją ludzie męczyli! Czego oni chcą od niej?  
Dlaczego zwracają się do niej ciągle z temi śmiesznymi frazesami?  
Podniosła się i zbliżywszy się do kozetki, wyrzekła:  
— Przepraszam, że panu dziś nie odpowiem, ale mi migrena dokucza. Mama pozwoli, -że się oddalę.  
Szybko zerwał się Żagliński z fotelu.  
— Herbata z cytryną, robi pani dobrze — zawołał. — Właśnie podają.  
— Dziękuję, najlepiej zrobi mi wypoczynek. U państwa Kostnickich było tak gorąco! Głowa mnie rozboleła...



I nie czekając na przyzwolenie pani Olimpii, skłoniła się lekko Żaglińskiemu i odeszła do swojego pokoju. Białe światło niebieskiej lampy nocnej kładło przejrzyste cienie na kobierzec i na białe, muślinową firanką zasłonięte łóżko. Zofia, stanąwszy na środku sypialni, oglądała się naokoło, szukając czegoś po ścianach, jak temu kilka miesięcy w Ostrobudkach. Nie znalazła nic... Stara niańka nie zawiesiła tu ani krzyża, ani podobizny Matki Bożej. Nie było o co zacząć serdecznego bólu, który

wołał o pomoc, silniejszy od chłodnego krytycyzmu nabytej wiedzy.

Zofia zbliżała się do łóżka krokiem niepewnym. Wahala się przez chwilę, potem zgięła szybko kolana i szepnąwszy po raz pierwszy od lat kilku z głębi duszy:

„Boże, Boże!...” — ukryła twarz w poduszkach i wybuchnęła głośnym płaczem.

Nieszczęśliwa składała u stóp najlepszego Pocieszy ciała nieszczęśliwych pierwsze swoje łzy gorące...

IX.

W kilka dni potem dowiedziała się Warszawa „radosnej dla nauki nowiny.”

Tak zapewniał Żagliński przy pomocy swoich reporterów równocześnie w pięciu gazetach.

Bo oto zaszczyciła gród syreni przyjazdem swoim Emma Müller, rozgłośnie w Niemczech medyum, obserwowana w Berlinie i w Dreźnie przez znakomitych, całemu światu cywilizowanemu znanych psychologów, czy fizyopsychologów. Badał ją wielki Langner, oglądał większy Kronitz, nałożył na nos trzy pary okularów największy Eulenheim, kiwali wszyscy mądrymi głowami i oświadczyli po długich, subtelnych sporach, że pani Müller rozporządza jakąś siłą tajemniczą, której oni, chociaż słyszą, jak trawa rośnie, nic a nic nie rozumieją. A nużby się mędrcom warszawskim udało odkryć owo coś? Byłby to tryumf, godzien wysiłku kilkudziesięciu głów utalentowanych. Europa-by o nich nareszcie mówiła, cytowałiby ich profesorowie z katedr paryskich, londyńskich, rzymskich, nazwisk ich uczyłyby się na pamięć pensyonarki japońskie. Za taką cenę warto narazić się, chociażby na pośmiewisko niewiernego motłochu.

Pani Emma Müller nie przybyła sama. Płynął nad nią w powietrzu, nad pociągiem

kolei żelaznej, August Schultze, jej duch służebny, skazany przez władców pozagrobowych na dozgonnego towarzysza cudotwórczym. Me potrzebował on ani paszportu, ani biletu, ani pieniędzy, mieszkańcy bowiem innych światów obywają się doskonale bez pęt i hamulców tej ziemi.

Żagliński, który znał się wybornie na „sztuce robienia huczku” i wiedział z

długoletniego doświadczenia, że nawet geniuszowi trzeba pomódz do rozgłosu,

zajął się natychmiast prezentacją Emmy Müller.

Pierwszego dnia dowiedziała się Warszawa, że „pani Müller, nie przywykła do

naszej zmiennej aury, uległa silnemu katarowi,” drugiego — że „pani Müller

wypiła raz po razie cztery filiżanki herbaty, zaprawionej czerwonym winem;”

trzeciego — że „pani Müller ma po za sobą bogatą biografię, wypełnioną od góry

do dołu ciekawymi romansami;” czwartego — że „pani Müller zaczyna się nam

uważnie przypatrywać” i t. d. Pani Müller rano, pani Müller wieczorem, ciągle

pani Müller. Po tygodniu była Emma Müller na ustach całego miasta. Mówiono o

niej w salonach i w szynkach, w redakcyach i sklepikach, w gabinetach i w

buduarach, na ulicy, w tramwajach, w teatrach, w hotelach. Müller... Szultze... medyumizm... siła tajemnicza... spirytyzm... Słotnicki...

Żagliński... „Dziennik”... nowy dział zjawisk...

Słowa te i nazwiska unosiły się nad Warszawą. z krzykiem  
wędrownego ptactwa,  
wpadały w uszy wszędzie, wciskały się wszystkimi  
szczelinami do komórki  
pamięciowej. Wygane jednym uchem, wchodziły drugim,  
natrętne, wrzaskliwe.

Gdy w ten sposób przygotowany „ruch naukowy” zwrócił na  
siebie powszechną uwagę,  
zaczęło się „prawidłowe badanie.”  
Emmę Müller otoczyło grono osób różnych zajęć i przekonań.  
Jej przednią straż,  
jej wierną gwardyę przyboczną, utworzyło kilku rozbitków  
byłego stronnictwa  
pozytywnego, wnoszących do eksperymentów największego  
ich wroga, bo gorącą chęć  
uwierzenia wtajemniczą siłę cudzoziemki. Słotnicki, Powalski  
i Chojnacki  
przystępowali do studyów z łatwowiernem sercem ludzi  
uczciwych, posądzających  
bliźniego niechętnie o rozmyślne oszustwo.  
Obok tych przekonanych, stanęli sceptycy, zachowujący się  
biernie, gotowi  
przeczyć lub twierdzić, stosownie do rezultatu badań.  
Do zrozpaczonych i ciekawych przyłączył się w końcu zwykły  
ogon karyerowiczów,  
którzy czyhają ciągle na sposobność wydobyć się tanim  
kosztem po nad szary  
tłum miernot.  
Uczepili się oni oburącz „nowego działu zjawisk,” aby na  
barkach Emmy Müller

wypłynąć na wierzch, zabłysnąć, pochwycić rozgłos, choćby  
za kraj jego lotnej  
szaty.

Gdy się grono „badaczów” zaokrągliło, dowiedziała się znów  
Warszawa przez  
„sylfów” Żaglińskiego, że „pani Müller, przywykły już do  
naszej zmiennej aury,  
czuje się wybornie usposobiona do transu i rozpocznie  
zadziwiać niedowiarków  
niezwykłymi zjawiskami.”

Pierwszy seans odbył się w mieszkaniu Chojnackiego.

W dużym pokoju zasłonięto szczelnie wszystkie okna, August  
Schultze bowiem nie  
znosił, podług zape-

wnień medyum, jaskrawości światła. Jak duchy wiary  
gminnej, żył i on tylko w  
ciemnościach, tracąc w blaskach dziennych moc i swobodę  
ruchów. Zgodził się  
jedynie na małą lampę i kazał ją, ustawić za czerwoną, kotarą,  
za ekranem.

Różowe półcienie, tułające się po kątach, przypominały mu  
widocznie ognie  
piekielne.

W salonie panowała cisza oczekiwania. Na krześle, przy  
podłużnym stole z drzewa  
lipowego, przy końcu wąskim, usiadła Emma Müller, duża  
Niemka, o rysach  
pospolitych, z rękami dziewczki wiejskiej, z szeroką, kościstą  
twarzą germanki z

gminu, zdrowa, silna, stworzona do cebra i wideł. Obok niej, z dwu stron, zajęli miejsce kontrolerowie Słotnicki i Żagliński, a dalej, naokoło stołu, spoczywała reszta towarzystwa.

Badacze siły tajemniczej trzymali ręce na stole, tworząc łańcuch jednolity.

Kontrolerowie, chcąc uniemożliwić Emmie Müller wszelkie ruchy podejrzane, złożyli swoje ręce na jej rękach i oparli swoje nogi na jej nogach.

W ten sposób obezwładniona, nie może sobie pomagać zwykłymi środkami mechanicznymi — sądzą i wierzą.

Nic nie mąciło zrazu ciszy grobowej. Najbliższy szelest nie podrażnił ciekawości. Skupieni, milczący, z powstrzymanym oddechem, zapatrzeni przed siebie, czekali uczeni i dyletanci na objawy.

Minuty wlokły się tak wolno, że zdawały się im godzinami.

Czuli z każdą chwilą

rosnące zmęczenie nerwowe, jakąś senność, jakieś tępienie organów, ale nie

śmieli zmienić niewygodnej postawy, aby nie spłoszyć transu medyum.

August Schultze nie dawał o sobie żadnego znaku...

Chojnacki, nie wpleciony do łańcucha, zbliżył się do fortepianu, usiadł i zaczął

wydobywać z klawiszów miękkie, słodkie akordy preludium Chopina. Powiewna

melodya zlała się z ciszą i z różowemi półcieniami,  
wytwarzając atmosferę, pełną  
tajemniczości mistycznej.

Wtem...

Coś stuknęło w krzesło Emmy Müller. Lekkie, prawie  
niepochwytnie stuknięcie

powtórzyło się i odezwała po raz trzeci, czwarty...

— Zaczyna się... — szepnął Chojnacki.

— Ciiicho! — mówił Słotnicki, tak samo głosem stłumionym.

— Nie przeszkadzajcie!... — dodał Powalski. Przeto zdziwili  
się wszyscy, gdy

nagle medyum

zawołało:

— Proszę mówić głośno. Niech panowie rozmawiają, albo  
lepiej co zaśpiewają.

— Śpiew i muzyka pomagają transowi — objaśnił Chojnacki.

— Zaśpiewajmy coś

powszechnie znanego, np. Santa Lucia.

— Niech będzie Santa Lucia! — zawtórowano wokoło.

Zwyczajni śmiertelnicy, przywykli łączyć z godnością

uczonego powagę i głębokie

zamyślenie, mieliby ciekawe widowisko. Bo oto zaintonowali  
badacze siły

tajemniczej, ludzie dojrzali, pieśń włoską, maltretując ją  
niemiłosiernie. Bas

mruczał zanisko, baryton z tenorem wyciągali głos zawysoko,  
a wszyscy

falszowali, jak przystało na mędrców, nie obytych z nutami.

— Święta Lucy...y...y...jaa!... — wlokło się nad stołem.

August Schultze lubił widocznie złodźwieczne próby wokalne,  
zaledwo bowiem

„Święta Lucya" odwróciła

uwagę od jego pani, dał kilka wyraźnych znaków swojej obecności. Medyum, dotąd spokojne, zaczęło się na krześle kręcić, poprawiać; wyprężyło się, przechylało się, to w tę, to w ową stronę, wzdychało, jęczało.

— Trans! — zawołał Słotnicki głosem uradowanym.

— Trans! — powtórzył za nim Chojnacki.

— Uważać na dolne kończyny! — odezwał się jeden ze sceptyków.

— W razie podejrzanых ruchów zapalić szybko zapałkę — dodał drugi.

— Niech Bóg broni przerywać łańcuch — mówił Chojnacki.

— Medyum mogłoby wasze niedowiarstwo ciężko odpokutować.

Badacze śpiewali dalej, a medyum hałasowało coraz głośniejsze na krześle.

Słotnicki, zachwycony zwiastunami objawów, zapomniał o ścisłej kontroli. Drżąc z niecierpliwości, nie śledził z należytym spokojem ruchów pani Müller.

Zadawał się tem, że czuł ciągle jej ręce i nogi. Ciemności zresztą nie

sprzyjały wcale ścisłej obserwacji. Ale czuwał za niego i za siebie Żagliński.

Nie śpiewał, nie rozmawiał, lecz przysunąwszy się, o ile się dało najbliżej

medyum, słuchał uważnie.

Wtem zaczął stół skrzypieć, jak gdyby go ktoś przesunął, a równocześnie odezwała

się Emma Müller:

— Trzymać ręce lekko, proszę, lekko, nie tłoczyć!



— Lewitacya, lewitacya! — zawołał Słotnicki.  
Stół uniósł się, zawisł jedną nogą w powietrzu i opadł.  
Ktoś ze sceptyków schylił się szybko w stronę nóg Emmy  
Müller, ale znalazł je na  
swojem miejscu.  
— Bójcie się Boga, nie przerywajcie łańcucha! —

zawołał Chojnacki. — Tu idzie o życie kobiety! To nie żarty!  
— Nie psujcie transu swoim niedowiarstwem — odezwał się  
Słotnicki — spłoszycie  
objawy wyższe. W otoczeniu niesympatycznym, zbyt  
podejrzliwym, traci medyum  
swoją moc i nic nie zobaczymy!  
Badacze znów śpiewali, cudotwórczym znów wzdychała i  
stękała, przygotowując się  
do nowego ataku.  
Po kilku minutach powtórzyła się lewitacya. Stół uniósł się  
tym razem na dwóch  
nogach i runął po kilka sekundach z łoskotem na posadzkę.  
— Czujecie górne i dolne kończyny? — pytali sceptycy.  
— Czujemy! — odpowiedzieli kontrolerowie. Medyum  
poprosiło o chwilę  
wytchnienia.  
Kiedy wniesiono światło, dostrzeżono na twarzy Emmy  
Müller ślady widocznego  
wysiłku: była blada, ręce jej drżały, oddech miała ciężki...  
Zaszumiało w salonie. Dwóch młodych lekarzów przystąpiło  
do Emmy Müller i  
podało jej puls badaniu. Następnie obejrzelili jej oczy, język,  
muskęły, opukali  
klatkę piersiową, zapisując skrzątnie rezultaty donotatników.

— Stan histeryczny! — wyrzekł jeden z nich z poważnym marsem na czole.

Drugi rzucił jakąś uwagę, nie zgadzającą się z twierdzeniem pierwszego i zaczął się spór uczony.

Słotnicki, Powalski, Chojnacki i kilku spirytystów, utworzywszy zamknięte kółko, roztrząsali dostrzeżone objawy.

Byli wszyscy rozgorączkowani, mówili szybko, gestykulowali żywo.

— Czy widziałeś?...

— Uważałeś, jak ją czkawka męczyła?

— Jak tężała...

— Jak rzucała się na krzesło?...

Zapytania bez odpowiedzi mieszały się z sobą, zlewając się w szum słów urywanych.

— Więc to prawda!...

— Nie ulega żadnej wątpliwości...

— Jest w człowieku siła niezbadana...

— Dotrzemy do niej, dotrzemy, tylko cierpliwości...

— Nauka pozytywna nie zbankrutowała...

Do grupy uradowanych wiernych zbliżył się jeden ze sceptyków, znany w Warszawie lekarz.

— No, i cóż, doktorze? — zapytał Słotnicki, z błyskami tryumfu w oczach.

— No, i nic — odparł spokojnie profesor medycyny.

— Jako nic? — zawołał Chojnacki.

— Małoż wam jeszcze dowodów? — dodał Powalski.

— Jakich dowodów? — mówił chłodno słynny doktor.  
— Jakich? Lewitacya odbyła się bez pomocy mechanicznej.  
Widzieliśmy wszyscy —  
wyrzekł Słotnicki.  
— Panowie widzieli?  
— Rozumie się, że widzieliśmy.  
— To szczególne — cedził profesor przez zęby — bo ja,  
aczkolwiek mam doskonałe  
oczy, nie widziałem nic oprócz ciemności. Do wszelkiej  
kontroli potrzeba  
nasamprzód pełnego światła, a potem zimnej krwi. Lampy  
zagasił lokaj pana  
Chojnackiego, krew zaś panów rozpałała chęć ujżenia rzeczy  
upragnionych.  
— Trzymałem ją za rękę i nie pozostawałem ani chwili bez  
kontaktu jej nogi —  
odezwał się Słotnicki.  
— Redaktor tego pewny?

— Jak najpewniejszy, profesorze.  
— Zdumiewa mnie ta pewność. Co do mnie bowiem,  
widywałem w pełnem oświetleniu  
różne produkcyje kuglarskie, o których wiedziałem, że  
polegają na złudzeniu  
zmysłów lub na zręczności, a mimo to nie umiałem sobie zdać  
z nich sprawy.  
— Więc profesor sądzi, że ona oszukuje? — zawołał  
Chojnacki z taką  
gwałtownością, jakby bronił honoru serdecznego przyjaciela.  
— Nic nie sądzę, dopóki się tak lub owak nie przekonam —  
odparł doktor —

twierdzą tylko, że doświadczenia, odbyte w takich warunkach, nie mają celu.

Wiadomo panom, że ucho, smak, powonienie, czucie nawet, pozbawione kontroli oka, podlegają licznym złudzeniom, z których korzysta od wieków magia czarna i biała.

Opowie panom o tem pierwszy lepszy podręcznik kuglarstwa. Emma Müller, chociaż nierozumiała języka polskiego, przysłuchiwała się bardzo uważnie dyspacie badaczy. Jej bystre oczy przechodziły z twarzy na twarz, usiłując odgadnąć treść sądów w obcej dla niej mowie. Snać odgadła ze spokojnych gościw profesora i z jego niewiernego uśmiechu uwagi dla niej niekorzystne, bo spojrzała na sceptyka niechętnie.

Gdy Słotnicki przystąpił do niej i wytłómaczył jej zarzuty doktora, oświadczyła, że August Szultze zgadza się czasami na trochę więcej światła, ale nie zawsze.

Można jednak spróbować...

— Raczcie mnie panowie nareszcie objaśnić, co to takiego ten August Schultze, o

którym medyum ciągle mówi? — zapytał profesor.

— O, to bardzo proste! — tłómaczył Słotnicki. —

Twierdzenia pani Müller, jakoby ów August Schultze był

wysłańcem innych światów, przydanym do jej boku w celu przekonania niewiernych o

istnieniu tajemnic pozagrobowych, zaprawdę oczywiście przyjąć nie możemy. Takie wyjaśnienie starczy dla motłochu, ale nie zadawalnia fachowych badaczy. Zdaniem mojem, jest ów August Szultze, czyli tak zwany „duch,” tylko sugestią, która wydzieliła z bezwiednych sfer duszy Emmy Müller pewną grupę asocjacji, odpowiadających jako tako pojęciu mężczyzny. Osobistość Schultzego nie ma żadnych granic indywidualnych, rozpływa się ona, to w jednym, to w drugim kierunku, rozszerza się, kurczy, przekształca, wzbogaca w wiedzę i ogranicza, uduchowia się i ordynarnieje, bez żadnej wewnętrznej konsekwencji, zachowując tylko pewien typ ogólny, wynikły ze skombinowania się sugestii jakiegoś może nauczyciela, czy doradcy medyum, jako ziarna, z charakterem Emmy Müller, jako gruntem, na który ziarno to padło. Idzie nam właśnie o to, aby wyjaśnić możliwość dotykanej eksteryoryzacji takich rozszczepień duchowych. Słotnicki mówił wolno, z namysłem, jak ktoś, co wysnuwa z siebie z trudem myśl, której nie jest jeszcze panem. Wierni i niewierni, ciekawi i obojętni, słuchali go uważnie. Gdy skończył, spojrzeli po sobie niepewno. Oczy ich mówiły, że nie zdawali sobie dokładnej sprawy z tego, czego się dowiedzieli, ale nikt nie miał

odwagi pomódz sobie zapytaniem. Jeden tylko doktor odezwał się:

— I to nazywa redaktor prostem tłumaczeniem?

— Tak mi się zdaje — odparł Słotnicki.

— W takim razie czas mi już chyba na drugi świat, bo waszego nowego języka nic a nic nie rozumiem. Suggestya, która, wydzieliwszy z bezwiednych

sfer duszy Emmy Müller pewną grupę asocjacji, zmateryalizowała się, czy tam coś innego; możliwość dotykanej eksteryoryzacji rozszczepień duchowych, jeżeli się dobrze wyraziłem — to dla mnie hieroglify. Stary już jestem widocznie i głupi, kiedy waszych prostych wyjaśnień nie rozumiem.

— Ależ profesorze — mruknął Słotnicki.

— Przyznaję się, padam w proch przed waszą, mądrością — mówił doktor, schylając się z komiczną pokorą — nie mnie, staremu niedoładze, lecieć na takie wyżyny uczości. Ale eksperymentujmy dalej. Zobaczymy.

Emma Müller, wypocząwszy dostatecznie, pozwoliła umieścić w gabinecie,

przytykającym do salonu, lampę i uchylić cokolwiek jednego skrzydła podwojów.

— Nie wiem, czy się August Schultze na to zgodzi — mówiła po niemiecku, zajmując swoje miejsce — ale spróbujmy.

I utworzono powtórnie łańcuch z rąk, złożonych na stole.

Czekano tym razem

dłużej na objawy: Schultzego raził pasek światła, rysujący się na posadzce długą, ku środkowi salonu coraz szerszą, smugą. I znów grano na fortepianie, rozmawiano głośno, tu i owdzie zaśmiał się jakiś dowcip, wybiegający z grona sceptyków.

Emma Müller zaczęła się powoli ruszać na krześle.

— Schultze, Schultze skrada się chyłkiem! — szepnął ktoś.

— Dalibyście pokój figlom! — wyrzekł Słotnicki. —

Czekajmy spokojnie, bo nie dowiemy się niczego.

Kiedy się badacze siły tajemniczej dobrze znudzili i pomęczyli, zmiłował się nad

nimi August Szultze. „Wcielenie sugestyi, wydzielające z bezwiednych sfer duszy

Emmy Müller szereg asocjacji," przejawiało się

nasamprzód w formie szelestów, wzdychań i czkawki. Potem nastąpiły ruchy gwałtowne, coraz gwałtowniejsze, w końcu stół się uniósł i opadł prawie w tej samej chwili.

— Widzę wydymanie się spódnicy w stronę lewej nogi stołu

— odezwał się profesor.

Dwaj młodzi lekarze zapisali natychmiast ciekawy szczegół, a Słotnicki zawołał z

gniewem:

— Na Boga! Niech doktor nie przeszkadza! Kto widział tak doświadczać?

— A jak inaczej? — zapytał niedowiarek. — Może zawiązać jeszcze oczy chustką,

aby nawet tego paska światła nie widziały?

— Wszakże kontrolujemy...

— A co czujecie?

— Wszystko w stanie normalnym.

Za siebie tylko mówił Słotnicki, bo Żagliński, nie biorący zupełnie udziału w

rozmowie, zaczął być innego zdania. I on zauważył

„wydymanie się spódnicy” i

dziwił się nerwowości Emmy Müller. Ręka jej, spoczywająca pod jego dłonią, była

w ciągłym ruchu. Kurczyła się, wyprężała, podnosiła,

przesuwała palce. To samo

noga.

Zdawało mu się, że ręka jej przyciąga jego rękę do drugiego kontrolera, ale

sprawdzić spostrzeżenia nie mógł w ciemnościach.

Nagle uczył, że go ktoś uszczypnął w udo. Zerwał się z

krzesła, a w tej chwili

pochwyciło go coś za włosy. Kiedy chciał usiąść napowrót,

padł, jak długi, na,

posadzkę. Jego krzesło znajdowało się na stole. Skoczył

szybko na równe nogi,

ale krzesło było już na swoim miejscu.

Podnosząc się, dostrzegł wyraźnie, że między jego oczami a owym paskiem światła,

który wypływał z oświetlonego gabinetu do salonu, stanął

jakiś cień. Coś

materyalnego mignęło przed jego twarzą.



— Aha! — pomyślał — szachrujesz, rybko! Tyś mądra, ale i ja nie głupi!

Mimo to, nie zwrócił uwagi towarzystwa na swoją obserwację.

Tak zwane „wyższe objawy medyuncyjne” szły teraz szybko po sobie.

Najbliżsi Emmy Müller odbierali ciągle uderzenia w różne części ciała. Gdy owe dziwy ustały, ukazywało się nad stołem fosforyczne światło, podobne do błędnych ogników. Potem następowały znów uderzenia, szelesty, stukania...

Nagle odezwało się wołanie:

— Noga, noga!

Był to głos profesora, który stał za krzesłem medyum.

— Jaka noga? — pytano zewsząd.

— Schwyciłem ją za nogę, uderzyła mnie nogą!...

— Ależ, profesorze, jej noga spoczywa pod moją — oświadczył Słotnicki.

— Mimo to jestem przekonany, że się nie mylę.

— To być nie może...

— Wolno panu wierzyć inaczej...

Gdy wniesiono lampy, ujrzano Emmę Müller wyciągniętą na krześle z zamkniętymi

oczami. Prosiła gasnącym głosem o szklanekę wody, mówiąc, że nie wytrzyma już

dalszych doświadczeń, że potrzebuje spoczynku.

Sceptycy otoczyli profesora, zarzucając go pytaniami.

— Więc ów August Schultze, to nóżka Emmy Müller? — odezwał się ktoś, gdy się

pierwszy gwar uciszył.

— Może i rączka, nie wiem jeszcze dokładnie —  
odpowiedział lekarz. — Na pewno  
wiem dotąd tylko to, że nasze medyum ma świetnie  
wygimnastykowaną nogę.

— Mówilem zaraz!... — odezwał się któryś z literatów.

— Rozumie się, że to jakieś kuglarstwo! — dodał drugi.

Do gromadki niewiernych zbliżył się jeden z młodych  
lekarzów, robiących notatki.

Już kilka razy usiłował się wtrącić do rozmowy, ale go zawsze  
głosy poważniejsze  
przygłuszyły.

Stanąwszy tuż przed starym kolegą, przemówił, podkreślając  
słowa swoje uśmiechem  
aroganckim:

— Gdyby nawet prawdą, było, co profesor mniemał dostrzedz,  
nie dowodziłoby to

jeszcze niczego. I medyum jest tylko człowiekiem, każdy zaś  
śmiertelnik lubi,

aby mu się udawało wszystko, co przedsięweźmie.

Ustał, oglądając się wokoło. Szukał wrażenia swojej głębokiej  
obserwacji

psychologicznej na twarzach obecnych.

— Więc? — poddał profesor.

— Wynika z tego, że w medyum, zdemoralizowanem przez  
zbyt namiętnych badaczy

lub zbyt gorących spirytystów, może się po kilku nieudanych  
próbach zbudzić chęć

utrzymania się na raz zdobytem stanowisku. Chęć ta skłania je  
do posługiwania

się środkami mechanicznymi, czyli poprostu do niewinnego  
oszustwa, co jednak nie

usuwa wcale teorii o sile tajemniczej, mogącej jutro naprawić  
dzisiejsze  
niedbalstwo.

Wiadomo, że medya bywają nie zawsze usposobione do  
transu.

Skończył, obejrzał się i zdziwił się bardzo, że jego  
sposzczenie nie wywołało  
głośnego uznania. Nawet wierni nie przyklasnęli jego  
argumentacyi.

Wówczas przyszedł Słotnicki z pomocą zagrożonemu  
medyumizmowi.

— Uwaga profesora — odezwał się — polega tylko na  
nieznajomości objawów  
medyumicznych. Przepraszam za nieparlamentarne wyrażenie  
(profesor skłonił lekko  
głowę w jego stronę), ale obserwowałem Emmę Müller już w  
Niemczech kilkakrotnie  
i przysłuchiwałem się pilnie objaśnieniom Langnera i  
Kronitza. Emma Müller  
wykonywa niewątpliwie ruchy podejrzone, ale czyni to bez  
zamiaru oszustwa. Ruchy  
te są, właściwością odrywania się ciała eterycznego od  
rzeczywistego,  
rozszczepiania się ręki, nogi i organów innych. Ponieważ owe  
rozszczepianie jest  
aktem bolesnym, przeto pomaga ręka lub noga materialna —  
ręce, albo nodze  
eterycznej, wykonywając ruchy celowe w stronę danego  
przedmiotu. Bywa nawet

czasami, że organ istotny nietylko pomaga eterycznemu, lecz wprost go zastępuje.

Kilku sceptyków roześmiało się.

— Panowie się śmieją? — mówił Słotnicki, ozywając się — bo nie wiecie, że właśnie to wasze niedowiarstwo jest przyczyną wrzekomego oszustwa medyum.

Wiadomo powszechnie, że w medyumizmie obserwator wzmacnia lub paraliżuje objawy, zupełnie tak samo, jak w wyższych stopniach hypnozy. W kółku zharmonizowanym, zgranem doskonale, bywają ruchy podejrzane bardzo rzadkie.

— Bo ich owe kółko zharmonizowane, jak się redaktor wyraża — wyrzekł profesor — nie dostrzega lub dostrzedz nie chce, co na jedno wychodzi. Powtórnie odezwał się w gronie sceptyków śmiech wesoły.

— Widzę, że w obecnym komplecie nie dojdziemy do żadnych rezultatów pozytywnych — odezwał się Słotnicki niechętnie.

— Rozumie się, rozumie! — potwierdził Chojnacki.

— Trzeba kółko ścieśnić — odezwał się Powalski.

— A ja widzę tylko, co zresztą nie jest dla mnie nowością — mówił profesor — że gdy kto chce w coś wierzyć, to go nawet wcielona oczywistość od błędu nie odwiedzie.

— Odsyłam profesorowi pocisk — mruknął Słotnicki. — Gdy ktoś nie chce w coś wierzyć, to go nawet wcielona oczywistość nie przekona.

— Zaczynają się kłócić — wtrącił jeden z literatów. — Będą pióra w robocie...

Po raz trzeci roześmieli się sceptycy.

— Dajmy już dziś pokój eksperymentom — wyrzekł Chojnacki, zgorszony wesołością niewiernych. — Spiszmy protokół z seansu, a po załatwieniu tej formalności

proszę panów na herbatę.

Kiedy Żaglinski w dwie godziny potem wracał do siebie, nie schodził z jego ust

uśmiech złośliwy. Doszedłszy do Alei Jerozolimskich,

zatrzymał się przed domem,

w którym mieszkały panie Ostrobudzkie. Spojrzał w górę:

okna były już ciemne.

— Trzeba aferę z ową uczoną sroczką załatwić w krótkich abugach — mówił do

siebie półgłosem — bo ta szopka nie może trwać długo, a moi przyjaciele

starozakonni stracili cierpliwość. Hołota!

Księżyc stał właśnie nad alejami. Żagliński podniósł do niego oczy i wyrzekł:

— Nie pękasz ze śmiechu, stary durniu? Mrugasz na mnie, jak gdybyś chciał

powiedzieć, że widziałeś już nie takie idyotyzmy?

Przytakujesz? Naturalnie...

Patrzysz od lat tysięcy na najgłupszą ze wszystkich kreatur, chełpiącą się swoim

rozumem: na człowieka patrzysz, przeto nie dziwisz się już niczemu. Masz rację,

niemy filozofie! Mądry ten, kto milczy, bawiąc się cudzą  
głupotą. Dobranoc,  
kolego!

I świszcząc pod nosem aryę z „Ptasznika Tyrolskiego,” udał  
się w stronę ulicy

Marszałkowskiej,

Gdy wchodził nazajutrz o zwykłej porze do redakcyi, spotkał  
się na schodach z

wydawcą dziennika.

— I cóż Emma Müller? — zapytał Lisiecki.

— Zdaje się, że to zwykła kuglarka, jak wszystkie poprzednie  
słynne medya

europęjskie — odpowiedział Żagliński szeptem, zbliżywszy  
usta do ucha wydawcy. —

Nie wiem dotąd na pewno, o ile jednak mogłem

wymiarkować, wykonywa ona wszystkie

sztuki rączką i nóżką. Sprytna bestyjka, a jaka silna! Niech ją  
flanela ogarnie.

Jak mnie palnęła w kark, spadłem bez mała z krzesła.

Lisiecki zasepił się.

— Więc cóż teraz będzie? — mruknął.

— Co ma być? Nie nasza rzecz wtrącać się do sporów  
fachowych. To rzecz uczonych.

Nas obchodzi tylko poczytność przedmiotu, a publiczka  
pochłania artykuły o

„nowym dziale zjawisk” z takim samym apetytem, jak tłuste,  
umiejętnie podane

skandaliki.

— Czy w istocie?

— Przychodzi do redakcyi codziennie przeszło sto listów. Jest huczek nielada.

Należy mi się za pomysł jeszcze jedna zaliczka.

— Pan chyba jada pieniądze?

— Mam lepszy gust. Łykają je za mnie z rozkoszą różne leki, Moški i Abramki.

Zasiadłszy przed swoim biurkiem, doniósł Żagliński Warszawie o „nadzwyczajnych rezultatach wczorajszego seansu, nie pozostawiających już żadnej wątpliwości co do siły tajemniczej Emmy Müller.”

Warszawa dowiadywała się teraz codziennie różnych szczegółów z dalszych posiedzeń z cudotwórczynią niemiecką.

Na całej linii prasy rozpoczął się zaciekły „bój o nowe prawdy.”

Wierni zalewali gazety i tygodniki komentarzami i sprawozdaniami, sceptycy drwili z ich obserwacyj i wniosków, karyerowicze zapisywali sumiennie i

ogłaszali światu, ile razy który z nich dostał ręką lub nogą eteryczną w tę lub

w ową część ciała, a publiczność połykała studia, artykuły i polemiki z chciwością wygłodzonego.

— Bawcie nas, bawcie! Od tego jesteście! — wołał tłum przeróżny.

X.

W redakcyi Dziennika skończyły się zwykłe godziny  
urzędowe.

Redaktorowie, przygotowawszy numer pod prasę, przeszli do  
gabinetu głównego  
kierownika gazety na papierosa i gawędkę.

Tak czynili codziennie.

W dużym, starannie wyfroterowanym, czysto utrzymanym  
pokoju, w którym oprócz  
biurka, szeszlangu i kilku krzeseł, nie było innych mebli, stał  
na środku

Chojnacki i rozprawiał coś z taką żywością, że mu się czarna  
broda od

gwałtownych ruchów rozdzieliła na dwie połowy. Mówiąc,  
pomagał sobie rękami,  
głową, całym ciałem.

— Powiadam redaktorowi — wołał — że należy temu  
Strojowskiemu sprawić lanie, jak  
się patrzy. Zawiele sobie pozwala! Osłami nas nazwał,  
baranami!

Naczelny kierownik Dziennika, młody, przystojny blondyn,  
siedzący na drewnianym  
fotelu przed biurkiem, przywykł snąć do gorących  
temperamentów literackich, bo  
nie przerywał sobie wcale zajęcia. Znosił spokojnie potok  
słów, które spadały na  
niego z łoskotem, nie

dziwiąc się ich jędrności. Przeglądał uważnie rewizję gazety.

— Tak znów nie było — odezwał się, nie podnosząc głowy od  
arkuszków korektowych.



— Ale tak być miało. Uprzejmy ton nie zmienia treści.

— I wy nie oszczędzacie przeciwników.

— Bo walczymy za prawdę.

— I on twierdzi to samo.

Wtem otworzyły się drzwi i do gabinetu wszedł Strojowski.

— A, jest zbrodniarz, oprawca, kopalny wstecznik! — zawołał Chojnacki,

pryskakując do Strojowskiego.

— Chojnacki udaje wściekłego — zauważył Żagliński, który rozłożył się wygodnie na szeszlengu i palił papierosa.

— Bo jestem wściekły!

Strojowski, podawszy Chojnackiemu rękę na przywitanie, zbliżył się do głównego redaktora.

— Nasamprzód interes — odezwał się, siadając na krześle, umieszczonem naprzeciw

szefa dziennika — a potem wojna. Weźmie pan odemnie trzy felietony o okultyzmie?

— Z przyjemnością — odpowiedział naczelny redaktor. — Kiedy będą?

— Już gotowe.

— Zaraz wydrukuję.

Kiedy Strojowski składał rękopis na biurku, doskoczył Chojnacki i pochwycił papiery.

— Nie pozwalam! — wyrzekł.

— Dlaczego? — zapytał redaktor spokojnie.

— Bo nas ta bestya znów osmaruje!

— To się brońcie...

— Dziennik drukuje nasze artykuły...

— Dziennik nie jest organem stronnictwa. On informuje tylko publiczność, a i pan

Strojowski ma swoich zwolenników między czytelnikami dziennika. I o nich trzeba pamiętać. Proszę o rękopis.

— Nie oddam! — mówił Chojnacki.

— Palnij go w kark ręką eteryczną, której materyalna tylko pomoże dla

zmniejszenia bólu rozszczepiania — odezwał się Żagliński. W gabinecie rozległ się śmiech wesoły. Zaśmiał się i Chojnacki.

— A, szelma! — mruknął i złożył rękopis na biurku.

— Jeżeli cię obraziłem — mówił jeszcze Żagliński — to zapisz obelgę na rachunek

medyumizmu. To nie mój język plecie od rzeczy, to jego sobowtór eteryczny tak bryka.

Chojnacki machnął ręką wśród ogólnego śmiechu.

— Niech was licho porwie! — wyrzekł. — Z wami dysputować.....

— A teraz służę — odezwał się Strojowski. — O co koledze chodzi?

— I pan jeszcze pyta? — zawołał Chojnacki. — Nazwałeś nas baranami, osłami...

— Tak źle nie było... — odparł Strojowski.

— Ale tak miało być...

— Nie moja wina, że się panowie zawiele domyślacie.

— Bo gdyby to jaki niepoprawny doktryner pozytywny, ale pan?

— Dlaczegoż miałbym ja wam klaskać? — zapytał Strojowski.

— Wszakże to, co się obecnie dzieje, jest wodą, na pański młyn — mówił Chojnacki, zapalając się znów. — Panu, jako idealście, nie wolno szkodzić ruchowi, który rozszerza granice wiedzy, wraca cześć duchowi człowieka, usiłuje dostarczyć dowodów materialnych o istnieniu duszy. Po ustach Strojowskiego przewinął się uśmiech ironiczny. — O, już tak daleko? — wyrzekł. — Już panowie mówicie o duszy, która nie chciała jeszcze wczoraj przejść przez wasze gardła. Prędko jedziecie... Może przypomnieć sobie Boga, co? Warto, bo dusza bez Boga, to jakoś nieładnie. Winszuję... Co do mnie, nie potrzebuję stukań w nogach stołowych, chłodnych powiewów, fosforycznych ogników, lewitacyi stołu, uderzeń ręką eteryczną, dzwonek na odległość i t. p. zjawisk, czy objawów, do uwierzenia w duszę. Czuję ją w sobie, widzę ją w tej chwili w pańskim zapale, a w przeszłości na kartach historii. Stukać w stół w sposób pozornie niewyjaśniony, podnosić jakiś sprzęt bez widocznej dla niewtajemniczonego oka pomocy materialnej, uderzać kogoś szybko, zręcznie ręką, nogą, nosem chociażby, rozwiązywać się z pęt i t. d., potrafi każdy przeciętny prestidigitator, ale żyjącej trawki nie zlepili dotąd

wszyscy mędrcy świata cywilizowanego, razem wzięci.  
Chcecie dowodów innych,  
większych? Spójrzycie w mózg swój, w serce i przypatrzcie  
się dobrze tym  
cudownym instrumentom. Gramy na nich nieudolnie, jak  
głupcy, a one wydają z  
siebie wielkie myśli i wielkie uczucia, zawstydzając naszą  
pychę swoją potęgą i  
misternością. Wszystko, co mnie otacza, co widzę, za czem  
tęsknię, dowodzi mi  
istnienia siły wyższej we mnie i po za mną. Na cóż mi więc  
takie błahe  
świadectwa, jak stukania,

i lewitacye, albo tak sztuczne teorye, jak rozszczepianie ciała  
eterycznego od  
materyalnego? Was tylko takie drobiazgi mogą zdumiewać,  
zachwycać i łudzić, bo  
wy jesteście dotąd, mimo tęsknot idealnych, pozytywistami;  
obracacie się ciągle  
w tem samem kółku. Rwiecie się naprzód, do blasków, do  
jasności, a nawyknienie  
całego życia trzyma was w kleszczach zwietrzałej doktryny.  
Strojowski mówił zrazu wolno, chłodno, z uśmiechem  
szyderskim na ustach. W miarę  
jednak, jak gromadził argumenty, rozgrzewał się i przestał  
drwić głosem i  
spojrzeniem.  
— Żal mi was — dodał jeszcze. — Robicie na mnie wrażenie  
ciem nocnych, co krążą

naokoło światła, aby znaleźć grób w płomieniach. Nie tą drogą  
dochodzi się do  
równowagi umysłu i do spokoju serca. Wiedział już Tacyt, że  
człowiek staje się  
po przebyciu silnych wstrząśnień umysłowych łupem  
przesądów. Przyszedł ów czas  
świętego Pawła, gdy ludzie zdrowej nauki nie ścierpią, ale  
według swoich  
pożądliwości zgromadzą sobie nauczycieli, mając uszy  
świerzbące. Odwróciły się  
uszy wasze dawno od prawdy, przeto zwróciły się teraz  
według słów Apostoła, ku  
baśniom. Jakże chcecie, abym nie zwracał uwagi publiczności  
na chorobliwość  
waszych eksperymentów!  
Słowa. Strojowskiego wywarły wrażenie na obecnych.  
Redaktorowie milczeli,  
patrzając przed siebie. Nawet Żagłiński nie wtrącił uwagi  
swawolnej.  
— Dziękujemy za obroczek moralny, ale pan pozwoli, że nie  
będziemy z niego  
korzystali.  
Redaktorowie obejrzeli się.

We drzwiach drugiego pokoju stał Słotnicki, który wszedł  
niepostrzeżony i  
wysłuchał całej repliki Strojowskiego.  
On to odezwał się. Głos jego był szorstki, opryskliwy.  
Wysuwając się na środek gabinetu, zapytał:  
— Więc pan sądzi, iż nauka nie posiada środków do  
rozjaśnienia owych tajemnic?

— Sądzę, że zjawiska niematerialne są przystępne tylko dla środków

niematerialnych — odpowiedział Strojowski.

— Mianowicie?

— Oprócz zmysłów, posiada człowiek duszę, dusza zaś umie przeczuć, tęsknić, wierzyć, jasnowidzieć w końcu, gdy ją zwykle probierze krytycyzmu opuszczają.

— Przeczucia nie są wiedzą...

— I eksperymenty panów nie są nią także.

— Czy tak?

— Tak wierzę...

Stali naprzeciw siebie, mierząc się oczami. Żagliński trącił jednego z

redaktorów łokciem.

— Będzie heca! — szepnął. — Te waryaty wezmą się za łby. Czuję proch w powietrzu. Trzeba ich rozdzielić.

— Pozwoli sobie kolega powiedzieć, że jestem innego zdania

— odezwał się

Słotnicki.

— Nie mam prawa, ani ochoty, narzucać panu moich przekonań, ale dlatego właśnie żądam dla siebie tej samej tolerancji.

Spojrzeli znów na siebie i milczeli.

— Nie zaprzeczam tego prawa — odezwał się Słotnicki po chwili — ale nie widzę powodu, dla którego

tolerancja miałyby się posługiwać koniecznie tonem karczmy.

Strojowski nie odpowiedział nic, ściągnął tylko brwi i rzucił przeciwnikowi z po  
za powiek zmrużonych błysk ponury.  
— Bo trzeba chcieć rozmyślnie szkodzić nauce — ciągnął Słotnicki dalej — gdy się  
o naszych usiłowaniach wyraża tak, jak to pan uczynił.  
Zarzucał nam pan  
naiwność, łatwowierność, brak krytycyzmu...  
Głos jego zniżył się o cały ton, przesiąkł groźbą.  
— Tylko niedojrzałe młokosy polemizują w taki sposób.  
Nowemu działowi zjawisk  
należy się szacunek, jak każdej sprawie uczciwej, a pan podał  
nasze badania na  
pośmiewisko publiczności. To nieuczciwie...  
Gdy słowo ostatnie wypadło z jego ust, zrobił Strojowski taki  
ruch, jak gdyby  
się chciał rzucić na przeciwnika. Blady, z podkrążonymi  
oczami, z drżącymi  
ustami, uchwycił się ręką krawędzi biurka. Widać było, że  
dobywa wszystkich sił  
woli, aby zapanować nad wzburzeniem, które mu  
przytomność odbierało. W drugiej,  
wolnej ręce miał rękawiczkę.  
W gabinecie zaległa cisza. Jedna z najpodlejszych namiętności  
ludzkich, pycha,  
stała na progu...  
— To się nie godzi, to nie wolno! — wołał Słotnicki.  
— Nie godzi się? — odezwał się teraz Strojowski, podnosząc  
głowę. — Nie godzi  
się? — powtórzył głosem ochrypłym, w którym warczał  
powstrzymywany gniew. — Nie  
godzi się, ale bałamucić naiwnych, wierzących słowu  
drukowanemu bez zastrzeżeń.

Nie godzi się, ale rzucać przed bezkrytyczny tłum majaków  
dowolnych hipotez,  
odbierać spokój maluczkim, odwracać ich uwagę od

spraw ważniejszych. Nauka, która wychodzi na rynek, staje  
przed publicznością i  
wciąga niewtajemniczonych w spory swoje, żadna taniego  
rozgłosu, nie jest nauką.

To szarlatanizm! Prawdziwa nauka zamyka się w gabinetach i  
laboratoryach,  
nieдоступna dla szerokich mas dopóty, dopóki nie może się  
podzielić z  
nieświadomymi prawdą istotną.

— Uczyć się sposobu postępowania od takich... Słotnicki nie  
skończył, bo

Strojowski przerwał mu gwałtownie.

— Od jakich... od kogo? — wrzasnął, podnosząc rękawiczkę.  
Pobledli obaj.

— Od...

Wtem skoczył Żagliński z szezlongu i przypadł do  
Słotnickiego. Chwytając go za  
rękę, odezwał się:

— Dajże pokój! Gotowiście się bić o jakąś szwaczkę, czy  
kucharke niemiecką ku  
wielkiemu gaudium całej Warszawy. Śliczna sprawa  
honorowa! Powaryowali!...

Przeciwnicy ochłonęli. Zrozumieli odrazu całą śmieszność  
położenia, jakie sobie  
sami gotowali.

— Dziękuję koledze — wyrzekł Strojowski. odetchnąwszy  
głęboko. — Był to i dla



mnie w pierwszej chwili powód cierpliwości, chociaż wiadomo panom, że mi tego przymiotu los odmówił. W istocie! Słotnicki i Strojowski, jadący na plac za honor siły tajemniczej Emmy Müller, to zaprawdę pożądany materiał dla pism humorystycznych. Zbliżył się do Słotnickiego i wyciągnął do niego rękę.

— Nie wiedziałem, że kolega taki drażliwy — mówił. — Przepraszam, będę na przyszłość staranniej określał dobierał. Przeciwnicy uścisnęli sobie dłonie. — Sam nie wiem, co mi się stało — mruknął Słotnicki. — Jestem dziwnie podrażniony. Przepraszam kolegę... Opuściwszy redakcję, Słotnicki udał się do cukierni Lourse'a. Tu usiadł w kąciku, kazał sobie podać czarnej kawy i gazety. Kawy nie pił, gazet nie czytał. Chciał być tylko sam z myślami swojemi. Gwałtowna scena w redakcyi Dziennika nie sprawiła mu przyjemności. Jak wszyscy ludzie odważni i uczciwi, szanował Słotnicki w przeciwniku odwagę osobistą i uczciwość publiczną. Ilekroć ze Strojowskim polemizował, co się w przeciągu lat dziesięciu nieraz zdarzało, starał się utrzymać zawsze w granicach sporu o zasady, uprzejmy i względny w formie. Setki razy szli z sobą w zapasy, a

nie obrazili się nigdy.

— Zkądże więc dziś ta zaciekłość, która mu przytomność odebrała?

Był podrażniony... Ale czym?

Coś się w nim znów rozprzęgało, rwało. Czuł to wyraźnie, ale nie chciał jeszcze

wnikać w przyczyny wewnętrznej rozterki, z którą się znał bardzo dobrze.

Powtórne bankructwo?

Wszakże mu pierwsze tak bardzo dokuczyło...

Wykształcony wszechstronnie, bystry, obdarzony jako polemista, jako dyalaktyk,

niepospolitym zmysłem krytycznym, Słotnicki nie mógł pozostawać długo pod czarem

podejrzanych eksperymentów i sztucznych defi-

nicyj. Gdy owe „rozszczepianie ciała” rozważył i zestawiał spokojnie obserwacje

fizyczne i psychologiczne, zebrane na seansach, wówczas dostrzegł w doktrynie

okultystycznej mnóstwo dziur, łatanych niezręcznie za pomocą zawiłej

frazeologii. Jego umysł jasny zaczął się męczyć w sieci, splecionej z

dziwacznych hipotez i drobiazgowych postrzeżeń.

Bo czegoż nauczył się dotąd od owej siły tajemniczej?

On szukał zagadki życia., łącznika między światem zmysłowym a tak zwanym

nadprzyrodzonym, chciał zapanować nad losami człowieka, a ona, ta siła, która

miała mu odpowiedzieć — jak wierzył — na najwyższe pytanie nauki, stuknęła w krzesło, podnosiła stół, migotała jakimiś światełkami, uderzała go po głowie, targała za brodę, stękała, wzdychała, potrzebując zawsze ciemności i wrzawy, do kuglarki podobna. Dlaczego ciągle te ciemności, te śpiewy i głośne rozmowy? Dlaczego te błahe, śmieszne zjawiska, powtarzające się bez zmiany?... Zna je zabobon gminu od lat tysięcy, wierzą w nie dzieci i maluczcy, a naśladują z powodzeniem jarmarczni prestidigitatorowie. W sercu Słotnickiego tworzyła się znów rana bolesna — przecucie nowego zawodu. Słowa Strojowskiego dotknęły tej rany, otworzyły ją, przeto wytrysnął z niej jad ślepego gniewu. — Widziałżeby on lepiej, dalej odemnie, ten wstecznik, zasklepiony w skorupie spłowiałego idealizmu? — myślał. — Nie posiadzie-li człowiek nigdy środków do rozwiania otaczających go mroków? Powstał szybko z krzesła, jakby go ukryty gad ukąsił i wyszedł na ulicę.

Dokąd? Obawiał się dziś swojego towarzystwa. Wiedział z doświadczenia, że jego mózg, pracowana prządka, nie spocznie dopóty, dopóki nie wysnuje z siebie długiej

nici wniosków, a tego nie pragnął.

Chciał się jeszcze ludzić.

Wydobył zegarek. Była godzina siódma.

— Może ją zastanę — mruknął i zwrócił się w stronę ulicy Włodzimierskiej.

Stanąwszy na pierwszym piętrze jednej z kamienic przed rzeźbionymi drzwiami, zadzwonił.

— Czy pani prezesowa przyjmuje? — zapytał lokaja. Sługa odebrał od niego kartę w milczeniu, a kiedy wrócił po kilku chwilach, otworzył podwoje na rozciera i wyrzekł:

— Pani prezesowa prosi. Jest w swojej pracowni.

Przeszedłszy dwa duże salony,

zatrzymał się Słotnicki w trzecim, mniejszym, robiącym wrażenie sklepu

tandeciarza. Trzy garnitury niebieskim, białym i żółtym jedwabiem pokrytych

mebli, fortepian, szafa do książek, kilka stolików, założonych albumami,

sztalugi malarskie, ogromne wazony z kwiatami

egzotycznymi, wypełniały tak

szczelnie niewielki pokój, iż trudno się było poruszać wśród tego mnóstwa

gratów i gracyków. Ścian nie było prawie widać pod obrazami, rycinami,

wachlarzami i porcelaną. Gdzie się tylko dało zawiesić lub ustawić jakiś

drobiazg, wszędzie korzystano z wolnego miejsca.

Gdy Słotnicki stanął na progu tego buduaru fin de siècle, podniosła się od

biurka, przy którym pisała, pani Jasinowska i przeżegnawszy się lewą ręką, odezwała się:

— Pan okultysta, czy jak tam inaczej, raczył sobie przypomnieć starą przyjaciółkę! Proszę... A już mi się zdawało, że wam ta gruba Niemka razem z rozu-

mem i pamięć zabrała. Wie pan, że pan ciekawy. Żeby nie być u mnie przez dwa

tygodnie... Co pan sobie właściwie myśli?

Zbliżyła się do gościa i wyciągnęła do niego długą, białą rękę.

— Zasłużyłeś na tortury, panie Stefanie — mówiła — jeżeli jednak ładnie

przeprosisz, to może się zmiłuję i przebaczę.

Miała na sobie jedwabny szlafroczek kremowej barwy, wycięty pod szyją,

przepasany złotym sznurem i białe, atlasowe pantofelki na nogach. Przechylona do

gościa z zalotnym uśmiechem na zmysłowych wargach, z rozkosznymi dołeczkami w

policzkach, zachęcała do serdecznego powitania. Ale Słotnicki dotknął tylko

lekko ustami jej palców.

Wzruszyła ramionami niecierpliwie.

— Nie — wyrzekła — widzę nareszcie, że nie będę miała z pana żadnej pociechy.

Edukuję dobrodzieja już trzeci rok, a pan, zamiast się kształcić i doskonalić w

psychologii niewieściej, staje się coraz...

— Głupszym! — poddał Słotnicki.

— Byłabym użyła trochę grzeczniejszego określenia, ale skoro taka wola pańska...

Roześmiała się pusto.

— Odłóż-że pan ten brzydki kapelusz i spocznij, ot, tu, przy biurku, abym cię mogła dobrze widzieć. Taki jesteś tępy, panie okultysto, iż nie domyślasz się nawet, jaki cię dziś zaszczyt spotkał. Powinieneś wiedzieć, że gdy się kobieta światowa ubiera po obiedzie w szlafrok, to nie chce być dla nikogo w domu. W takim kostymie przyjmuje się tylko najbliższych. Ale co pan wie? Pan nic nie wie! Powiedz-że mi pan zaraz. coś przyjemnego. Kto widział być takim nudziarzem!

Mówiła szybko, odsłaniając w ciągłym uśmiechu białe, równe zęby.

— Nie na flirt do ładnej kobiety przyszedłem — odezwał się Słotnicki, zajmwszy miejsce aa małej kozetce — lecz do przyjaciółki, od której spodziewam się dobrego słowa.

Ruchliwe rysy pani Jasinowskiej zmieniły się odrazu; spoważniała.

— Miał pan jakąś przykrość? — zapytała troskliwie, przechylając się do Słotnickiego. — Ktoś pana obraził, dotknął, może skrzywdził?  
— Znany mi oddawna niepokój zaczyna się znów do mnie skradać — odpowiedział

Słotnicki głosem stłumionym. — Czuję go obok siebie...  
— Dziecko, dziecko! — mówiła pani Jasinowska, biorąc jego  
rękę w swoje miękkie  
dłonie. — Pewno znów jakie zmartwienie, nie warte dwóch  
słów. Nowy zawód w  
pogoni za tak zwaną prawdą. Jaki pan niepraktyczny,  
przepraszam, mimo swojego  
roзумu. Posiadasz talent, sławę, urodę męską, zdrowie,  
majątek w końcu, czyli  
wszystkie warunki, potrzebne do szczęścia, a nie umiesz z  
tych rzadkich darów  
korzystać. Krocie ci zazdroszcza, a ty uprzykrzasz sobie życie  
sztucznymi  
troskami. Bo to troski sztuczne te wasze zwątpienia i uczone  
spory.

A kiedy Słotnicki milczał, ciągnęła dalej:

— Wiem, co byś mi pan na to odpowiedział, gdybyś nie chciał  
być uprzejmym.

Powiedziałbyś, że tęsknoty kobiety nie wybiegają po za ciasne  
koło pospolitych  
spraw i celów przeciętnego człowieka, że nie nam,  
białogłowom, mierzyć się z  
waszemi siłami i tam dalej. Znam doskonale kierunek myśli  
pańskich, ale mimo to  
nie przestanę w rzeczach szczęścia ludzkiego ufać więcej  
wrodzonemu zmysłowi  
płci słabej, aniżeli

wyrozumowanym ideałom i teoryom mocnej. Bliższe życiu i  
praktyczniejsze od was,  
wiemy lepiej, gdzie szukać zadowolenia i spokoju.

— W krynicy miłości — wtrącił Słotnicki, uśmiechnąwszy się lekceważąco. — Jedyna

to wasza religia, filozofia, etyka i poezja.

— Bo też miłość jest najwonnejszym kwiatem życia! —

zawołała prezesowa żywo —

jedynym uczuciem, które przesłania świat z jego drobnymi podłościami.

— I jedynym tematem, rozgrzewającym, zajmującym naprawdę płęć piękną — dodał

Słotnicki. — Wiem, wiem...

— Nic pan nie wie. Cóż taki głaz, jak pan, może wiedzieć o czarach miłości? To

kraina nieprzystępna dla serc, zasuszonych w bibule.

— Nie miałem nigdy ambicji donżuanowskich.

— Słyszałam to już sto razy. Ktoby się zajmował taką błahostką, jak szczęście

kobiety! Naturalnie! Stukania i szmery w nogach stołowych, wzdychania, stękania

i gwałtowne ruchy jakiejś ordynaryjnej Niemkini, o, to sprawy wielkie, godne

wysiłków głowy utalentowanej. Jacy wy jesteście nieraz naiwni, wy mądrzy, uczeni

ludzie! Podobno pana siła tajemnicza wytargała na ostatnim seansie porządnie za

brodę.

Słotnicki uśmiechnął się z przymusem.

— A klapsów dużo pan dostał? Mówiono mi, że Emma Müller ma ciężką rękę.

Słotnicki spojrzął na zegarek i sięgnął po kapelusz.

— Już się gniewa! — zawołała prezesowa. — Przepraszam!

Nie wiedziałam, że pana

ten spirytyzm jeszcze tak bardzo obchodzi. Proszę mi się zaraz rozchmurzyć i być



grzecznym, bardzo proszę!

Złożyła ręce, jak do modlitwy, przechyliła głowę i spojrzała na gościa wzrokiem przymilającego się dziecka.

— Czy się już nie gniewamy? — pytała głosem pieszczotliwym.

On ujął jej dłonie i ucałował je serdecznie.

— Któżby sobie z panią dał radę? — wyrzekł.

Roześmiała się wesoło.

— I pan udaje sensata! — zawołała. — W oczach twoich, panie Stefanie, goreją

plómiennie, w ustach ukrywają się skarby namiętnych pocałunków. Synem jesteś

Apollina, największego bałamuta między Don Juanami

Olimpu, a grasz z uporem rolę

nudziarza. Grasz ją źle, niezręcznie, bo to rola nie twoja.

Słotnicki bawił się oryginalną szczerością prezesowej. Znając ją od lat kilku,

wiedział, że jej podbudzające słowa nie pozostawały w żadnym stosunku z czynami.

Nieopatrna w mowie, umiała powstrzymać w samą porę lwów salonowych,

obałamuconych jej zachęcającą gawędką.

Uśmiechnął się do siebie; przyszedł mu pomysł pusty.

Nagle przechylił się szybko i pochwycił ręce pani

Jasinowskiej. Zbliżywszy głowę

swoją do jej twarzy, wpatrzył się w nią okiem płomiennym i mówił głosem

stłumionym:

— A gdyby mi się sprzykrzyła rola, nie odpowiadająca mojej naturze, gdybym chciał utopić wszystkie żale do świata, ludzi i nauki w uczuciu bez pamięci, bez miary i granic, gdybym chciał znaleźć w objęciach ukochanej kobiety zadowolenie, którego mi praca publiczna odmówiła, gdybym, gdybym... Przyciągał ją coraz więcej do siebie.

— Wando! — wyszeptał namiętnie.  
Prezesowa, napadnięta z nienacka niespodziewanym wybuchem, zdumiona, przerażona, nie bronila się w pierwszej chwili. Dopiero kiedy ją, Słotnicki nazwał po imieniu, zerwała się z fotelu i odbiegła na środek pokoju.  
— A to co? — wyrzekła, prostując się dumnie. Słotnicki roześmiał się.  
— Była to tylko próba — odezwał się — czy potrafię grać rolę, przeznaczoną dla mnie przez panią. I cóż? Czy zdałem egzamin?  
Prezesowa przypatrywała mu się z pod czoła popodejrzliwie.  
— Czy pan naprawdę żartował? — zapytała.  
— Mógłżebym inaczej? Nie wyciągałem nigdy ręki po cudzą własność.  
— A jednak nie radziłabym panu powtórzyć tej próby, bo...  
— Bo, pani?..  
— Bo człowiek nie wie nigdy, co się z igraszki może rozwinąć — mówiła pani Jasinowska głosem cichym. — Jedna iskra wystarcza do spalenia całego miasta.

— Właśnie dlatego nie trzeba igrać z ogniem — wtrącił Słotnicki.

Pani Jasinowska wróciła wolno na swoje miejsce. Siadając, odsunęła się ostrożnie od gościa.

— Czy to obroczek moralny? — zapytała.

— Tylko przestroga. Płeć słaba lubi grać na nerwach mocnej, a gdy postępowaniem swoim wywoła jakieś szaleństwo, wówczas dziwi się i oburza. Kto zawinił?

— Dlaczego wierzycie?

— Dlaczego podbudzacie?

— O, znów ten ton profesorski!

— Może pani woli poprzedni?... Słotnicki przechylił się. Prezesowa cofnęła się szybko.

— Bardzo proszę! — zawołała, wyciągając przed siebie ręce.

— Niech się pani nie obawia; nie powtórzę próby.

— Tak się panu bardzo owa rola nie podobała? — wyrzekła pani Jasinowska.

Słotnicki podniósł się i sięgnął po kapelusz.

— Czekam na odpowiedź — mówiła prezesowa.

On patrzył na nią przez kilka chwil oczami, w których migotały błyski ironii, potem odparł:

— Oj, niewiasty, niewiasty! Nie podoba się wam obcesowość męska, ale jeszcze mniej nasza obojętność. Chciałybyście być przez wszystkich uwielbiane, kochane,

nic za to nie dając. I cóż? Czy znam się trochę na psychologii  
naszych  
flirterek?

— Idź pan już sobie; zaczynasz być niegrzecznym! —  
szepnęła prezesowa,  
zarumieniwszy się aż pod włosy.

A kiedy jej podał rękę na pożegnanie, zawołała:

— Już pan idzie? Sądziłam, że wypijesz ze mną filiżankę  
herbaty?

Słotnicki roześmiał się.

— Idź sobie — zostań! Więc co było prawdą? — zapytał.

— Nie można dziś z panem wytrzymać!

— Oj, logiko niewieścia!...

— Oj, nieznośny łowco słówek!...

— Już uciekam, bo się pokłócimy.

— I pogodzimy, jak zwykle. Mógłby pan przyjąć z rąk moich  
filiżankę herbaty.

— Najuprzejmiej dziękuję, ale mam dziś seans w kółku  
przekonanych medyumistów.

Spodziewamy się wyższych objawów.

— W takim razie nie zatrzymuję — mówiła prezesowa,  
oddając gościowi uścisk ręki.

— Oby pana za niegrzeczność i złośliwość siła tajemnicza  
wytargała porządnie za

uszy. A proszę pamiętać, że jestem dla pana dobrodzieja  
zawsze w domu.

Kiedy się portyera za Słotnickim zasunęła, pobiegła pani  
Jasinowska do okna i

wyjrzała na ulicę.

— Jak się spieszy — mówiła, patrząc za odchodzącym. —

Nigdy się do mnie

prawdopodobnie tak nie spieszył, a przecież...

Wstrząsnęła głową, jakby chciała z niej wypłoszyć myśli  
niepotrzebne.

— Ten umiałby kochać — szeptała — i rozkazywać kobiecie  
kochającej...

Bez szelestu otworzyły się drzwi, prowadzące do dalszych  
pokojów i na progu

ukazała się niska, pękata figurka, z dużą, łysą głową.

— Czy wolno? — zapytał głos chrapliwy. Prezesowa  
odwróciła się szybko. Przez

sekundę

skrzywił jej usta wyraz wstrętu, potem wykwił na nich  
uśmiech zdawkowy.

— Żony nie zamykają się nigdy przed mężami — wyrzekła.

— Chciałem ci przypomnieć dzisiejszy raut u Chmielińskich

— mówił prezes. — Czy

kazać zaprzęgać?

— Wolałabym przepędzić wieczór dzisiejszy w twojem  
towarzystwie, ale jeżeli taka

wola mojego pana... — odpowiedziała prezesowa.

— Nie wypada. I oni byli u nas... Może ubierzesz się dziś w tę  
zieloną suknię

aksamitną i włożysz na siebie garnitur ze szmaragdów i  
brylantów.

— Jak mój pan każe...

Słotnicki spieszył tymczasem na seans, który miał się odbyć w  
gronie wierzących,

przekonanych medyumistów.

W mieszkaniu Chojnackiego zastał oprócz gospodarza i Powalskiego kilkanaście osób, należących do różnych sfer towarzyskich. Do bractwa „badaczów siły tajemniczej” zapisało się, oprócz publicystów, lekarzów i przyrodników, dwóch wojskowych wyższych stopni, trzech właścicieli ziemskich, przepędzających zimę w Warszawie, jakiś fabrykant, zamożniejszy kupiec, urzędnik i t. d.

Nie brakowało i kobiet.

Żony i siostry różnych okultystów, teozofów, spirytystów i wszelakich innych wykolejonych materialistów, uważały sobie za obowiązek podzielać przekonanie mężów i braci.

Całe to grono otaczało właśnie, gdy Słotnicki wchodził, Emmę Müller z oznakami czci i szacunku. Gruba Niemka, czując się wśród swoich, ruszała się ze swobodą i pewnością tryumfatorki.

Medyumiści, trawieni ciekawością, domagali się natychmiastowego rozpoczęcia seansu. Znalazłszy się pomiędzy sobą, niekrępowani obecnością sceptyków, spodziewali się, że im August Schultze nie odmówi tak zwanych wyższych objawów.

August Schultze nie drożył się też dziś wcale. Jego wcielenie, pani Emma, usiadła natychmiast przy wąskim rogu podłużnego stołu i poprosiła do boku swojego kontrolerów.

— Nie potrzeba, nie potrzeba! — zawołał Chojnacki —  
wierzmy i bez kontroli.  
— Wierzmy — wtórowali inni.  
— Kontrola utrudnia tylko ruchy medyum i przeszkadza do  
należytego  
zharmonizowania kółka — zauważył Powalski.  
— Rozumie się — potwierdzano wokoło.  
Ale Emma Müller nie chciała rozpocząć doświadczeń bez  
nadzoru.  
— Mógłby ktoś powiedzieć, że nadużywam dobrej wiary  
państwa — oświadczyła. —  
Proszę koniecznie o kontrolerów.  
Czyniąc zadość jej woli, umieściło się dwóch panów obok niej  
i ujęło ją za ręce.  
Była to tylko formalność, żaden bowiem z wierzących  
medyumistów nie miał zamiaru  
poddawania ruchów Niemki prawdziwej krytyce. Pragnęli oni  
wszyscy widzieć i  
słyszeć jak najwięcej, doznać doraźnych wrażeń, znajdować  
się jak najbliżej  
cudotwórczym. Kto nie zdobył sobie miejsca przy stole, ten  
tłoczył się koło  
krzesła Emmy Müller.  
Cudzoziemka zmiarkowała odrazu, iż jej dziś wszystko wolno.  
Spojrzawszy po  
rozciekawionych twarzach, nie żądała nawet na początku  
seansu przyćmienia lamp.  
I tak uwierzą, mówiły jej oczy ironiczne.  
Rozsiadłszy się szeroko na krześle, pewna siebie i otoczenia,  
wodziła przez

kilka minut wzrokiem po zgromadzonych. Nagle rzuciła się w tył i zanosła się śmiechem histerycznym. Cały potok szyderstwa lunął z tego zuchwałego chychotu, ale medyumiści spojrzeli po sobie z zachwytem i szeptali: trans, trans!... Wkrótce potem dźwignął się stół i runął na posadzkę.

Gdy się ten eksperyment powtórzył kilka razy, prosiła Emma Müller, aby pogaszono światła.

— Wyższe objawy, wyższe objawy! — podawano sobie wokoło.

Ciemność i cisza zaległy salon. Medyumiści powstrzymywali oddech, aby nie uронić najmniejszego szelestu.

Ale nie takiego skupienia uwagi potrzebował August Schultze.

— Mówcie, mówcie! — domagała się Emma. Zaledwo rozpoczęła się gawędka, prowadzona stłumionym głosem, kiedy ktoś z obecnych zawołał:

— Uderzyło mnie w bok...

— A mnie w kark! — dodał ktoś drugi.

— Mnie uszczypnęło w nogę...

— Mnie bębni palcami po łysinie...

— Mnie targa za brodę...

— Krzesło z podemnie wysuwa...

— Coś chwyta mnie za włosy...

— Ktoś mnie przeżegnał...

— Czuję chłodny powiew...

— Mnie schwyciło za nos...



— O, dla Boga! A to wali, jak mocny chłop...  
Wszczęła się wrzawa. Wykrzykniki krzyżowały się szybko,  
przeplatane śmiechem i  
głośnymi uwagami, Medyumiści tłoczyli się do  
cudotwórczym, jeden usuwał  
drugiego, mężczyzna nie zachowywał względów uprzejmości  
wobec kobiety; popychano  
się, potraćano, deptano się po nogach. Każdy chciał być  
najbliżej Emmy Müller.  
Nadstawiano głowy, pleców, rąk, aby odebrać uderzenie.

W miarę, jak się hałas wzmacniał, nabierał August Schultze  
humoru. Rozdzierał  
upragnione razy z taką szybkością, że pociągnięty za nos nie  
zdążył się jeszcze  
podzielić odniesieniem wrażeniem z towarzystwem, kiedy już  
drugi wołał, że go  
ktoś pod łopatką, łaskocze.  
August Schultze rozhulał się dziś na dobre. Nietylko, że  
obrabiał różne części  
ciała medyunistów z taką zręcznością, jak gdyby posiadał  
kilkadziesiąt rąk, ale  
walił nadto od czasu do czasu w stół, wydobywał krzesła z  
pod siedzących i  
migotał wśród ciemności świecą fosforycznym.  
Takiej biesiady nie mieli jeszcze wierni. Przeto używali bez  
miary, odurzeni,  
ogłuszeni, zapomniawszy o kontroli i badaniu.  
Jeden tylko Słotnicki nie stracił przytomności wśród tego  
chaosu wykrzykników,  
uwag, śmiechów i stukań.

Aczkolwiek bronił przed kilku godzinami w redakcji  
dziennika okultyzmu z  
narażeniem życia, dziwił się i on od pewnego czasu owym  
„ruchom podejrzanym,  
celowym," które mistrzowie doktryny tłumaczyli  
„rozszczeniem ciała."

W pierwszej chwili, obalamucony marzeniami "Wallace'ów i  
Crookes'ów, spragniony  
jakiejś nowej teorii, któraby jego młode lata opromieniła i  
ogrzała, wracając im  
chęć do dalszej pracy, patrzył na eksperymenty Emmy Müller  
z dobrą wiarą  
człowieka uczciwego, nie posądzającego nikogo o rozmyślne  
oszustwo.

Ale owe „ruchy celowe" stawały się coraz częstsze. Im się  
kółko obserwatorów, po  
odsunięciu się sceptyków, więcej „harmonizowało," im mniej  
oczu podejrzliwych  
śledziło „objawy niższe i wyższe," tem zu-

chwalej drwiło sobie medyum z czujności kontrolerów.  
Bywało, że śmiało się im w  
nos urągliwie. Na pytanie, dlaczego to czyni, odpowiadało:  
— Bo pan ma taką zabawną brodę...  
Robak wątpienia toczył już od drugiego seansu  
„zharmonizowanych" dobrą wiarę  
Słotnickiego. Bronił się jeszcze przed nową katastrofą,  
zwalczając przeciwników  
słowem i piórem, ale czuł ją w sobie.  
Dziś chciał się stanowczo przekonać.

Zajawszy miejsce tuż za krzesłem Emmy Müller, badał  
dotykem, pozbawiony wskutek  
ciemności pomocy wzroku. Kiedy się „wyższe objawy”  
zaczęły, starał się być tak  
blisko cudotwórczym, żeby nie stracić czucia z jej ciałem.  
Zrazu nie mógł nic dostrzedz. Szybszym od niego był August  
Schultze, ilekroć się  
bowiem Słotnicki przechylił, kierując się w stronę  
wykrzykników, chwyciła jego  
ręka tylko pustą przestrzeń. W tej samej prawie chwili wołał  
ktoś drugi, że go  
dotknęto.

Jakby na urągowisko jego czujności, upodobało sobie  
medyum właśnie jego osobę.  
To targało go za brodę, to uderzało po głowie lub trącało w  
kolano. Czasami  
odbierał równocześnie dwa „objawy.” Gdy schylił się do  
stopy, szczygnięto go za  
ucho.

Już zmęczył się daremną pogonią za ruchami Schultzego,  
kiedy uczuł na łydce  
jakby ostrożne przesuwanie czegoś miękkiego. Schwycił  
piorunem i trzymał w ręku  
ciepłą, miękką nogę kobiecą, rozebraną z bucika. Trzymał ją  
tylko przez kilka  
sekund — noga wyrwała się z wielką siłą — ale więcej nie  
potrzebował.

I nagle spadła z jego oczu łuska, utkana z majaków  
zropaczonego materyalizmu.  
Gdzie wczoraj wi-

dział działanie siły tajemniczej, dotąd niezbadanej, dostrzegł  
dziś zwyczajny  
ruch mechaniczny, z zagmatwanej zaś frazeologii mistycznej  
przemówiła do jego  
głowy, przywykłej do ścisłości myśli i słowa, bałamutna  
gadanina dusz, chorych  
na brak jasnej gwiazdy przewodniej.  
A kiedy zrozumiał, że padł ofiarą własnej łatwowierności i  
cudzej złej woli,  
wówczas uczuł wstręt do widowiska, którego był świadkiem.  
Krzyczący, tłoczący  
się, śmiejący medyumiści, razem ze stękającą, wzdychającą  
Emmą Müller, zrobili  
na nim wrażenie szaleńców, wypuszczonych z domu zdrowia  
lub dzikich, tańczących  
naokoło bożka z gliny.  
Ci ludzie dobrze wychowani, wykształceni, zkądniądz rozumni,  
a nawet zdolni,  
zachowywali się, jak gromada niesfornych żaków,  
zdziwionych sztukami tresowanej  
małpy.  
Oni badali? "Wierzyli, że badają?..."  
Porwał go taki gniew na dziecinna szopkę, w której brał  
tylekroć udział, że  
zaczął machać naokoło siebie rękami. Uderzał na prawo i na  
lewo, razem z Emmą  
Müller, wyrwał z pod jednego z kontrolerów krzesło, a kiedy  
„spotęgowana w ten  
sposób działalność siły tajemniczej," jak jakiś bystry  
obserwator nie omieszkał  
natychmiast zauważyć, podniosła jeszcze stopień hałaśliwego  
zachwytu między

medyumistami, wówczas zaśmiał się spazmatycznie, palnął  
Niemkę porządnie w kark,  
najbliższych sąsiadów kopnął nogą i korzystając z ciemności i  
ogólnego  
zamieszania, wybiegł z mieszkania Chojnackiego.  
— Dom waryatów! — mówił do siebie, gdy uciekał po  
schodach, ścigany przez wstyd  
i złość.

Znalazłszy się na ulicy, załamał ręce i zawołał:  
— Głupiec ze mnie, głupiec, głupiec!...  
Jakiś spóźniony przechodzień obejrzał się za nim, ale  
Słotnicki nie zdawkową,  
przyzwoitość miał dziś na myśli.  
— Głupiec, głupiec, głupiec! — powtórzył głosem  
stłumionym i odszedł wolno  
pustą, ulica.

## XI.

W Teatrze Wielkim dawano „Pajaców” Leoncavalla,  
poprzedziwszy ich baletem.  
Namiętna muzyka gorącego Włocha, chociaż znana  
Warszawie od kilku tygodni,  
zapełniła salę po raz dwudziesty, zwabiwszy znawców i  
nieznawców potęgą odczutei  
przez kompozytora prawdy.  
W jednej z łóż pierwszego piętra w pobliżu sceny siedziały  
panie Ostrobudzkie z

Żaglińskim.

Dziennikarz, przechyliwszy się do pani Olimpii z poufałością dobrego znajomego, zabawiał ją ploteczkami zakulisowymi o występujących baletniczkach.

— Proszę spojrzeć na tego jegomościa w pierwszym rzędzie krzeseł — mówił — na

tego z monoklem w lewym oku. Czy go pani widzi?

— Ten brunet z butonierką u fraka? — zapytała pani Olimpia, kierując lornetkę na miejsce wskazane.

— Były brunet, ex-brunet, nieboszczyk brunet lub coś w tym guście — opowiadał

Żagliński — bo hrabia Sieniński farbuje się już od lat dziesięciu. Dobry z niego

towarzysz przy kieliszku i zielonym stoliku, ale naiwny w romansie, jak

studencik. Rujnuje się na tę blondyneczkę, tę, co właśnie przoduje, a ona

zabawia się za jego pieniądze z jakimś chórzystą. Wszyscy o tem wiedzą,

a hrabia gotówby się bić za wierność swojej wybranej. Nie rozumiem, dlaczego

małżonkowie, legalni, czy nieuznani przez prawo, bywają zwykle aż do śmieszności

niedomyślni. Albo ten — Żagliński zwrócił ruchem głowy uwagę Ostrobudzkiej na

łożę przeciwległą, do której przed chwilą wszedł prezes Jasinowski z żoną — to

także taki pan z małemi różkami. Nietylko, że nic nie dostrzega, ale reklamuje nawet wszędzie swojego przyjaciela domu. Sto pociech słyszeć, jak prezes chwali Słotnickiego, jak wysławia jego talent, uczciwość i nie wiem już co więcej.

Uczciwość!...

Żagliński uśmiechnął się znacząco, spoglądając z pod zmrożonych powiek na Zofię, która śledziła pozornie z wielkiem zajęciem rytmiczne ruchy baletniczek.

Lekki rumieniec zabarwił jej blade policzki, gdy dziennikarz wymówił nazwisko kolegi.

— Czy stosunek pani Jasinowskiej z panem Słotnickim jest naprawdę własnością publiczną? — zapytała pani Olimpia z pod wachlarza.

— Są oboje tak pewni niedomyślności prezesa, że nie żenują się już wcale. Widują się codziennie, pokazują się razem w powozie, w teatrze, na koncertach i odczytach, zachwyceni sobą ciągle. To bardzo stary romans. Podobno kochała się prezesowa w Słotnickim jeszcze przed ślubem.

Mówiąc to, wsunął Żagliński głowę między panie, usiłując widocznie obdzielić obiedwie wiadomościami szeptanemi.

— Więc dlaczegóż się wówczas nie pobrali? — zauważyła pani Olimpia.

— Słotnicki nie był jeszcze wówczas dziedzicem Zalesia —  
odpowiedział

dziennikarz, spojrzawszy powtórnie na Zofię.

Ona siedziała obojętna, zapatrzona w błyskotliwy, barwny  
obraz fantastycznych  
strojów i wdzięcznych linii baletu. Blandość tylko jej twarzy  
zbielała o cały ton  
i powieki zasunęły się na sekundę na źrenice. Odemknęła je  
szybko i zakryła oczy  
lornetką.

Ale Żagliński pochwycił ten gest błyskawiczny.

Poruszył się niecierpliwie na krześle; przygryzł wargi. Jego  
czarne brwi  
ściągnęły się, tworząc powyżej nosa prostą linię. Miał w tej  
chwili wyraz  
twardy, mściwy.

— Ciągle? — warczało w jego duszy.

Tyle miesięcy zabiegał, trudił się, udawał uwielbienie dla  
uczoności  
niewieściej, z której w istocie drwił, nudził się śmiertelnie w  
towarzystwie  
pani Olimpii, nadskakiwał, służył, kłamał, a wszystkie te  
wysiłki nie miałyby  
odnieść skutku pożądanego?

Przez kilkanaście minut przypatrywał się i on baletowi. Jedna  
z koryfeuszek,  
poznawszy go, uśmiechnęła się do niego ze sceny. Innym  
razem byłby tancerce  
podziękował brawem za względy, dziś jednakże nie spostrzegł  
nawet jej  
łaskawości.

— Jak pokonać upór tej gąski? — myślał.



— Prezesowa posiada rzeczywiście dużo warunków na  
zjadaczkę serc męskich —  
odezwała się pani Olimpia. — Jest przystojna, elegancka,  
wytworna, wesoła i  
sprytna.  
— Niezawodnie — odparł Żaglinski. — Jak dla kogo —  
poprawił się szybko,  
przywołując na usta uśmiech lekceważący. — Zdaniem  
mojem, mogą się takie natury  
fin de siecle podobać tylko gustom zepsutym. Serca zdrowe,

gorące nie znoszą dam światowych naszej epoki, topiących w  
błocie brudnego  
flirtu nietylko czystość niewieścią, ale i samą miłość,  
najśłodsza rozkosz tej  
ziemi. Trzeba być zgangrenowanym do szpiku dekadentem,  
przeciwilizowanym  
histerykiem, by znajdować upodobanie w tych napozór  
świątecznych, a w istocie  
oschłych elegantkach.

Promienny błysk oczu pani Olimpji wynagrodził go za frazes,  
którego nauczył się  
kiedyś z jakiegoś artykułu Strojowskiego.

— Jak ja pana szanuję za te szlachetne poglądy — mówiła  
Ostrobudzka. — Tak  
rzadko spotyka się dziś czystość serca.

On pochylił skromnie głowę, posyłając w stronę Zofii po raz  
trzeci spojrzenie  
badawcze.

I po raz trzeci nie dostrzegł na twarzy dziewczyny ani śladu  
potwierdzenia. Nie

przekonał jej...

Wtem wszedł do przeciwległej łoży Słotnicki i uściskawszy rękę prezesostwa, zaczął się po sali rozglądać.

— Jest! — szepnął Żagliński. — Założyłbym się, że poczciwy prezes, którego dusza rwie się do winta, zostawi ich po balencie samych, aby mogli swobodnie gruchać.

Zofia, zasłoniwszy twarz wachlarzem, odwróciła ostrożnie głowę.

Właśnie zauważył Słotnicki sąsiadki. Powitawszy je obojętnym ukłonem, prowadził lornetkę dalej.

— Prosiłem kiedyś Stefana — kłamał Żagliński, wpatrując się w Zofię — aby się paniom przypomniał, ale wprost odmówił. Zastawiał się, jak zwykle, brakiem czasu. O ile mi wiadomo, przyjmowały go panie zawsze bardzo uprzejmie, przeto nie mogę sobie jego postępo-

wania wytłómaczyć. Głównie pannie Zofii, gorliwej czytelniczce i wielbicielce jego artykułów, należałaby się wdzięczność, lecz ci utalentowani panowie miewają dziwne pojęcia o swoich przywilejach. Oni pozwalają się łaskawie uwielbiać, miłość nawet biorą z takim lekceważeniem, jak gdyby szczere uczucie nie obowiązywało do niczego. Kochaj, bo nie możesz inaczej. Oto ich zasada!

Teraz dostrzegł Żagliński coś takiego, czego narazie nie rozumiał. Głowa Zofii, dotąd pochylona, podniosła się nagle, w oczach jej zamigotały błyski zimne, stalowe, a usta zwały się szczelnie.

Trwało kilka chwil, zanim chytry wzrok dziennikarza odcyfrował znaczenie zmienionej gry rysów, ale kiedy odczytał pismo duszy, wówczas uśmiechnął się z zadowoleniem:

— Więc tu twoja słaba strona? — mówiło przebiegłe spojrzenie Żaglińskiego. —

Pyszna jesteś szlachcianeczko? Mam cię nareszcie!

Pochylił się tak nisko do Zofii, że jego głos płynął prosto do jej ucha.

— Nietylko lekceważą ci wybrańcy losu, jak się sami nazywają, miłość — syczał —

lecz depczą nawet brutalnie honor niewieści, chwając się łatwemi zwycięstwami.

Twarz dziewczyny oblał gorący rumieniec. — To być nie może! — szepnęła.

— Jest tak! — ciągnął Żagliński dalej — bywam bowiem częstym świadkiem takich

nie-męskich popisów. Ze Stefanem byłbym się któregoś dnia na śmierć poróżnił.

Opowiadał o jakiejś pannie ze wsi, która się jakoby w nim bez pamięci

rozmiłowała. Drwił z gąski prowincjonalnej, jak się wyraził i byłby może

wymienił

nazwisko osoby interesowanej, gdybym mu nie był zagroził  
rozprawą honorową.  
Żagliński mógł być zadowolony ze swojej nowej taktyki, kilka  
bowiem minut  
działało więcej, niż całe miesiące zręcznych zabiegów.  
Błada, z posiniałymi ustami, patrzyła Zofia przed siebie, nie  
śmiejąc podnieść  
oczu. Przygniatał ją wstyd. Obrażonej dumie córki wolnych  
od wieków ziemian  
zdawało się, że całe otoczenie wie o jej klęsce.  
Bo rzeczywiście...  
Była tyle nierozważna, iż nie ukrywała przed nim swojego  
uczucia. Poddawała mu  
je oczami, głosem, uściskiem ręki, narzucała mu się... A on?...  
On przenosił nad  
nią tę błyskotliwą kokietkę, tę...  
Gdyby się teatr w tej chwili był zapadł i pokrył ją gruzami, nie  
byłaby się  
bronila. Męczyło ją światło, widok ludzi, szelest własnego  
oddechu.  
— Ale takim panom wszystko wolno — mówił jeszcze  
Żagliński, rozkoszując się  
porażką dziewczyny. — Odepchnięte, wzgardzone, cisną się  
białogłowy do nich...  
Szybko podniosła Zofia głowę. Na jej gładkim czole ukazał  
się mars, a oczy  
patrzyły zimno.  
Żagliński, zmiarkowawszy, że posunął się zadaleko, powitał z  
przyjemnością  
koniec baletu. Burza oklasków, szumiąca w sali, uwolniła go  
od dalszych  
tłómaczeń.

W łoży przeciwległej stało się w istocie tak, jak dziennikarz przepowiedział.

Gdy kurtyna zapadła, polecił prezes żonę Słotnickiemu, a sam udał się na jakiegoś winta.

— Proszę usiąść za mną w takiej pozycji — odezwała się prezesowa po odejściu męża — abyśmy mogli

swobodnie gawędzić. Cud, że sobie łaskawca dziś mnie przypomniał. Jakiemu to wypadkowi przypisać?

— Pospolitym nudom — odpowiedział Słotnicki, siadając za fotelem pani

Jasinowskiej. — Nie wiedziałem, co z sobą począć, więc...

— Więc, i tam dalej — dokończyła prezesowa. — I grubiaństwo ma swój urok, gdy przychodzi po kilku dniach banalnych grzeczności, proszę jednakże nie nadużywać tej szczególnej metody, bo mogłabym się raz nadobre obrazić.

— Nic w to nie wierzę.

— Dlaczego, mój zarozumiały panie?

— Tylko kochankowie gniewają się chętnie, szukając sposobności do miłych przeprosin, przyjaciele zaś nie dręczą się niepotrzebnie.

— Bardzo dobrze powiedziane, ale trochę nudnie.

— Pozwalam być dowcipniejszym. Prezesowa zaśmiała się zcicha.

— O tem, po tem, a teraz egzamin — wyrzekła, odwróciwszy się do Słotnickiego. —

Jakie powody skłoniły pana dobrodzieja do rzucenia sztandaru okultystów? Ale może nie wolno o tem mówić; może to znów jaka bardzo bolesna rana, jakie zmartwienie pierwszego rzędu, nieprzystępne dla płytkiej inteligencji płci słabej? Jeżeli nie wolno, proszę powiedzieć otwarcie. Już się pan marszczy? Więc nie? Mówmy o czem innym... — Przeciwnie, mówmy o mojej ostatniej dezercyi, jak piszą okultyści — odparł Słotnicki — nie chciałbym bowiem, aby pani mnie źle osądziła. Przyjaźni należy się szczerłość. Porzuciłem badaczy tak zwanej nieznannej siły dlatego, bo mnie ich doświadczenia i nadzieje nie przekonały. Nie drobiazgowych objawów natury podejrzanej spodziewałem się od nowej doktryny, lecz ja-

kiejś rozumniejszej odpowiedzi na mnóstwo otaczających nas zagadek. Nie twierdzą stanowczo, aby na drodze, obranej przez okultystów, nie można dojść do jakichś rezultatów pozytywnych; wszakże droga to dotąd tak niepewna i tak zarzucona śmieciami pospolitych sztuczek kuglarskich, iż jej wysiłki jednego pokolenia nie oczyszczą, mój zaś temperament nie znosi terminów pozagrobowych. Cóż mnie może obchodzi świadomość potomnych?

Słowa Słotnickiego śledziła prezesowa uważnie uchem i okiem. Dziwił ją spokojny głos i obojętna twarz publicysty. Pamiętała doskonale głęboki żal, z jakim zegnał przed opuszczeniem Warszawy swoje złudzenia materialistyczne. Był wówczas podrażniony, opryskliwy, chory.

— Jak widzę — odezwała się — przyjął pan tę drugą porażkę mniej tragicznie, aniżeli pierwszą, z czego się serdecznie cieszę, lękałam się bowiem nowego ataku pesymizmu. Tak pan przed rokiem cierpiał...

Słotnicki podziękował za ciepły ton głosu prezesowej uśmiechem i lekkim pochyleniem głowy.

— Zawsze pani równie dobra i poczciwa — mówił. — Inne to było bankructwo. Razem z wiarą materialistyczną runęły ideały młodości i wartość długoletniej pracy.

Byłem wówczas rzeczywiście rozbitkiem, podczas kiedy dzisiejsza porażka dotknęła tylko jednego z wielu złudzeń niespokojnej głowy, która nie umie być beczynną.

Okultyzm nie jest ani wiedzą, ani pełnym światopoglądem, lecz, jak dotąd, jedynie eksperymentem, nieudanie zaś takiego lub innego doświadczenia nie usuwa ochoty do dalszych poszukiwań. Zawiodło jedno — pocieszy drugie. Trzeba czekać na wskazówkę szczęśliwszą.

— Jeszcze pan chce szukać, czekać? — zawołała prezesowa, szczerze zaniepokojona.

— Dałbyś już raz pokój z temi badaniami. Śmierć nadejdzie, a nie użyjesz niczego

na ziemi, strawiony przez owe nieznośne pytania: z kąd? dokąd? dlaczego? Zaczynij nareszcie żyć, jak wszyscy ludzie.

— Zakochaj się, ożeń, wychowuj dzieci — wyrzekł Słotnicki.

— Choćby i tak. Zawsze to lepsze, niż te wasze pesymizmy i szamotania. Wybrałam już nawet dla ciebie żonę, panie Stefanie.

— Dla mnie... żonę?... To ciekawe... Zdziwienie malowało się w oczach

Słotnickiego.

— Proszę spojrzeć przed siebie, do łoży przeciwległej — mówiła prezesowa.

— Panna Ostrobudzka? — zapytał Słotnicki.

— Właśnie ona...

— A dlaczego ona?

— Bo panna Ostrobudzka kocha ciebie, niedomyślny marzycielu, bez pamięci, bez zachowania ostrożności i względów, bo ona będzie twoją najlepszą przyjaciółką, niewolnicą, służką, czem tylko zechcesz...

Słotnicki dziwił się coraz więcej.

— Nic o tem nie wiem — mrukną.

— Ale ja wiem; wiedzą o tem moje oczy, oczy kobiety, czujne w takich razach, jak

podejrzliwość. Każda z nas odgadnie miłość nawet w udanej nienawiści, panna

Ostrobudzka zaś nie ukrywa się wcale ze swoim afektem. Raz tylko słyszałam, jak



mówiła o panu u Skrzydlewskich i wiedziałam dosyć. Byłbyś nierozumnym, panie Stefanie, gdybyś nie pochwycił oburącz kochającego serduszka ładnej dziewczyny, posiadającej oprócz zalet ciała i umysłu, same tylko warunki doda-

tnie, dobre nazwisko, majątek, wychowanie i młodość.. Ale spiesz się, żeby ci jej ten chytry Żagliński nie sprzątnął z przed noska.

— Żagliński?

Słotnicki roześmiał się.

— Ależ to mój przyjaciel od lat dzieciennych — wyrzekł. —

Nie ukrywałby przedemną

tak zwanych zamiarów. Nie wiedziałem nic o tem, że

prezesowa dobrodziejka

posiada tak bujną wyobraźnię.

— A ja wiem doskonale, że redaktor dobrodziej bywa w sprawach tej ziemi

naiwniejszy od zaczka szkolnego. Żagliński przyjacielem?

Komu? Oprócz siebie,

swoich upodobań, zachceń, interesów, nie kochają takie chytre lisy nie i nikogo.

Naucz-że się pan nareszcie znajomości ludzi! O spójrz teraz i dośpiewaj sobie

resztę, niepraktyczny fantasto!

Żagliński, który opuścił po zapadnięciu kurtyny łożę, wrócił właśnie, niosąc w

ręku bombonierkę i wspaniałą bukiet z białych kamelij.

Kwiaty ofiarował Zofii,

cukierki zaś jej matce.

— Nic pan nie dostrzega? — zapytała prezesowa Słotnickiego.

On wzruszył ramionami.

— Widzę tylko, co nie jest dla mnie nowością — odparł — że mój koleżka nie przestał być uprzejmym bawidamą. Sport ten uprawiał zawsze umiejętnie i z przyjemnością.

— Tak sobie, dla samego sportu?

— A dlaczegożby innego?

— Oj, oj, panie obserwatorze... Prezesowa poruszyła głową niecierpliwie.

— Że też serca prawe — mówiła, spoglądając z wyrzutem na Słotnickiego — muszą się zawsze łudzić ku

wielkiej radości przeróżnej hałastry, wyzyskującej skwapliwie ich łatwowierność.

Więc panu się zdaje, iż taki Żagliński trudziłby się dla kogoś przez chwilę,

myślał o kimś przez sekundę, gdyby nie miał w tem jakichś celów osobistych? Jest

to typ pospolitego sybaryty i karyerowicza, który w razie potrzeby, rodzoną matkę okłamie i oszuka.

Słowa prezesowej nie przekonały Słotnickiego.

— Widzę tylko, że pani nie lubi Żaglińskiego — wyrzekł.

— Ale pana lubię i szanuję — zawołała pani Jasinowska żywo

— przeto proszę, abyś

się do panny Ostrobudzkiej zbliżył. Byłaby to naprawdę szkoda niepowetowana,

gdyby się taka wyjątkowa partya stała łupem takiego Żaglińskiego.

Przed zapuszczoną, kurtynę wyszedł baryton opery w przebraniu pajaca włoskiego.

W sali zamilkły szepty. Kompozytor zaczął słuchaczy czarować.

Wędrowny komedyant Leoncavalla wtajemniczał publiczność w niewesołe losy

płatnego bawiciela, sprzedającego nieraz śmiech sztuczny w chwilach śmiertelnego

bólu. Zazdrość, nienawiść, rozpacz, szarpia jego serce — głód trawi jego

wnętrznosci, nędza depta jego dumę, a on, wzgardzony przez wszystkich histryon,

musi za garść pieniędzy stroić twarz znękaną w uśmiech swobodny. To jego

rzemiosło... Pajacowi nie wolno posiadać chorego dziecka, wiarołomnej żony,

konającej matki...

Szerokim strumieniem spływała szczerza skarga komedyanta na słuchaczy, tłumiąc

resztki szeptów. Kiedy podniesiono zasłonę, zalegała salę cisza poważna.

Na co się pajac w prologu skarżył, to ilustrował dramat, rozgrywający się na

scenie. Stara, jak zmienić-

ność niewieścia, zdrada w miłości — odwieczny motyw romansów, komedyi, fars i

tragedyj — przybrał raz jeszcze ciało artystyczne i nie znużył nikogo. Rozpacz

komedyanta, potężna, głęboka, odrywająca się od jego duszy  
zranionej jękami i  
łkaniem tłumionem, nie zrobiła wrażenia kłamstwa  
teatralnego. Ożywił ją talent  
Leoncayalla.

Płacz tenora szedł po sali, potracając tu i owdzie o łzy  
pokrewne. Niejedno  
czoło okryło się cieniami smutnej zadumy, niejedno oko  
patrzyło przed siebie,  
zamyślane, ponure.

Kiedy się pajac zaczął skarżyć, pochyliła Zofia głowę.  
Rozpacz zdradzonego małżonka płynęła prosto do jej serca,  
poruszając w nim  
nagromadzoną od kilku miesięcy gorycz. Bo dlaczegóż  
wplotła ona w myśli swoje  
człowieka, który nie starał się nawet zachować wobec niej  
zwykłych form  
towarzyskich?...

Bogata, młodą dziedziczkę, otaczał już w uniwersytecie  
różnobarwny wieniec  
konkurentów. Ubiegali się o jej względy Francuzi i Włosi,  
Niemcy i Węgrzy. I tu,  
w Warszawie, okrążał ją rój kłamanych i szczerych  
wielbicielów. Nie sam tylko  
Żagliński prześladował ją uprzejmościami.  
Dlaczego uczepiła się jej tęsknota dziewczica właśnie  
Słotnickiego? Nie zachęcił  
jej niczem, nie okazał najbłahszem słowem, że mu jej pamięć  
była miłą. Zawsze  
chłodny, obojętny, przemawiał do niej, gdy się gdzie  
wypadkiem spotkali, jak do  
obcej.

Nie byłaż mu w istocie obcą?... Nie łączyły ich ani spojrzenia,  
ani uściski rąk,  
ani poufne szepty.  
Zofia spojrzała z pod czoła w stronę łoży, zajmowanej przez  
prezesową i  
Słotnickiego.

Siedzieli teraz obok siebie, pochyleni oboje ku scenie.  
Wystarczało na nich  
spojrzeć, aby wiedzieć, że byli sobie bliscy.  
Tak, Żagliński mówił prawdę. On ją kochał, a ona, zwodnica,  
wabiła go do siebie,  
olśniona jego rozgłosem. Niech się więc kochają...  
Niech się kochają?  
Zofia przygryzła wargi do krwi, usiłując opanować ból, który  
szukał ujścia w  
płaczu.  
Niech się kochają?...  
Przeszkodzić nie może... zdobywać sobie jego serca dalej nie  
chce... nie... nie  
chce... nie powinna... Niech się więc...  
Ukryła szybko twarz w bukiecie, aby osuszyć łzy, które  
pokonały jej wolę.  
Właśnie zapadała kurtyna po ostatnim, chrapliwym jęku  
pajaca. Korzystając z  
przeciągłych oklasków, wydobyła Zofia z za stanika  
koronkową chusteczkę i  
przyłożyła ją do oczu.  
— Opowieść stara, jak człowiek — odezwała się prezesowa  
do Słotnickiego po

skończeniu pierwszego aktu — a mimo to zawsze nowa i wzruszająca.

— Bo cywilizacja zmienia tylko ramy społeczne i towarzyskie, nie tykając istoty człowieka — odpowiedział Słotnicki.

— I zawsze ładna — dodała prezesowa szeptem, jak gdyby do siebie, podnosząc rozmarzony wzrok do sufitu.

— Bo łączy dwie istoty, dopełniające się nawzajem, tworzące dopiero w związku miłosnym doskonałą całość, pełnego człowieka. Oczy Jasinowskiej spoczęły zdziwione na twarzy Słotnickiego.

— Pan to mówi? — wyrzekła.

— Panią to zdumiewa? — zapytał.

— Sądziłam, że pana tylko oderwane teorie zajmują.

— Zajmuje mnie człowiek w ogóle, w życiu zaś doczesnym odgrywa miłość rolę pierwszorzędną.

— Dlaczegoż więc lekceważysz tę siłę pierwszorzędną, panie Stefanie?

— Nie siłę lekceważę, lecz jej fałszywe zastosowanie.

— To już dla mnie zamądre. Nic nie rozumiem.

— Zaraz pani zrozumie. Ponieważ dobiegam już czterdziestego roku życia, czyli, ponieważ patrzę dość długo na ludzi, przeto wiem z osobistej obserwacji, że to, co marzenie różnych fantastów miłością nazywa, jest tak samo kwiatem rzadkim,

jak cnota i talent. Łącząc się na stopniach ołtarza dozgonnie,  
mają przeciętne  
stadła zwykle mnóstwo pobudek na względzie, oprócz właśnie  
owego węzła  
najtrwalszego, bo naturalnego.

— Teraz pana rozumiem — mówiła prezesowa — i żałuję, że  
nie poznaliśmy się  
wcześniej. Możebym pana nauczyła kochać życie i poruszać  
się bez żalu w jego  
ciasnych granicach.

— Może — szepnął Słotnicki — ponieważ jednakże losy pani  
są już zamknięte,  
przeto będzie dobrze, gdy zmienimy temat.

I w loży przeciwległej była miłość osią rozmowy.

— Tylko rasy południowe umieją kochać z taką  
gwałtownością — zauważyła pani  
Olimpia, gdy kurtyna zapadła.

— W tym razie, ale tylko w tym jednym, pozwolę sobie być  
odmiennego zdania —  
odparł Żagliński. — I my potrafimy kochać bez pamięci, do  
szalu, co zależy oczy-

wiście od danej jednostki. Rozumie się, że miłość gorąca nie  
zapłonie nigdy w  
wystudzonym sercu dekadenta, że wybucha ona jedynie z  
natury zdrowej,  
nieskażonej przez rozpustę i niezatrutej przez analizę. Mało w  
naszej epoce  
ludzi, zdolnych do wielkiej miłości — przyznaję — ale są  
jeszcze tacy  
nieszczęśliwi.

— Dlaczego nieszczęśliwi? — zapytała Ostrobudzka.

— Bo spotykają się najczęściej z nieufnością osoby ukochanej lub co gorsza...

Żagliński urwał, spoglądając na Zofię. Po chwili dokończył głosem stłumionym:

— Padają zwykle w walce z niegodnymi współzawodnikami, do których płęć piękna ma, jak wiadomo, słabość szczególną.

— Spodziewam się, że pan tego zarzutu nie odnosi do kobiet oświeconych — odezwała się pani Olimpia.

Słowom jej towarzyszyło takie spojrzenie, że się Żagliński cofnął w krzesło.

Przeraziły go słodkie, rozmarzone oczy matki Zofii.

— Czyżby?... A tobym się urządził!... — pomyślał. —

Wyrażała się zawsze o małżeństwie z lekceważeniem, z pogardą nawet, ale któż ją wie? Zasady kobiet w

pewnym wieku — to frazesy, pisane na wietrze jesiennym.

Rozwiewa je najbliższa grzeczność mężczyzny.

— Pan, panie Władysławie — mówiła pani Olimpia, nie spuszczać z niego oczu —

nie może się skarżyć na brak uznania u kobiet rozumnych.

Rozumnych? Mądrych?...

Żagliński pochylił się, udając, że szuka upuszczonej chustki.

Nie mógł

powstrzymać szyderskiego uśmiechu.

— Bo pan należy do umysłowości wyjątkowych — dodała jeszcze pani Olimpia. — Pan wie, że tylko kobiety



dojrzałe umieją głęboko czuć i ocenić należycie szczyry afekt. Dojrzałe? Szczyry afekt? Więc to prawda?...

Ona odnosiła jego zabiegi do siebie, a on, zajęty swojemi planami, nie zastanawiał się nawet nad tem, że kobieta czterdziestoletnia nie wyrzeka się marzeń o miłości.

Żagliński załamał ręce z taką złością, że wszystkie palce trzasły w stawach.

Trzeba było coś odpowiedzieć, ale co? Miał ochotę odepchnąć tę suchą, brzydką, malowaną babę, a musiał udawać uszczęśliwionego.

— Pani... — bąknął.

Odbiegła go w tej chwili zwykła zręczność i przytomność.

Na jego szczęście podniosła się znów zasłona i na scenie dobiegał do kresu

dramat, nawiązany w pierwszym akcie.

Z wielkiem zajęciem śledziły panie przebieg akcji. Kiedy pajac, zamordowawszy

żonę i jej kochanka, szeptał gasnącym głosem: La comedia e finita! — spojrzała

Zofia jeszcze raz szybko w stronę łoży Słotnickiego i szepnęła do siebie:

finita, finita!...

Z powrotem do domu, w powozie, wcisnęła się w kąt i nie brała udziału w

rozmowie, podtrzymywanej głównie przez panią Olimpię, bo i Żagliński stracił

ochotę do wymiany wrażeń.

— Pan przyjmie u nas filiżankę herbaty? — zapraszała

Ostrobudzka, gdy kareta

wjechała w bramę kamienicy.

Nie odpowiedziawszy nic, podał jej Żagliński rękę i poprowadził ją po schodach na pierwsze piętro. Idąc, czuł, że jej ramię tuliło go do siebie.

Ale nie o uściskach pani Olimpii myślał w tej chwili. Zrozumiawszy, że spotkał na drodze do wytkniętego celu bardzo poważną, przeszkodę, szukał sposobu do jej pokonania. Nagle podrzucił bezwiednie głowę: wiedział, co zrobi. Postawił odrazu wszystko na jedną kartę. Był bardzo rad, gdy Zofia, zastawiwszy się bólem głowy, odeszła do swojego pokoju. Chciał się z jej matką, rozprawić bez świadków. — Doznałem od pani tyle dowodów życzliwości — zaczął, gdy został sam z Ostrobudzką — iż mam prawo liczyć na pobłażliwość, gdybym coś takiego uczynił, coby przekraczało granice zwykłej przyjaźni. — Pan wie najlepiej — odpowiedziała pani Olimpia — że panu u nas dużo wolno. Mówiąc to, zarumieniła się, jak podłotek i spuściła oczy. Siedzieli w buduarze naprzeciw siebie, ona na kozetce, on na fotelu, przedzieleni małym stoliczkiem, na którym lokaj ustawił filiżanki z herbatą. Żagliński namyślał się przez chwilę, potem mówił dalej: — Bystremu oku matki nie mogło ujść, iż nie zdawkowa tylko przyjaźń przykuła mnie do stóp pań. Jeżeli życzliwość, jakiej doznałem już w Ostrobudkach, nie

była pospolitą sympatyą towarzyską, wówczas nie odmówi mi  
pani ręki panny Zofii,  
o którą ośmielałam się prosić.  
Wyrzuciwszy to oświadczenie szybko z siebie, spojrział z  
wyteżeniem całej uwagi  
na panią Olimpię, czekając z powstrzymanym oddechem na  
odповідź.  
Czekał nakazie daremnie.

Matka Zofii siedziała z głową pochyloną, złamana, blada. Nie  
miała odwagi, ani  
siły podnieść oczu.  
Żagliński zrozumiał doniosłość tej chwili, więc ujął zimne  
ręce kobiety  
zawiedzioną i ucałował ją, mówił głosem stłumionym:  
— Do tego kroku nakłania mnie nie sama tylko miłość do  
panny Zofii. Kocham  
panią, jak najlepszą krewną, jak starszą, uwielbianą siostrę.  
Chciałbym zostawać  
zawsze w bezpośrednim otoczeniu pani, bliski jej sercu i  
myślom. Służyć pani,  
słać kwiaty, spokój i uśmiechy pod jej stopy uwielbiane, oto  
marzenie mojego  
życia.  
Pochylił się po raz wtóry do rąk pani Olimpji i okrył je  
pocałunkami.  
— Jako twój zięć, będę posiadał prawo wcielenia moich snów  
serdecznych, droga  
pani! — szeptał. — Będziemy zawsze razem, zawsze obok  
siebie...

Teraz podniosła pani Olimpia głowę i ogarnęła Żaglińskiego spojrzeniem pełnym żalu.

— Będziemy zawsze razem... — powtórzył, pochylając się ku niej. — Niech pani będzie moją orędowniczką u panny Zofii.

— Uczynię, o co prosisz, panie Władysławie — odezwała się pani Olimpia głosem drżącym i dotykając końcami ust jego włosów — dodała. — Przyjdź jutro po odpowiedź.

— Dziękuję, dziękuję, życiem odpłacę...

Zmęczony sceną, która mu nie sprawiała przyjemności, pożegnał Żagliński panią Ostrobudzką i oddalił się szybko.

Ona spoglądała przez dłuższy czas na drzwi, które się za nim zawarły, potem dźwignęła się ociężale z kozetki i zbliżyła się wolno do dużego zwierciadła.

Wierne szkło odbiło jej cerę, zniszczoną bielidłem, włosy, posiwiące na skroniach i żółtą, szyję.

Z głęboką boleścią przypatrywała się sobie.

— A mnie się zdawało, iż mi się jeszcze coś od życia należy...

— mówiła do siebie.

Oparła głowę na oprawie lustra i roniła łzy ciche.

— Już nic, już nic... — wyrzekła jeszcze i udała się do pokoju córki.

Zofia nierozebrana, w jasnej, strojnej sukni, którą miała w teatrze, spoczywała na szezlongu, z rękoma splecionymi pod głową. U jej stóp, na kobiercu, walał się bukiet Żaglińskiego.

Kiedy matka weszła, nie zwróciła nawet oczu w jej stronę. — Może tobie czego potrzeba? — zapytała pani Olimpia, schylając się troskliwie nad córką.

Dziewczyna wstrząsnęła głową przecząco.

— Antypiryna robi dobrze na migrenę... Zofia milczała.

Pani Olimpia przysunęła sobie krzesło i usiadłszy, przypatrywała się przez kilka chwil w milczeniu bladej twarzy córki. Potem westchnęła i wyrzekła:

— Szczęście ludzkie wygląda inaczej, niż się nam w Zurychu zdawało. Prawda?

A nie doczekawszy się odpowiedzi, ciągnęła dalej:

— Rozumiem bardzo dobrze twój smutek i twoje tęsknoty, byłam bowiem także młodą i cierpiałam dużo. Przykro mi, że masz do mnie tak mało zaufania, chociaż

staralam się być dla ciebie nie matką, ale przyjaciółką.

— Mamo! — odezwała się Zofia z wyrzutem w głosie.

— Obraża cię moja wymówka? — mówiła pani Olimpia — a przecież zasłużyłaś na nią, ukrywając przed matką tajne swojego serca pragnienia.

Uczyliś to

niepotrzebnie, bo zgadzam się na twój wybór.

— Ty, mamo! — szepnęła Zofia, podnosząc głowę.

— Lubiłam i szanowałam pana Żaglińskiego od pierwszej chwili naszego poznania...

Głowa Zofii opadła znów na poduszki, a po ustach jej przewiął się uśmiech bolesny.

— Pan Władysław zasługuje ze wszech miar na szczere uczucie i zapewni każdej kobiecie zaszczytne stanowisko w świecie inteligentnym. Jest to dla ciebie najodpowiedniejszy mąż, a dla mnie zięć wymarzony. I cóż, czy nie uściskasz mateczki?

— Czy mamie bardzo o to idzie, abym była żoną pana Żaglińskiego? — zapytała Zofia, nie spiesząc się wcale, ku zdziwieniu pani Olimpii, z żadaną pieśczętą.

— Udajesz obojętną, mała hipokrytko, jak gdyby oko matki można w błąd wprowadzić. Nie jesteś nawet ciekawa, czy się pan Władysław oświadczył?

Porozumieliście się już dawno za moimi plecami, licząc z góry na przyzwolenie.

Nie opieram się, stawać na drodze waszego szczęścia nie myślę, pragnę nawet

gorąco aby ten związek doszedł jak najprędzej do skutku.

Teraz oplotła Zofia szyję matki ramionami i tuląc się do jej piersi, wyrzekła

głosem, przesiąkniętym łzami:

— Jeżeli mama tego związku pragnie, niech się stanie, bo mnie... już... dziś...

wszystko... jedno.

Ostatnie słowa skończyły w cichym łkaniu.

Żagliński spieszył tymczasem na ulicę Wspólną, świszcząc po drodze aryę z

„Pajaców." Był z siebie zadowolony, dobiegł bowiem, jak mniemał, do kresu półrocznych zabiegów.

— Będzie nareszcie moneta, gruba moneta! — wyrzekł głośno, nie zwracając uwagi na przechodniów.

Na rogu Alei Jerozolimskich podskoczył zręcznie, wybijając obcasami hołubca.

— Ciesz się, Izraelu! — mruknał — łykniesz sobie odrazu całą mamonę! Byłeś cierpliwy, przyznaję...

Znalazłszy się w swoim mieszkaniu, zapalił świecę i zadzwonił na służącego.

Daremnie jednak przykładał palec dwa razy do guzika aparatu elektrycznego; Antek nie pokazywał się.

— Antek! — huknął do drugiego pokoju. Lokajczyk nie odzywał się.

— Cóż u dyabła? Śpi znów, czy włóczy się po mieście? Trzeba wziąć porządnego lokaja. Na nic taki chłopak.

Zniecierpliwwszy się czekaniem, pobiegł Żagliński do kuchenki, służącej Antkowi za mieszkanie. Zwykle paliła się tu lampa, nawet wtedy, kiedy chłopiec wychodził za sprawunkami, dziś jednakże nie było światła.

Już chciał Żagliński wracać do siebie, kiedy go podejrzany szelest zatrzymał na progu. Słyszał wyraźnie, że się coś porusza i skrzypi.

— Cóż to, myszy? — mruknął i potarł szybko zapalną o pudełko.

Zamiast myszy, ujrzał w izdebce niespodziewane widowisko. Oto siedział Antek ze stróżem domu i z jakąś dziewczyną przy stoliku i wywoływał „ducha.”

— Powaryowaliście, czy co? — zawołał Żaglini, tłumiąc śmiech. — Zaraz mi się wynosić!

Spłoszeni spirytyści wysunęli się pospiesznie z kuchenki.

— W głowie ci się przewraca! — mówił Żaglini do Antka, ciągnąc go za ucho do

pierwszego pokoju. — Pilnowałbyś lepiej służby!

— Bo to kucharka od doktorów chciała się koniecznie dowiedzieć, czy ją ten

ślusarz z Hożej jeszcze lubi? — tłumaczył się Antek.

— I dowiedziała się? — pytał Żaglini, uśmiechając się.

— Kiedy pan ducha przestraszył zapalną...

— Dowie się kiedyindziej, a teraz opowiadaj, co się dziś w domu działo?

— Co się miało dziać? — mówił Antek, pocierając obrażone ucho. — Dzwonek

brzęczał bez cały dzień, że nie mogłem się ani na chwilę zdrzemnąć, a drzwi, to

się prawie rozleciały od ciągłego otwierania i zamykania.

— Bo ty umiesz lekko zamykać!

— Za tym rudym żydem to tak palnąłem drzwiami, że zwałił się parch ze strachu ze schodów.

— A czego Piernik chciał?



— Czego chciał? Wrzeszczał, że nas straduje, sprzeda ze szczętem, wyrzuci na ulicę. Gałgan! Mało to nałykał się prezentów! I krawiec był i szewc i sklepikarz i ogrodnik za kwiaty i cukiernik i różne inne wydrwigrosze. Już mi się przykrzy ujadać ciągle z tymi złodziejami. A co oni na mojego pana wygadują! Szewca zmierzyłem trzepaczką za paskudną gębę.  
— Przeszaną niedługo gadać; zapłacimy wszystko.

Antka zdziwiły tak bardzo słowa pana, iż zapomniawszy o bolącym uchu, otworzył usta szeroko.

— Eh! — mruknął z niedowierzaniem.

— Zapłacimy — potwierdził Żagliński.

— To chyba mój pan wygrał na loteryi?

— Może...

— A to frajda! — zawołał Antek. — A powiedział mi duch, że wygramy.

— Powiedział?

— A juści. Kiwnął dwa razy nóżką stolika...

## XII.

W tydzień potem zegnał się Słotnicki z panią Jasinowską. Wypili razem herbatę, przegawędzili kilka godzin, a teraz stali przy drzwiach

buduaru i trzymali się za ręce w szczerym uścisku.

— Więc jedziesz, mój stary przyjacielu? — pytała prezesowa głosem miękkim. —

Prawdaż to, że chcesz opuścić na długo kraj, Europę? Dziwną mi się ta powieść wydaje.

Słotnicki wzruszył ramionami.

— Dziwnem wydaje się wszystko — odrzekł — co wybiega po za ramy pospolitości.

Dziwakiem nazywa praktyczny rozum bohatera, męczennika, prawdomównego,

uczciwego, literata, artystę, wszelką w ogóle niezwykłość, chociaż właśnie tym

dziwakom, czy narwańcom, zawdzięcza ludzkość swoje dzieje ludzkie. Bez nich

byłaby ona gromadą zwierząt, pochłaniających się nawzajem z głodu i zawiści...

Tak, jadę... Pójdę teraz nad Ganges, do kołyski szczepu aryjskiego, do świętego

ludu Buddy, który, mimo najstarszej cywilizacji, zachował czystość serca i

podniosłość ducha, zapanowawszy nad pożądaniem ciała.

Może mi prostota Indyj

Wschodnich powie więcej od przewrotnej wytworności

Paryża,

Londynu, Rzymu i Wiednia. Europę przebiegłem już nie raz, nie dwa. Obrzydła mi

ta zmysłowa, szachrująca i kłamliwa epizyka.

— Zawsze ten sam niepoprawny marzyciel — mówiła prezesowa, patrząc na

Słotnickiego z życzliwym uśmiechem. — A gdybyś, mój ty nieuleczony fantasto, i nad Gangesem znalazł tych samych ludzi, te same smutki i uciechy, te same głupstwa i podłości, bo istoty człowieka nie zmieniają ani klimat, ani warunki zewnętrzne?

— Gdybym tam znalazł, co tu porzucam, zmęczony obłudną grą życia i nicością wiedzy, wówczas...

Słotnicki zamilkł, szukając odpowiedzi.

— Nie wiem, co wówczas będzie — odezwał się po chwili.

— Tyle wiem tylko, że zwiedzanie nieznanych krajów jest jedyną prawdziwą przyjemnością dla umysłu dojrzałego. Patrząc ciągle na nowe rzeczy, zapomina się o tem nudnem przelewaniu pustego w próżne, które się działalnością publicysty zowie; stojąc, jako podróżnik, po nad sprawami bieżącemi obcego narodu, nie widzi się owych codziennych, drobnych głupstw i podłości, z których się życie ludzkie splata.

— Więc nie dasz się pan odwieść od zamiaru? — pytała prezesowa głosem, w którym drżał żal.

Nagle spojrzała z trwogą w oczach na Słotnickiego.

— A gdybyś nie wrócił, panie Stefanie?... — wyrzekła. — Do Indyj jedzie się morzem...

Słotnicki uśmiechnął się.

— Śmierć nie omija nikogo — odpowiedział. — Jest to na ziemi jedyna prawda, nie

podlegająca żadnej wątpliwości. Umrzemy kiedyś wszyscy — i ja i pani...

Prezesowa wstrząsnęła się, jak gdyby ją przykry chłód przeniknął.

— O, nie mów pan o tej straszliwej ostateczności — zawołała, zasłaniając oczy rękami. — Jest tyle innych prawd, które przykuwają człowieka do życia. Jest wiara...

— Nie przekonywa mnie.

— Miłość...

— Nie pociąga mnie.

— Obowiązki...

— Nie istnieją dla mnie. Jestem sam...

— Społeczeństwo...

— Obędzie się bez mojej chorej głowy.

— Więc czegoś chcesz nareszcie? — pytała prezesowa. — Jesteś tylko człowiekiem.

— Chcę jasno określonego, przezemnie zrozumianego i odczutego celu — odpowiedział Słotnicki — chcę czegoś takiego, dla czegooby warto było poświęcić pracę życia. Szukam ciągle tego drogowskazu i nie ustane dopóty, dopóki go nie znajdę. Gdziekolwiek go spotkam, tam zatrzymam się na resztę dni moich, nie męcząc się dalej. Wiem już dziś doskonale, iż to, co dawniej wiedzą nazywałem, należy do złudzeń naszego pokolenia. Tyle i tak wiedzieć, jak pragnęliśmy i

spodziewaliśmy się, wiedzieć nie będziemy; przeto idzie mi  
obecnie jedynie o  
zgodę między przekonaniem wewnętrznym a życiem. Ale  
teraz, do widzenia, bo na  
mnie czas. Nie utrudzajmy sobie pożegnania przewlekaniem  
chwili ostatniej... Do  
widzenia!...

Słotnicki podniósł szybko ręce prezesowej do ust, ucałował je  
serdecznie i  
oddalił się.

Przybywszy do hotelu, dowiedział się od numerowego, że  
jakiś pan był u niego  
trzy razy.

— Nie zostawił karty? — zapytał.

— Nie zostawił, powiedział tylko, że jeszcze wróci.

— Nie przyjmuję już nikogo. Wyjeżdżam kuryerem  
wiedeńskim; zapakujesz mi rzeczy

— rozkazał Słotnicki, wchodząc do mieszkania.

Oddawszy służącemu klucze od walizki, usiadł sam przed  
biurkiem i porządkował

papiery. Właśnie palił listy, którymi go różne wielbiciele  
podczas zimy

zarzucały, kiedy do drzwi przedpokoju ktoś gwałtownie  
zastukał.

— To ten pan, co chodził trzy razy — meldował numerowy.

— Nie przyjmuję nikogo; już mówiłem! — wyrzekł  
Słotnicki, nie zmieniając  
postawy.

— Ale mnie pan przyjmie — odezwał się z progu głos znany.  
Słotnicki odwrócił się szybko.

— Pan Ostrobudzki? — zawołał zdziwiony. — Pana oczywiście przyjmuję wszędzie i w każdej porze.

Szlachcic, przywitawszy się z sąsiadem, usiadł ciężko w fotelu.

— A tom się zmachał! — wyrzekł, oddychając z głębi piersi. — Biegałem dziś po mieście i jeździłem, jak trzy ogary. Te wasze bruki miejskie... niech je!...

Trzeba mieć podeszwy żelazne, aby wytrzymać. Wyście się powinni tu kazać podkuwać.

Nagle, zwracając się do numerowego, zapytał:

— Czy już skończyłeś? Marudzisz, bracie.

Słotnicki, domyśliwszy się, że szlachcic pragnie mówić z nim bez świadków, dał służącemu znak, aby się oddalił.

Gdy byli sami, odezwał się.

— Sąsiad przybywa do mnie z jakimś ważnym interesem. Ten pośpiech, ta pora spóźniona...

Ostrobudzki spojrział na zegarek, a mruknąwszy półgłosem, jak gdyby do siebie:

„Mamy jeszcze czas...” patrzył przez kilka chwil na Słotnickiego z żalem.

— A toś mi narobił kłopotu, panie Stefanie — zaczął po jakimś czasie, kiwając głową.

— Ja, panie?... — wyrzekł Słotnicki zdziwiony.

— Czy wiesz, że Zochna jest może już po ślubie z tym, z tym...

Szlachcic podniósł rękę do szyi i poprawiał kołnierzyka.

— Tak mnie to nazwisko dusi — mówił głosem ochrypłym.

— Chłystek, lizus,

wiereipięta!... Zachciało mu się Ostrobudek i mojej Woli. Ale nie, nie pozwolę —

wrzasnął, zrywając się z fotelu. — Przy ołtarzu znieważę, po ślubie zabiję,

ścigać go będę na koniec świata, jeśli zdąży uciec ze zdobyczą. Córka mojego

brata nie będzie żoną pospolitego karyerowicza, bez wiary i sumienia, któryby za

pieniądze własną matkę sprzedał...

Wyrzucając te słowa z siebie, biegał Ostrobudzki po pokoju, jak dziki zwierz,

uwięziony w klatce.

Nagle stanął przed Słotnickim i załamawszy ręce, mówił głosem stłumionym:

— Coś ty mi narobił, coś ty mi narobił, panie Stefanie... A ja tobie tak ufałem...

— Proszę się jaśniej tłumaczyć" — odezwał się — nie wiem bowiem, w czym zawiniłem.

— Jakto? Nie wiesz? — wybuchnął Ostrobudzki. — Nie wiesz, że ten, ten —

odchrząknął — ten... Żagliński — wykrztusił nareszcie — ten chłystek zbałamucił

moje niewiasty.

— Żagliński? — mruknął Słotnicki.

— A on! — wołał szlachcic. — Są, dziś w Częstochowie...  
pojechali na ślub...

— Żagliński... z panną... Zofią?

— A to się bestya zawinał. Nawet kolegów okpił. Ale mnie  
nie zdołał otumanić...

Słotnicki, dowiedziawszy się o związku Zofii z Żaglińskim,  
doznał szczególnego

uczucia. Zdawało mu się, że go ktoś obraził, znieważył. Zkąd  
się to wrażenie

wzięło, nie umiał sobie zdać sprawy. Wszakże nie ubiegał się  
nigdy o względy, a

tem mniej o serce Zofii, nie starał się w ogóle o miłość  
jakiegokolwiek kobiety.

Żagliński i Zofia...

On, człowiek bez treści szlachetniejszej, pospolity sprytowicz,  
żyjący jedynie

dla używania zmysłowego, nie szanujący i nie kochający nic,  
prócz siebie — i

ona, natura zdrowa, świeża, zapalna, mimo pokostu  
zdawkowej erudycji

materyalistycznej.

Słotnicki znał bardzo dobrze kolegę z ław szkolnych.

Utrzymywał z nim stosunki

przyjazne, bo od ludzi takiej miary nie żądał czystości myśli i  
uczuc. Zwykłego

rzemieślnika dziennikarskiego stawiał narówni z każdym  
innym chleborobem,

któremu przebacza się brak dobrej wiary, miłości do pracy  
publicznej i podstępna

zręczność w walce o byt powszedni.

Ale teraz sięgnął ten pospolity karyerowicz po ukochaną  
synowicę człowieka,



którego on szanował. Była to krzywda, wyrządzona domowi uczciwemu.

Towarzysz Żaglińskiego od lat chłopięcych, wiedział wybornie, czego taki

sybaryta szukał w związku z panną posażną.

Nadomiar stanęły przed pamięcią Słotnickiego różne znaki i ślady, które dawniej,

zajęty sprawami dla niego ważniejszymi, pomijał.

Przypomniawszy sobie w tej

chwili słowa, spojrzenia, uściski rąk i rumieńce Zofii, a gdy te świadectwa

jawnej przyjaźni zestawiał z radą, prezesowej i z zarzutami Ostrobudzkiego,

wówczas zrozumiał scenę pożegnania przed wyjazdem za granicę, gdy udawał się do

Niemiec po owe nowe prawdy.

Tak, ona go kochała... Ona oddawała mu ze szczerością młodości ciepłe serce,

niosła mu życie w ofierze, chciała być jego własnością, należeć do niego,

dzielić z nim dołę i niedolę.

Wiedział to teraz doskonale i zrobiło mu się żal dziewczyny, która była mu tak

bliską i miała prawo do jego życzliwości, tylko bowiem natury przewrotne płacą

obojętnością za uczucie serdeczne.

Zofia i Żaglinski...

To roztrwoniona w krótkim czasie fortuna, na którą, pokolenia pracowały, a

następnie ponieważ, oblana łzami wyzyskanej i porzuconej kobiety...

Wszystkie te myśli, przesłanki, wnioski i obrazy przebiegły błyskawicą przez mózg Słotnickiego.

— I nie ma już na to sposobu? — zapytał.

— Zrobiłem wszystko, żeby przeszkodzić — odpowiedział Ostrobudzki — ale nie wiem, czy zdążyłem. Mądry to gracz! Gdyby nie wypadek, dowiedziałbym się o ślubie dopiero po wszystkim.

Ostrobudzki ciężko odetchnął.

— To pan naprawdę nic nie wie? — mówił, siadając znów w fotelu.

— Widziałem się jeszcze wczoraj z Żaglińskim, ale nic mi nie wspominał —

odpowiedział Słotnicki.

— Bał się widocznie całego otoczenia, a najwięcej mnie.

Zwąchał dobrze pismo

nosem. Zbałamuciwszy moje niewiasty, wystarał się o indult i drapnął do

Częstochowy, niepewny w Warszawie wygranej aż do osta-

tniej chwili. Obmyślił wszystko doskonale; tego tylko nie obliczył, że do ślubu

potrzeba różnych papierów, metryka zaś Zosi znajduje się w Ostrobudkach.

Miarkowałem już dawno, że się coś święci, bo mi pani

Iłowska donosiła regularnie

o zabiegach Żaglińskiego, kiedy więc bratowa zażądała temu kilka dni

znaczniejszej sumy z Ostrobudek, a proboszcz uwiadomił  
mnie wczoraj o wydobyciu  
metryki z ksiąg kościelnych, podrzuciło mnie złe przeczucie i  
przyleciałem do

Warszawy. Przeczuwałem dobrze. Spieszno temu  
utracyuszowi do kasy ostrobudzkiej.

Nie byłbym nigdy uwierzył, iż taki Żaglinski może mieć  
trzydzieści tysięcy rubli  
długów żydowskich, gdyby mi Piernik, do którego mnie pani  
Hłowska odesłała, nie

był tej wiadomości potwierdził. Na co on mógł wydać tyle  
pieniędzy? Dopisywał

zapewne, gdy go lichwiarze przypierali do muru.

Ostrobudzki spojrział znów na zegarek.

— Jedźmy! — wyrzekł, podnosząc się szybko. — Już czas...

A kiedy się Słotnicki nie ruszał z krzesła, ujął go szlachcic za  
ramię i mówił z

nerwowym pośpiechem:

— Za godzinę odchodzi pociąg... będziemy nad ranem w  
Częstochowie... oka nie

zmrzę... Zabieraj-że się pan, na Boga...

— Nie widzę w Częstochowie dla siebie roli — mówił

Słotnicki. — Nie posiadam

żadnych praw do panny Zofii, obcemu zaś nie wolno się  
mieszać w sprawy natury

tak poufnej.

— Ależ ona pana kocha! — zawołał Ostrobudzki.

— Daje mi to tylko prawo do wdzięcznej życzliwości —  
odpowiedział Słotnicki. —

Przykro mi, że Żagliński pannę Zofię omotał, po za tem  
jednakże...

Rozłożył ręce, dając tym gestem do zrozumienia,, iż nie widzi środków do

powstrzymania biegu wypadków.

— Ten lis ukuł niezawodnie jakąś intrygę — objaśniał Ostrobudzki. — Oczernił

pana przed Zosią, odsunął rozmyślnie od niej. Tak się domyślam; inaczej bowiem

nie umiem sobie wytłómaczyć owego pośpiechu i tajemniczości.

— Przypuściwszy, że pan dobrze wnioskuje, to nie widzę jeszcze racji mojego

wyjazdu do Częstochowy. W jakim celu, na jakiej zasadzie?

— Tak dużo dziś rozprawiacie, a tak mało czynicie! — zawołał Ostrobudzki,

niecierpliwiąc się. — W jakim celu, na jakiej zasadzie? Nie jest-że ocalenie

dziewczyny, która pana ukochała, celem dostatecznym? A — zasada? Kto pyta o

zasady, gdy idzie o ratunek człowieka?

Kiedy się Słotnicki nie zdawał jeszcze przekonany, wówczas zamilkł starzec i

opuścił głowę. Po jakimś czasie odezwał się półgłosem, jakby do siebie:

— A mnie się uwidziało, że pana losy mojej rodziny cokolwiek obchodzą...

Przepraszam... żądałem zewiele... stary jestem, głupi... nie znam już ludzi

dzisiejszych... Rozumie się... Cóż nieszczęście obcej dziewczyny może pana

obchodzić? Ona tylko do mojego serca przyrosła... To moja krew... Dawniej

ratowało się człowieka dlatego, że był człowiekiem, bliźnim;  
ale teraz?...

Przepraszam pana...

Głos Ostrobudzkiego rwał się, coraz słabszy. Dławiły go łzy,  
powstrzymywane. Ale  
odczuł je Słotnicki.

— Panie Stanisławie — wyrzekł miękko — dotknąć pana nie  
chciałem, zaprawdę...

Gdybym widział możliwość

oswobodzenia panny Zofii z mocy Żaglińskiego, uczyniłbym  
to bez wahania, ale nie

rozumiem zupełnie celu mego pobytu w Częstochowie.

Trzebaby zająć jego miejsce,

a ja...

— Tak bardzo nienawidzisz mojej dziewczyny? — zapytał  
Ostrobudzki.

— Ależ nie, nie! — zaprzeczył żywo Słotnicki. — Panna  
Zofia była mi sympatyczną  
od pierwszej chwili. Lubię ją widzieć, mówić z nią, życzyć jej  
jak najlepiej...

— W takim razie?...

— Nie dostrzegam tylko w sobie zdolności do jednostajnego  
życia w małżeństwie.

Miota mną jeszcze niepokój... Kto się do Indyj Wschodnich  
wybiera, ten nie może  
być dobrym mężem.

— Będiesz nim kiedyś, za rok, za dwa — mówił  
Ostrobudzki, chwytając ręce

Słotnickiego — a teraz wystarczy, gdy ją zapewnisz o twojej  
przyjaźni, o

sympatyi. Jeżeli ceremonia ślubna jeszcze nie dokonana,  
Zochna rzuci bez  
wątpienia owego sprytowicza, usłyszawszy od ciebie kilka  
słów serdecznych. Idzie  
mi w tej chwili tylko o to, resztę zaś to już Pan Bóg ułoży. Nie  
chcę widzieć  
córkę mojego brata, złączonej z człowiekiem, którego nie  
szanuję. W tobie, panie  
Stefanie, kochałem zawsze uczciwą, szczerą duszę i tobie  
oddam Zochnę bez  
namysłu, skoro jednak nie chcesz, pomóż mi przynajmniej  
wybawić ją z sidła tego  
spekulanta.

— Sądzi pan w istocie, że obecność moja może powstrzymać  
pannę Zofię od kroku  
nierozważnego? — zapytał Słotnicki.

— Jestem o tem najmocniej przekonany — odpowiedział  
Ostrobudzki. — Tylko jakaś  
podłość mogła ją nakłonić do postanowienia, którego  
żałowałyby przez całe życie.

— W takim razie spieszmy się, bo dochodzi dziewiąta.  
W pół godziny potem siedzieli obaj w wagonie kolei  
wiedeńskiej.  
Ostrobudzki, przywykły na wsi do wczesnego spoczynku,  
wyciągnął się na ławie,  
przykrył się futrem i walczył z niecierpliwością, której nie  
mógł narazie  
pokonać. Ruszał się, przewracał z jednego boku na drugi,  
odmawiał pacierze: nic  
nie pomagało.

— Posłałem od samego rana telegram do przeora Paulinów,  
aby wstrzymał obrzęd  
zaślubin do mojego przyjazdu — odezwał się po jakimś czasie  
— ale może już  
zapóźno. Wyjechali wczoraj na noc.

— Miejmy nadzieję, iż zdołamy jeszcze przeszkodzić —  
mówił Słotnicki. — Niech  
się pan zmusi do snu, bo czeka nas jutro dzień przykry.  
Ostrobudzki odmruknął coś niewyraźnego i zaciągnął kołnierz  
futra na oczy.

Słotnicki, dla którego noc bezsenna nie była nowością, nie  
usiłował nawet  
okłamywać niepokoju. Oparłszy głowę na oprawie okna,  
patrzył przez szybę na  
czarną przestrzeń, rozjaśnianą od czasu do czasu potokiem  
iskier, sypiących się  
z komina lokomotywy.

Nie rozumiał nerwowego niepokoju, który go ogarnął.  
Z chwilą, kiedy wiedział napewno, że go Zofia kocha, zaczął  
brać szczery udział  
w jej losach. Nie chciał się zgodzić odrazu na żądanie  
Ostrobudzkiego, pragnął  
być przekonanym, bronił się; w istocie jednak czuł, że łyzy tej  
dziewczyny  
spadłyby ciężko na jego sulienie.  
mienię.

Wszakże nie rozniecał przywiązania Zofii słowem lub  
czynem, nie łudził jej, nie  
igrał z jej sercem... Lekkomyślnym Don Juanem,  
podbijającym dla samej

przyjemności zwycięstwa, nie był nigdy, kobietami w ogóle  
zajmował się bardzo  
mało, odstraszony ich brakiem ścisłości logicznej i ciągłą  
pogonią za miłością.  
Mówiono mu nieraz: zawróciłeś główkę tej lub owej, spotykał  
się w życiu z  
niejednym spojrzeniem, wpatrzonem w niego z zachwytem  
lub z pokorną bojaźnią,  
ale nie przywiązywał znaczenia do tych niemych świadectw  
rodzącego się uczucia.  
Widział w życiu tyle małżeństw, złączonych luźnymi węzłami  
najpospolitszych  
spekulacyj, a pomimo to względnie, zdawkowo szczęśliwych.  
Pocieszysz się, wyjdzie  
za kogo innego i będzie dobrą żoną — odpowiadał zawsze,  
ilekroć się dowiedział,  
że podobał się jakiejś pannie.  
Kobiety bywają tak giętkie, dostosowują się tak łatwo i  
chętnie do każdego  
położenia, byle posiadały własny dom i własne dziecko...  
Więc dlaczego obchodziły go losy Zofii więcej, niż dola i  
niedola innych  
dziewcząt, nie stroniących od niego? Miałżeby i on...  
Ale nie... Nie czuł nigdy potrzeby wielkiej namiętności  
erotycznej, nie rozumiał  
utruty przytomności dla białogłowy; należał do rodziny natur  
samotnych, które  
wystarczają sobie same. Pochłonięty cały przez pracę  
publicystyczną, męczył się  
zawsze wszelkiem towarzystwem, które mu drogi zabierało  
czas. Przerażała go  
kobieta, któraby posiadała prawo do każdej godziny jego  
życia.



Dlaczego?

Jeżeli utrzymywał jakie stosunki niewieście, były to zawsze tylko znajomości przelotne, albo też trwalsze przyjaźnie, nie żądające niczego. Słotnicki, przywykły od lat wielu do krytycznego rozpatrywania każdego doznanego wrażenia, badał się sam z systematycznością postronnego obserwatora.

Że nie był typem, który Francuzi nazywają un homme a femme, podatnym materiałem na cierpliwego kochanka lub uległego męża, o tem wiedział oddawna. Dobięł przecież prawie czterdziestego roku życia, nie rozmiłowawszy się ani razu bez pamięci. Nawet w pierwszej młodości umiał panować nad tęsknotami krwi i serca.

Ale może przyszedł i na niego ów moment psychologiczny, w którym człowiek pragnie nareszcie spokoju, znużony niepewnością jutra. Praca, której służył z pominięciem zwykłych żądz i ambicyj ludzkich, narzucała go już tyle po burzliwych falach różnych zwątpień, iż mógł się do dalszego zniechęcić boju.

Byłóż tak? Potrzebował-że wypoczynku?... Wszakże wybierał się do Indyj Wschodnich...

Do Indyj? Po co? Byłaż to ufna w dobry skutek nadzieja, rzeczywista wiara w rezultaty pozytywne, które mu ten pomysł poddały?

Słotnicki ujął głowę w dłonie i wsłuchał się z wyteżeniem całej uwagi we własnych myśli szmery.

— Prawdąż to — badał się sam — iż spodziewam się nad Gangesem odpowiedzi jasnej, wyraźnej na pytanie, które się nademną od lat tylu znęca? Będęż tam wiedział więcej, niż tu? Wszakże Europa przetrawiła wszystkie teorie świata cywilizowanego, wrzuciła do wspólnego kotła wszystkie doktryny przeszłości. I cóż wy-

płynęło z tej mikstury? Zawsze ten sam człowiek, rozbijający się, kaleczący daremnie o ściany klatki, splecionej z ograniczonych w mocy swojej zmysłów.

Wezmaż mi mędrcomie Indyj ciało, krępujące daleki lot moich myśli i tęsknot?

Sprawia to tylko jedna śmierć... Ona uwalnia ducha i rozszerza jego widnokregi.

Niczego innego nie nauczą go tajemnice pagód, pustelnie lasów nadgangesowych.

Albo trzeba zdeptać w człowieku ciało, jak szkodliwą gadzinę i nagiąć je do

bezwzględного posłuszeństwa, co czynią kapłani Indyj, albo też żyć, jak

przeznaczono rodowi ludzkiemu.

Gdyby za cenę stłumionych pragnień zmysłowych można nabyć pełną świadomość celu

wędrowki doczesnej, nie zawahałby się Słotnicki na chwilę,  
historia jednak nie  
obiecowała mu takiej nagrody za sponiewieranie człowieka w  
człowieku. I  
fakirowie Indyj błędzą, dotąd ciągle w półcieniach domysłów i  
przeczeń.

Zostawała śmierć. Ona jedna leczy gruntownie z wszelakich  
pesymizmów.

Śmierć? Koniec istnienia?...

— Byłżebym zdolnym przejść bez żalu w krainy nieznane?  
— pytał Słotnicki  
siebie.

Nieprzyjemny dreszcz, który wstrząsnął jego ciałem,  
odpowiedział mu wymownie.

Trzydzieści ośm lat — zdrowie — charakter czynny, żądny  
ciągłego ruchu — świeże,  
dotąd nie zużyte serce, nie marzą o nicości. Myśl o  
wieczystym spoczynku  
przejmuje te siły zgrozą.

Więc należy żyć, ale jak i w jakim celu?...

— Jak? — powtórzył Słotnicki kilka razy. — Daremna pogoń  
za tak zwaną prawdą  
obrzydła mi — odpowiedział sobie. — Nie znalazłem tej  
zwodnicy w księgach

Europy, nie ukaza mi jej także mędrcom Indyj, bo jej sami  
nie znają. Trzeba na  
miejsca owej prawdy podsunąć cel inny, jakąś potęgę inną.  
Pociąg kuryerski mknął szybko po gładkich szynach, mijając  
bez zatrzymywania się

stacye drugorzędne. Leciał, jak ptak nocny na cichych skrzydłach świecąc w ciemnościach ogromnemi, krwawemi oczami. Zajęty sobą, nie zauważył nawet Słotnicki, że zbliżał się już do Częstochowy. Przyłożywszy gorące czoło do zimnej szyby, patrzył na iskry, przesuujące się ognistemi sznurami przed oknem.

— Jeden błysk jaśniejszy, któryby mi życie oświecił, jeden promień cieplejszy, któryby je ogrzał, drogiem mi je czyniąc, a nie szukałbym już więcej — mówił do siebie.

— Mam dosyć tej igraszki trawiącego wątpienia. Nagle, nie wiadomo zkad, odbiła się w jego mózgu twarz Zofii w chwili, kiedy go w Ostrobudkach zegnała. Przypomniął sobie każdy jej rys, układ ust, spojrzenie, słowa jej i dźwięk głosu i zrozumiał, dlaczego mu bliższą była od innych kobiet, z którymi go stosunki przyjazne łączyły. Ona jedna cierpiała przez niego bardzo.

Nie chciał jej bólu, ale był jego powodem...

— Biedna dziewczyna! — wyrzekł zcicha — nie wiedziałem... Nie pożądałem nigdy łez wrogów, a cóż dopiero...

— Częstochowa! — wrzasnął konduktor, otwierając z hałasem drzwi wagonu. Ostrobudzki zerwał się z ławki na równe nogi.

— Uciekli? Goń, trzymaj! — mruzczał nieprzytomny, wyrzucony gwałtownie z objęć snu.

— Jesteśmy w Częstochowie — wyrzekł Słotnicki, zbierając rzeczy.

— A... Częstochowa — mówił szlachcic — śniło mi się, że... Przecierał oczy. Po chwili odezwał się:

— Będzie najlepiej, gdy zostaniemy do rana na dworcu, aby temu lisowi nie dać sposobności do obmyślenia jakiej nowej wolty. Gdybyśmy zajechali do hotelu, mógłby się dowiedzieć i skomponować coś takiego, coby nam szyki zepsuło. Taki to potrafi różne sztuki łamane.

Porozumiawszy się z portyerem, zajęli poczekalnię dla dam. Ostrobudzki, postanowiwszy udać się zaraz z nastaniem dnia do klasztoru

Paulinów, usiadł w fotelu, Słotnicki zaś, znużony długim czuwaniem, ułożył się w ubraniu na kanapie i zasnął natychmiast. Gdy się zbudził, nie było już obok niego szlachcica. Na zapytanie, gdzie się jego towarzysz podział, odpowiedziano mu, że „ten pan pojechał na Jasną Górę.”

Była już godzina dziewiąta, kiedy się i on zbliżał do przesławnej świątyni Paulinów.

Stary klasztor, podobny do warowni, nie zrobił na nim wrażenia. Widział on w górach tyrolskich, włoskich i francuskich malowniczo położone opactwa, podziwiał katedry: wiedeńską, wenecką, medyolańską, florencką, rzymską i zachwycał się grą

świąteł w paryskiej „Świętej Kaplicy.” Jego wytworne,  
podróżami rozpieszczone  
oko, nie dostrzegło w gromadzie szarych, pleśnią wieków  
pokrytych budynków nic  
takiego, na czemby z przyjemnością spocząć mogło, serce zaś  
pozytywisty,  
pozbawione od lat najmłodszych wiary, nie zabiło głośniejsze do  
murów, które  
tworzyły oprawę drogocen-

nego klejnotu religijnego. Dla Słotnickiego był cudowny  
obraz Matki Bożej tylko  
lepiej albo gorzej wykonanej dziełem sztuki.  
Pod samą górą, na której się klasztor wznosi, kazał się  
zatrzymać dorożkarzowi i  
poszedł dalej pieszo. Kiedy stanął przed bramą świątyni,  
zastanowił go widok  
szczególny.  
Oto czekała na kogoś gromadka ludzi, należących do różnych  
warstw. Grono kobiet  
wiejskich, okutanych w grube chustki, z nogami okręconymi  
słomą i gałganami,  
otaczało jakąś pochyloną staruszkę, ubraną w bogatą szubę.  
Opodal stało  
kilkunastu starych chłopów w kozuchach i jakiś szlachcic w  
płaszczu.  
Słotnicki, aczkolwiek go zwyczajnie religijne nigdy nie  
zajmowały, wiedział  
jednak, iż w porze zimowej nie ciągnęły kompanie na Jasną  
Górę. Więc była to

gromadka gorąco wierzących lub wyjątkowo nieszczęśliwych,  
spełniających jakieś  
votum.

Z ciekawością, naturalną u człowieka, który przywykł  
spoglądać na każde  
zjawisko, fizyczne czy moralne, z uwagą badacza,  
przypatrywał się Słotnicki  
staruszce, tworzącej grodek grupy. Sędziwa pani stała na  
śniegu, oparta na  
lasce, utkwivszy tępy, suchy wzrok w ziemi. Nie same snąc  
lata pochyliły ją i  
zgasiły blask jej dużych, czarnych, niegdyś prawdopodobnie  
promiennych oczu.

Usta złożone apatycznie, obwisłe w kątach, opowiadały o  
wielkich cierpieniach,  
szukających przez nie ujścia w formie jęków i płaczu.  
Wzrok Słotnickiego, przechodzący z twarzy na twarz,  
spotykał wszędzie głęboki  
smutek, albo tłumioną boleść.  
Jedna z kobiet wiejskich, dobrego wzrostu, atletycznie  
zbudowana brunetka,  
rzucała z pod czoła po-

nure, lękliwe spojrzenia. Jakiś przykry ciężar niepokoił  
widocznie jej sumienie.

Kiedy poszukiwacz prawdy stał i badał, ukazał się w bramie  
ksiądz w białym  
habicie, a obok niego chłopiec z krzyżem.

Gromadka ruszyła natychmiast z miejsca i zaintonowawszy  
pieśń nabożną, poszła za  
kapłanem. Staruszkę ujął pod rękę szlachcic w płaszczu.

— Jestem ciekawy, co tym ludziom wiara daje? — myślał Słotnicki i przyłączył się do pielgrzymów. Wszedł razem ze wszystkimi do kościoła, minął nawę i zatrzymał się w kaplicy, obwieszanej wotami. Duże, srebrne lampy zwieszały się od sufitu, wielkie mnóstwo złotych, drogiemi kamieniami wysadzanych obrazków, serc i innych ofiar zdobiło ściany. Słotnicki usiadł w jednej z ławek i rozglądał się wokoło. Narazie nie dostrzegł nic niezwykłego. Ksiądz wyszedł ze mszą św., pielgrzymi klęczeli, modląc się zcicha. Nawet wówczas, kiedy kilka kobiet padło krzyżem na zimne kamienie posadzki, nie zdziwił się. Widywał ten sam objaw nabożności u siebie, na wsi, dosyć często. Wtem ruszyła się owa niespokojna brunetka i zaczęła się posuwać na kolanach w stronę ołtarza. Posuwała się wolno, z trudem, po wilgotnych płytach, przycisnąwszy ręce do piersi, szepcząc coś do siebie. Za jej przykładem poszły inne kobiety, za kobietami mężczyźni. Słotnicki patrzył na to widowisko, szukając w sobie daremnie jego objaśnienia. Nie rozumiał on istoty pokory.

Niezawisły myśliciel buntował się dotąd tylko, ilekroć go zawody sponiewierały,



na wyznanie zaś, takie lub inne, spoglądał tak samo, jak na  
systemat  
filozoficzny, treści jego nie odczuwając.  
Jako pisarz pozytywny, wróg intuicji i wyobraźni,  
wszystkiego w ogóle, co nie  
podlegało kontroli obserwacji bezpośredniej, był  
nieprzychylnie dla religii  
usposobiony.  
Widział w niej tłumicielkę badań niezależnych, przeszkodę,  
tamę w rozwoju  
wiedzy. Jedynie rozum regulował, podług niego, prawowicie i  
pozytywnie  
postępowanie ludzkie, to zaś, co się działo w jego oczach w  
kaplicy, nie miało  
nic wspólnego z trzeźwością.  
Szeregiem posuwali się pielgrzymi, jeden za drugim.  
Okrążywszy na kolanach  
ołtarz, wracali na miejsca.  
Słotnicki szukał na twarzach ich odpowiedzi, której w sobie  
nie znalazł.  
Oni przybyli tu po coś ze stron dalekich. Przyszli pieszo,  
brodząc po śniegu,  
kostniejąc na wietrze styczniowym, narażając się rozmyślnie  
na niewygodę drogi  
zimowej.  
Prowadziła ich jakaś nadzieja, silniejsza od nawyknień  
powszedniego życia.  
Niezawisły myśliciel obrzucił pytającym spojrzeniem głowy  
pielgrzymów. Dostrzegł  
same twarze blade, znękane, oczy podkrążone, same łyzy  
zaschłe i cierpienia  
zastygłe.

Nikt nie modlił się tu głośno. Wszyscy zwrócili oczy na ołtarz i czekali na coś.

Czasem tylko drgnęła jakaś warga pod tchnieniem cichej skargi lub przycisnęła się para rąk silniej do piersi, tłumiąc westchnie-

nie. Ci biedacy, zapatrzeni w ból swój, modlili się całą, swoją istotą.

Do serca Słotnickiego zaczęła się wkradać litość nad nędzą ludzką, której żywe świadectwo miał przed sobą. Tylko człowiek bardzo nieszczęśliwy mógł być tak pokornym i oddanym...

Nie widział on na żadnym wykładzie uniwersyteckim najślynniejszego profesora, na żadnym odczycie najświetniejszego prelegenta, takiego skupienia, takiego wyężenia wszystkich władz duszy ludzkiej.

Smutek, który zbielił twarze pielgrzymów, powiał i na Słotnickiego. Zajęty dotąd swojemi osobistemi marzeniami i rozczarowaniami, stawiając cierpienie zawiedzionego rozumu po nad wszystkie inne, lekceważył boleść codzienną, zowiąc ją pospolitą. Teraz zaczął się domyślać, że i owa boleść pospolita może człowieka złamać, zdeptać, a tych boleści pospolitych jest tyle na ziemi!..

Codziennie umierają rodzice, dzieci, żony, bracia, siostry — padają fortuny — giną z głodu ubodzy. I płyną bezustannie łzy i westchnienia...

Wtem odezwał się na chóрку kaplicy głuchy odgłos bębnów.  
Pielgrzymi podnieśli głowy i rozwarte ramiona. Z  
rozchylenymi ustami, z duszą w  
oczach, wyteżyli wzrok w stronę ołtarza.  
Bębny zawarczały po raz wtóry, zagrały trąby kościelne...  
Wolno, poważnie  
odsuwała się zasłona, pokrywająca obraz cudowny.  
Gdy ukazała się ciemna, smutna twarz Matki Bożej,  
zapanowała przez kilka chwil  
taka cisza, że nie było słyhać nawet oddechów.

Potem rzuciła się owa kobieta, która zaczęła pochód na  
kolanach, gwałtownie na  
kamienną posadzkę, wołając:  
— Królowo nieba, zmiłuj się nademną!  
Była w jej głosie taka rozpacz, połączona z gorącą prośbą o  
zmiłowanie, z taką  
siłą buchnęło z piersi grzesznicy wołanie o miłosierdzie, że  
Słotnicki zadrżał.  
Przeraziła go obecność jakiejś wielkiej zbrodni, błagającej o  
łaskę.  
Z krzykiem owej kobiety zmieszały się głośne łkania i jęki  
reszty pielgrzymów.  
Wszyscy padli na twarz i prosili lub dziękowali całą duszą.  
Słotnicki nie wyczuł w ich modlitwie ani śladu fałszywego  
tonu.  
Jedna tylko staruszka nie rzuciła się krzyżem. Klęcząc, oparta  
rękami na lasce,  
patrzyła na obraz z uległą tkliwością w oczach. Ciche łzy  
spływały po jej

zwiądłych policzkach. Doznała widocznie ulgi, po którą przyszła.

A z chóru, z góry, spływała przy wtórce organów na smutnych ludzi pieśń prosta, poważna, owiana tchnieniem szczerzej wiary.

— „Pod Twoją obronę... pod Twoją obronę... uciekamy się, Święta Boża

Rodzicielko!...” — pocieszała pieśń, zlewając się z łkaniami i szeptami

nieszczęśliwych, którzy rzucali grzechy, żale i rozpacz swoje pod stopy

Królowej nieba.

Słotnicki zdumiony, poruszony do głębi niespodziewanym wybuchem pielgrzymów,

utkwiał wzrok w obrazie cudownym. Dziwna!... Zdawało mu się, że oczy Matki Bożej

przechodzą z głowy na głowę, że usta jej uśmiechają się łagodnie, dobrotliwie, z

miłością macierzyńską...

I nagle zrozumiał potęgę i znaczenie religii.

— Miłosierdzia dla nieszczęśliwych, litości dla ubogich! — rozszło się w

nim serce szlachetne.

Uczuł się w tej chwili po raz pierwszy w życiu jednostką — częścią całości i

brał w siebie cierpienie całej nędzy ludzkiej.

Teraz wiedział, dlaczego religia była po wszystkie czasy najtrwalszym kwiatem

cywilizacji, dlaczego padały systematy i programaty, zmieniając się z każdym

pokoleniem, a ona, zawsze spokojna, wychodziła zwycięsko z wszelakich bojów. Bo ona jedna posiada moc spajania i gojenia, co słabość, namiętność lub złość ludzka rozprzęgły i zakaziły; ona jedna unosi się nad nędzą, człowieka, niezmiennie miłosierna i litościwa. Tylko ona, przebacza nawet zbrodni. Jakże mu się drobnymi w porównaniu z tą Królową serc, z tą czystą krynica łąz i westchnień uszlachetniających, wydały nagle niepokoje rozumu... Tu pycha — tam dobroć; tu ciągle zwątpienie — tam spokój i pogoda... On szukał od pierwszych marzeń chłopięcych celu życia, któryby mógł zadowolnić naturę wytworniejszą, męczącą się w granicach pospolitej walki o byt powszedni. Teraz znalazł nareszcie ten cel. Los obdarzył go hojniej umysłowo, moralnie i materialnie, od wielu innych; dał mu środki do zrozumienia potrzeb uboższych, nieszczęśliwszych i do niesienia ulgi ich cierpieniu. Słotnicki doznał wrażenia, jak gdyby jakieś wielkie, ciepłe światło wniknęło do jego mózgu, rozjaśniając jego tajniki i ogrzewając. To światło oczyściło go nagle, podniosło. Czuł, że zniesie teraz boleść życia bez

skargi, wyrzeknie się pychy i samolubstwa rozumu i poświęci resztę dni swoich

nędzy ludzkiej, ciesząc się cudzem szczęściem.  
Możeż być dla natury niepospolitej cel wyższy nad  
opanowanie siebie samego?  
Zwrócił znów oczy na obraz cudowny. Już go nie było...  
Zasłona spadła — pieśń  
zamilkła — pielgrzymi, pocieszeni, wychodzili z kaplicy.  
Słotnicki nie udał się za nimi. Ukrywszy twarz w dłoniach,  
oparł głowę na ławce  
i poddał się z rozrzewnieniem procesowi psychologicznemu,  
który się w nim  
rozgrywał, przetwarzając jego istotę.  
Było mu dobrze z ciszą, wypełniającą teraz kościół. Już  
dawno nie czuł się tak  
spokojnym, tak pogodzonym z sobą.  
Gdy tak siedział, zapatrzony w siebie, doszedł go szelest  
lekkich kroków.  
Jakaś postać niewieścia, otulona w szubę sobolową, z głową  
owiniętą w koronki,  
zbliżała się do kaplicy.  
Szła wolno, pochylona, zmierzając w stronę ołtarza. Gdy  
stała przed zakrytym  
obrazem, odsłoniła twarz, uklękła ciężko i rzuciła się na  
stopnie ołtarza. Po  
chwili rozległo się ciche łkanie.  
Ten płacz szedł prosto do serca Słotnickiego, była to bowiem  
Zofia, a ona przez  
niego cierpiała.  
— Nie chcę na sumieniu smutku z mojej winy. Jeżeli tobie do  
szczęścia potrzeba  
mojej opieki, weź ją, masz do tego prawo!  
To pomyślawszy, podniósł się Słotnicki. Nachyliwszy się do  
dziewczyny, dotknął  
końcami palców jej ramienia i odezwał się głosem łagodnym:

— Panno Zofio!

Ona drgnęła, ale nie ruszyła się z miejsca.

— Panno Zofio — mówił Słotnicki. — Wiem dziś, że byłem przeciw woli twórcą twoich łez samotnych. Jeżeli nie złączyłaś jeszcze losów swoich z kim innym, nie masz do mnie żalu za ból, którego nie chciałem, wówczas powierz życie mnie, a będę się starał otrzeć łzy dla mnie przelane.

Dziewczyna leżała na kamiennych stopniach, jak zahypnotyzowana, ale Słotnicki czuł pod ręką, że drżała na całym ciele.

— Więc już zapóźno? — zapytał szeptem.

— O, nie! — zawołała Zofia szybko, dźwigając się z kolan.

— W takim razie nie chcesz mi przebaczyć, nie wierzysz mi? Odpowiedziało mu spojrzenie, pełne uległości i rumieniec wstydlivy.

On podniósł ją i mówił miękko:

— Będę ci wiernym towarzyszem w każdym położeniu życia.

Czy ufasz mi?

Ona szeptała:

— Pójdę za tobą wszędzie...

Słotnicki włożył jej ramię pod swoje i wyprowadził ją z kaplicy.

— Odszukamy teraz stryja — wyrzekła.

Jeszcze nie doszli do bramy murów, kiedy się za nimi głos znany odezwał.

— A to co? Ślicznie mi się panna spisuje. Z jednym kawalerem ucieka, a z drugim urządza sobie schadzki.

Był to Ostrobudzki, wychodzący z klasztoru. Jego pocziwa twarz śmiała się szczerze, a w siwych oczach migotały błyski drwiące.

Szybko wyjęła Zofia rękę z pod ramienia Słotnickiego i pobięła do stryja.

On przygarnął ją do siebie, mówiąc:

— Oj, dziewczyno, dziewczyno! Narobiłaś mi dużo strachu i zmartwienia... A

prosiłem cię, żebyś się w każdej potrzebie do mnie zgłosiła.

— Byłam tak nieszczęśliwa, że straciłam świadomość tego, co czynię i wszelką

zdolność do oporu — wyrzekła Zofia, całując starca w rękę.

— Będę się odtąd

starala, aby mi stryjek mógł przebaczyć.

— Już ci przebaczyłem, dzieciaku! Matka wyśpiewała mi wszystko. Już wiem,

jakiego sposobu ten łgarz na ciebie użył.

A zwracając się do Słotnickiego, który się tymczasem zbliżył, zapytał

Ostrobudzki z uśmiechem na ustach:

— Więc nie jedziesz już do Indyj Wschodnich, mości watpicielu?

— Nie ma po co, bo i w Indjach głowy myśląca robią to samo, co w Europie...

wątpią i szukają — odpowiedział Słotnicki, uśmiechając się także.

— Brawo! — zawołał szlachcic. — Słyszę choć raz od ciebie słowo rozsądne.

Rozumie się... Człowiek jest wszędzie ten sam...



A rzuciwszy Słotnickiemu z pod zmrużonych powiek spojrzenie dowcipne, wyrzekł:

— Może oddać Zosię Żaglińskiemu, co?

Kiedy go Słotnicki, zamiast odpowiedzi, pocałował w ramię, mruknął:

— Jeszcze mi kiedyś podziękujesz, choć się tak broniłeś... A teraz do miasta —

dodał głośno — urządzimy sobie przy dobrym śniadaniu zaręczyny.

Kiedy schodzili wolno z góry klasztornej, opowiadał Ostrobudzki:

— Z matką sprawę załatwiłem. Opierała się z początku, skakała mi do oczu, ale kiedy wymieniłem cyfrę długów Żaglińskiego i oświadczyłem, że Zosię wydziedziczę, zmiękła odrazu. Pani bratowa zrozumiała bardzo dobrze, że musiałaby na stare lata na siebie pracować, a tej sztuki nie potrafi. Zawodzi tam pewno w hotelu, spazmuje, mści się na meblach za brutalność szwagra, jak wołała. Niech się wyszłocha. Będzie łagodniejsza, gdy staniemy przed nią.

— A Żagliński? — zapytał Słotnicki.

— Ujrzawszy mnie, drapnął z hotelu — objaśniał Ostrobudzki. — Ponieważ mu przeor nie mówił nic o moim telegramie, przeto nie spodziewał się naszego najazdu. Spadłem mu na nos, jak dachówka. Nie wie on zresztą dotąd nic o twojej

obecności w Częstochowie i nie stracił prawdopodobnie  
jeszcze nadziei, bo  
mówiono mi w hotelu, że szuka Zosi po mieście. Czy wiesz,  
jakiego środka  
ostatecznie użył? Wmówił w moje panie, że romansujesz od  
lat wielu z prezesową  
Jasinowską. Należy mu się za to od ciebie nauczka.  
Słotnicki machnął ręką.

— Niech go za podłość samo życie ukarze, co nastąpi kiedyś  
niezawodnie —

wyrzekł. — Tylko widzieć nie chciałbym go więcej. Zawiele  
kłamał.

Zaledwo domówił ostatnich słów, kiedy z ulicy, na zakręcie,  
wypadła dorożka,  
poruszająca się z niezwykłym pośpiechem. Gdy zrównała się z  
trójcą, zstępującą z  
góry, zatrzymała się nagle.

— Żagliński! — odezwał się Otrobudzki. Zofia zarumieniła  
się; Słotnicki  
ściągnął brwi.

Żagliński wyskoczył z dorożki i stał bezradny na drodze.

Widać było, że waha  
się, namyśla...

Trwało to jednak tylko przez kilka chwil. Podrzucił butnie  
głowę i zbliżył się  
wprost do Zofii.

— Mam do pani polecenie od mamy — wyrzekł, uchylając  
kapelusza.

A kiedy mu nikt nie odpowiadał, dodał:

— Pani Ostrobudzka prosi, aby pani była łaskawa wrócić natychmiast do hotelu.

Szukałem pani po mieście, sądząc...

Teraz odezwał się Ostrobudzki, przecinając słowa Żaglińskiego:

— Trudziłeś się pan daremnie, bo moja synowica wybrała sobie już innego opiekuna.

— A... — bąknął Żagliński, spojrzawszy z ukosa na Słotnickiego.

I znów odebrało mu zakłopotanie na kilka sekund przytomność. Zbladł, przygryzał wargi, opuścił oczy. Po raz drugi podrzucił głowę.

— W takim razie, nie pozostaje mi nic innego, jak powinszować młodej i dobranej parze — odezwał się, podkreślając słowa swoje złośliwym spojrzeniem, zwróconem w stronę siwych na skroniach włosów Słotnickiego.

— Zwłaszcza — wyrzekł Ostrobudzki, uśmiechnąwszy się pod wąsem — że pan ten związek wywróżył.

Żagliński spojrzał pytająco na szlachcica.

— A jakże — mówił starzec, bawiąc się zdziwieniem Żaglińskiego. — Wszakże to za siedm miesięcy miała Zosia wyjść za mąż, jak duch przepowiedział, a właśnie mija ten termin od czasu owego seansu w Ostrobudkach. Polecam pana dobrodzieja sprytowi jakiego innego ducha. Może panu lepiej poradzi.

I nie skłoniwszy się nawet, oddalił się Ostrobudzki. To samo uczynili Zofia ze Słotnickim.

Jak piorunem rażony, stał Żagliński, patrząc szeroko otwartymi oczami za odchodzącymi. Potem zaklął przez zaciśnięte zęby:

— A żeby cię!... Sprzątnął mi trzykroć z przed nosa i jeszcze dworuje...

Złodziej!...

Pochylił głowę i medytował.

— A teraz co? — medytował. — Izrael mnie rozszarpie...

Dmuchnął przed siebie.

— Phu... To i co? — mówił, prostując się. — Żydom rzucę na pastwę graty i kilka nowych weksli, a w łeb sobie dlatego nie strzełę. Trzeba jaki inny posag

wytropić... Z temi uczonemi srokami zanudziłbym się na śmierć. Małoż to kobiet na świecie?...

Nasunął kapelusz na lewe ucho, wskoczył do dorożki i popędził z powrotem do miasta, z taką miną, jak gdyby wygrał milion na loteryi.

**KONIEC**